



Ziemkiewicz: Za co Tusk może trafić przed sąd



Polskie media dla Polaków?

Jak uniknąć **udar**u mózgu



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 13/215 27 MARCA–2 KWIETNIA 2017

CENA 6,90 zł (W TYM 8% VAT)

MACIEJ KOT:
SKOKI NARCIARSKIE
JAK WYŚCIG ZBROJEŃ



PRZEWODNIK „DO RZECZY”
KAWIARNIE TYLKO
DLA KONSERWATYSTÓW



CENCKIEWICZ UJAWNIA WAŻNEGO AGENTA

Edward Mazur był konfidentem SB
o pseudonimie Martel



VIKO YACHTS
— EST 1987 —



VIKO 20, VIKO S 21, VIKO S 22, VIKO 23, VIKO 25, VIKO S 26, VIKO 27DS, VIKO S 30 , VIKO 40



VIKO YACHTS

www.vikoyachts.com

e-mail: info@vikoyachts.com,

tel. + 48 61 670 96 05, + 48 61 306 71 71

Poznań - Zakrzewo, ul.Przemysłowa 24-37

eprasa.pl 4b4f7c8a88



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Jak Kaczyński wyprowadza nas z Unii

Polska debata publiczna ma swoją specyfikę. Jedną z jej cech charakterystycznych jest to, że uczestnicy dyskusji zamiast odwoływać się do faktów, opierają się na wrażeniach; miast spierać się o interesy, zajmują się tworzeniem iluzji; miast przekonywać do swoich racji, myślą, jak by tu swym oponentom przypisać poglądy, których wprowadzić ci nie reprezentują, ale są one na tyle odpychające, że gdyby je faktycznie mieli, to mogliby utracić część sympatii opinii publicznej.

Nic dziwnego przeto, że najświeższym pomysłem opozycji na walkę z PiS ma być stworzenie wrażenia (teraz się mówi: „narrucenia narracji”), zgodnie z którym rząd, prezydent i Jarosław Kaczyński pospołu chcą wyprowadzić Polskę z Unii Europejskiej. Idea jest prosta i właściwie może być skuteczna: im mocniej, głośniej i częściej będzie się mówić, że prawica chce wyprowadzić nas z Unii, tym łatwiej wytworzy się u mniej zorientowanych wrażenie, że coś jest na rzeczy. A skoro już takie wrażenie się wytworzy, to ci, którzy się nim zarażą, zaczną się bać i w ostateczności albo przestaną PiS popierać, albo nawet – w skrajnej postaci – przerzucą swój głos na opozycję. Podobnie dotychczasowi wyborcy opozycji, znużeni już nieco i znużeni walką o demokrację oraz sprzeciwem wobec rzekomego łamania konstytucji, zyskają nowy powód do mobilizacji. Chcą nam zabrać Unię. Czyż nie jest to doskonały powód do protestów? Chcą, żebyśmy przestali być Europejczykami, a więc trzeba umalować sobie buzię na niebiesko i pokazać tym strasznym zaściankowcom, że z Europy nas nie wyprowadzą.

Nikomiu przy tym nie przeszkadza banalny skądinąd fakt, że do tej pory nie udało się wskazać żadnego poważnego wystąpienia polityków PiS, w którym negowaliby nasze członkostwo w UE. Żadnego! Gdzie są wezwania do opuszczenia UE? Gdzie plany tworzenia innych, alternatywnych wobec Unii wspólnot? Przeciwnie, Jarosław Kaczyński, Beata Szydło i Andrzej Duda raz za razem powtarzają, że nie wyobrażają sobie przyszłości Polski poza Unią. To jednak najwyraźniej nikomu z ich oponentów nie przeszkadza.

Doskonałym przykładem takiego, mówiąc kolokwialnie, dorabiania gęby był list trzech byłych prezydentów, którzy ogłosili, że PiS prowadzi politykę eurosceptyczną i wobec Unii konfrontacyjną. Oczywiście wskazanie przykładów owego eurosceptycyzmu było czymś poniżej ich godności. Gdyby ich tak naprawdę zmusić do podania dowodów, wskazyliby zapewne albo na niechęć rządu do wyboru Donalda Tuska na szefa Rady Europejskiej, albo na krytyczne uwagi pod adresem Ko-

misji Europejskiej, albo niektórych polityków Unii. Czyli dla znaczącej części polskiej klasy politycznej zabieganie o swoje interesy staje się tym samym co odrzucenie Unii! Każda próba bardziej suwerennej, bardziej podmiotowej polityki traktowana jest jako działanie na szkodę Europy! Jeśli to nie jest przejaw ducha niewolniczego, to co nim jest? Nie twierdzę, że PiS, prowadząc politykę unijną, nie popełnia błędów, ale z pewnością nie jest nią po prostu obrona swoich interesów.

Chociaż można debatować i tak, jak to zrobił jeden z moich rozmówców, od którego domagałem się dowodów na eurosceptycyzm PiS – po prostu stwierdził on, że PiS kłamie, kłamał i będzie kłamał. Nieważne są zatem deklaracje, oświadczenia i przysięgi – wszystko to są pozory, bo w głębi serca Kaczyński Polskę chce z Unii wyprowadzić. Cóż poradzić na takie dictum? Okazuje się, że to, co wygląda jak debata publiczna, jest po prostu formą psychoterapii, kiedy to mówi się po to, by wyrzucić z siebie stłumiony lęk i opanować kompleksy. ©©

RYSUNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

18 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
TAJEMNICA „MARTELA”
Prawda o przeszłości
Edwarda Mazura



60 ROZMOWA Z TOMASZEM SIEMONIAKIEM
WYBORCY OCZEKUJĄ TOTALNOŚCI

HISTORIA

64 PIOTR SEMKA
REFORMACJA PO ŚLĄSKU
500 lat po wystąpieniu Lutra

ŚWIAT

68 JACEK PRZYBYLSKI
SZALONE SŁOŃCE NARODU
Na krawędzi atomowego konfliktu

72 MACIEJ PIECZYŃSKI
BIAŁORUSKA RULETKA

74 ELENA I GABRIEL MICHALIKOWIE
MOSKWA WIERZY ŁZOM



78 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
UJAWNIONA CICHĄ SCHIZMA

EKONOMIA

80 ŁUKASZ ZBORALSKI
JAK ZATRZYMAĆ DROŻEJĄCE OC
Ile chcemy płacić i co możemy otrzymywać

84 TOMASZ WRÓBLEWSKI
LOTNISKO POLITYCZNEJ NIEMOCY

ŻYCIE I NAUKA

88 KATARZYNA PINKOSZ
ZATRZYMAĆ UDAR
Nowe terapie i leki

SPORT

90 ROZMOWA Z MACIEJEM KOTEM
SKOKI JAK WYŚCIG ZBROJEŃ
Tajemnice sukcesów polskich skoczków

KRAJ

24 WOJCIECH WYBRANOWSKI
DYPLOMATA NA WOJNIE
Były ambasador Ryszard Schnepf kontra rząd

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KRÓTKI ODEDECH TUSKA

30 ROZMOWA Z RALPHEM REEDEM, DORADCĄ
PREZYDENTA DONALDA TRUMPA
POLSKA MOŻE SIĘ CZUĆ BEZPIECZNA

32 PIOTR GOCIEK
BUNT TUBYLCÓW

36 ROZMOWA Z ELŻBIETĄ KRUK
NARODOWOŚĆ KAPITAŁU MA ZNACZENIE

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
KAWA Z TOMASZEM Ą KEMPIS

40 ANDRZEJ KRZYSTYŃIAK
PISANIE HISTORII OD NOWA

KULTURA

42 ANDRZEJ HORUBAŁA
POLSKO-ŻYDOWSKIE ZAPĘTLENIA
Premiery: „Historia Jakuba” i „Azyli”

45 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BALLADA O GRZESIUKU

48 WOJCIECH ENGELKING
JAK TO JEST BYĆ KOSMITĄ?

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA Z BARTOSZEM PILITOWSKIM
SĘDZIOWIE MUSZĄ MIEĆ DOŚWIADCZENIE
Co powinna zmienić reforma
wymiaru sprawiedliwości

58 JACEK CZAPUTOWICZ
TUSKIEM W UNIJ



FELIETONY: SEMKA (8), WARZECHA (9), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZAŁSKI (54), ZALEWSKI, WOLSKI (63), ZYCHOWICZ, KOPER (67), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

Drodzy Czytelnicy,

Dzisiaj polemiki. Z naszym zeszyt tygodniowym tematem okładkowym oraz z głosem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w sprawie odzyskiwania zrabowanych dzieł sztuki. Różne inne polemiki i zdania odrębne znaleźć można na naszym portalu www.dorzeczy.pl, na który serdecznie zapraszamy!

„Dał nam przykład Orbán...”

Ostatni numer „Do Rzeczy” rozczerwał pochwałą zdrady poczynionej dla własnego interesu. Orbán dał przykład, jak zdradzić przyjaciela dla wątpliwej korzyści. Hitler i Stalin łamali układ o nieagresji z Polską. Francja i Anglia nie wypełniły sojuszniczych zobowiązań wobec Polski.

Orbán zdradził przyjaciela. Takie postawy pochwała „Do Rzeczy”?

Polska miała wybór: stracić niepodległość i honor albo stracić niepodległość i uratować honor.

„Mędrzy” mówiący o sojuszu z Hitlerem przeciw Rosji nie wiedzą, że Hitler zamierzał przy pomocy Polski pokonać Rosję, a potem opanować Polskę jako swój Lebensraum.

W sprawie batalii przeciw Tuszkowi jest za dużo krytykanctwa. Premier Szydło uratowała honor. Więcej nie można było dokonać. „Po sprawie każda baba jest mądra”. Komu służy stronnicza krytyka rządu „dobrej zmiany”? Totalnej opozycji. Polsce szkodzi.

S. Cyra,
Brwinów

„Niechciana sztuka”

Z niezłym zdziwieniem zapoznałam się ze stanowiskiem Radosława Różyckiego, rzecznika prasowego MKiDN, odnośnie do mojego artykułu pt. „Niechciana sztuka”, który ukazał się w numerze 11/2017 tygodnika „Do Rzeczy”. Mój tekst nie był pierwszym, w którym podkreślałam zasługi MKiDN w kwestii rewindykacji dzieł sztuki. Robię to także ustawicznie na antenie moich programów.

Zabrałam publicznie głos, gdy przeczytałam na łamach prasy wypowiedź urzędniczką, że „Horst Wächter nigdy nie próbował kontaktować się z państwem polskim w sprawie zwrotu obrazu”.

Zaznaczam też, że syn Ottona von Wächtera nigdy nie zabiegał o jakikolwiek rozgłos medialny, w rozmowach ze mną, odnośnie do przekazania do Krakowa skradzionych przez jego rodziców dzieł.

Cieszę się, że MKiDN wyliczyło swoje dokonania, zaznaczając przy tym, iż w ciągu ostatnich pięciu lat do Polski powróciło 341 obiektów. Biorąc pod uwagę, że do odzyskania jest ponad pół miliona strat (w oficjalnej bazie ponad 63 tys.), to moje pytanie, czy można było zrobić więcej w ostatnich 25 latach, wydaje się zasadne.

Zastanawiać może stwierdzenie rzecznika prasowego MKiDN, że nie jest potrzebna dyskusja o tym, jak usprawnić działania związane z odzyskiwaniem dzieł sztuki. Pytania o obszar tak istotny jak polska kultura, której okupanci zadali mnóstwo głębokich ran, do dzisiaj niezagojonych, zawsze są zasadne. Wszelkie próby gaszenia takiej debaty są czymś innym, jak właśnie „chronicznym impozybilizmem”.

W ubiegłym tygodniu wystosowałam do rzecznika MKiDN zaproszenie do audycji „Utracone Odzyskane” (PR24), by opowiedzieć słuchaczom o ostatnich sukcesach MKiDN. Rzecznik nie odpowiedział na mój e-mail, chociaż przed ukazaniem się artykułu „Niechciana sztuka” urzędnicy MKiDN gościli w moich programach. Uważam tak samo, jak pracownicy MKiDN, że tematykę grabieży polskich dzieł sztuki należy popularyzować ze wszystkich sił.

Magdalena Ogórek

Szanowni Państwo!

Jako historyk i niemcoznawca pragnę skorygować jedną z tez zawartych w artykule pani Magdaleny Ogórek pt. „Niechciana sztuka”. [...] Odnosząc się do postawy syna Ottona von Wächtera, pani Ogórek pisze, że brakuje „fachowej literatury” na temat oddziaływania nazistowskiej przeszłości przodków na psychikę ich potomstwa. Tymczasem w obiegu naukowym i popularnonaukowym znajdują się dziesiątki książek poświęconych powyższej problematyce. Nawet wpisując do wyszukiwarki hasła typu: „Nazi-Kinder”, „Nazi Children”, otrzymamy wskazówki dotyczące autorów zajmujących się wspomnianą problematyką.

Pozdrawiam redakcję „Do Rzeczy”

Katarzyna Jedynakiewicz-Mróz,
dr hab., prof. UŁ,
Instytut Historii UŁ



ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**

I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

Zastępca redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),

Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojsa**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenciewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela), Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Cursztyn, Edyta Hodyńska, Jarosław Kałucki, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Małowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Płinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sekowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torasiński, Matthew Tyrmad, Paweł Wawrzynski, Szezech Weiss, Piotr Wierzbicki, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)

z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska,**

Małgorzata Puzry, Damian Cygan, Karol Gac

Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Danuk-Skarbek** (szef studia),

Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski,**

Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoodbity: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczysk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**

Rysowniki: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa, Mirosław Owczarek**

Okładka: **Wojciech Stróżyk/REPORTER, Marcin Kondek/EAST NEWS,**

oprac. graf. MIDAS/JAN

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi

w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA,

notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW

GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd Spółki Orle Pióro: **Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)

reklama@dorzeczy.pl; tel. + 48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki (kolportaż);

Karolina Olchowicz (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 110 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detalicznej ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Czy odwołanie Michała Krupińskiego ma związek z polityczną próbą sił w rządzie?

Rada Nadzorcza PZU w ubiegłym tygodniu odwołała z funkcji prezesa Michała Krupińskiego. Decyzja zapadła ze skutkiem natychmiastowym. Trudno wskazać, by były do tego biznesowe powody. PZU ma się dobrze: sukces przy repolonizacji Banku Pekao i start funduszu Witelo, napędzające gospodarkę i plan Morawieckiego start-upy technologiczne. Do tego wysokie notowania spółki na GPW i wyższa niż sam rating Polski ocena PZU w oczach agencji Standard & Poor's, która członków zarządu oceniła jako „wysokiej klasy ekspertów na rynku finansowym posiadających szerokie międzynarodowe doświadczenie zdobyte w wiodących instytucjach finansowych”.

Sam Krupiński w oświadczeniu po jego odwołaniu wyliczył, ile udało się zrobić przez rok, gdy kierował spółką. „PZU uzyskał najwyższe przychody w swojej historii, przekraczając kwotę 20 mld zł, odwracając spadkowy trend wynikowy z ostatnich lat – napisał. – W warunkach dotkliwego dla klientów trendu podwyżek cen ubezpieczeń komunikacyjnych nam udało się zwiększyć konkurencyjność cenową, unikając tak znaczących



FOT. PZU

podwyżek, jakie miały miejsce w przypadku innych firm ubezpieczeniowych. W ten sposób uzyskaliśmy 700 tys. nowych klientów, utrzymując najwyższą na rynku rentowność”.

Skąd więc ta zaskakująca dymisja? Nieoficjalnie mówi się o narastającym konflikcie między byłym prezesem a członkami zarządu. Jednak przede wszystkim o politycz-

nej rozgrywce Mateusza Morawieckiego, który jako minister finansów przejął stery PZU po likwidacji Ministerstwa Skarbu. Wicepremier miał własnego kandydata na fotel prezesa spółki, więc musiał go opuścić zaprzyjaźniony ze Zbigniewem Ziobrą Krupiński. Wcześniej podobnie było z Małgorzatą Zaleską, była prezes GPW, rekomendowaną przez byłego

ministra skarbu Dawida Jackiewicza. Też została odwołana, bo Morawiecki miał własnego kandydata – Rafała Antczaka. Ten jednak sam zrzekł się potem funkcji, bo przez prawie dwa miesiące nie doczekał się zatwierdzenia przez Komisję Nadzoru Finansowego.

Nazwiska następcy Krupińskiego jeszcze nie podano. Mówi się jednak, że na fotel prezesa szykowano właśnie Antczaka i że celowo wybrano moment politycznej próby sił na czas, gdy Jarosław Kaczyński przebywał z wizytą w Wielkiej Brytanii. Antczaka widziano w ubiegłą środę w PZU. Miał jednak wyjść z niczym, bo jego kandydatura nie została wcześniej skonsultowana z premier Beatą Szydło.

Nieoficjalnie mówi się też, że kierownictwo przejętego przez PZU Banku Pekao nie było entuzjastycznie nastawione do Krupińskiego.

Tymczasem niepewność dotycząca tak potężnej spółki Skarbu Państwa może jej zaszkodzić. Notowania PZU już zareagowały wyraźnym spadkiem na nieoczekiwaną informacją o odwołaniu Krupińskiego – ponad 3 proc.

Tymczasowo – przez co najwyżej trzy miesiące – obowiązki prezesa PZU będzie pełnił Marcin Chłudziński, członek rady nadzorczej spółki, który od stycznia ubiegłego roku był również prezesem Agencji Rozwoju Przemysłu. ©

Edyta Hołdyńska

NA WĘGRZECH O DŻIHADZIE

Na początku kwietnia ukaże się węgierski przekład książki Pawła Lisickiego „Dżihad i samozagłada Zachodu”.

Jakie są dziś najważniejsze zagrożenia, które niesie islam? Czy Europa, przynajmniej ta jej część uważająca się za europejską, będzie w stanie ochronić się przed dżihadem? A jeżeli tak – to jak

ominie pułapki, które wiążą się z przenikaniem elementów świata muzułmańskiego do wspólczesnej Europy?

To tylko kilka pytań, na które odpowiadała wydana dwa lata temu książka Pawła Lisickiego „Dżihad i samozagłada Zachodu”.

Ciesząc się sporym zainteresowaniem w Polsce publikacja

trafi teraz – 1 kwietnia – pod węgierskie strzechy w przekładzie Pálfalviego Lajosa, znanego nie tylko w kraju Orbána tłumacza. Trzy lata temu Pálfalvi został laureatem nagrody „za promocję polskiej książki w świecie”. Na Węgrzech książkę Pawła Lisickiego wydało wydawnictwo Rézbong Kiadó. (ww) ©



Krwawy zamach w centrum Londynu

Co najmniej cztery osoby zginęły, a ok. 50 – w tym jeden Polak – zostało rannych w wyniku ataku islamskiego terrorysty.

W środę 52-letni Khalid Masood wjechał samochodem w grupę przypadkowych ludzi na moście Westminster. Następnie próbując dostać się na teren parlamentu, ranił śmiertelnie nożem policjanta strzegącego bramy wjazdowej. Na szczęście zwyrodniałca wkrótce potem udało się zlikwidować.

Do przeprowadzenia ataku przyznało się tzw. Państwo Islamskie. Nie ma jednak żadnych dowodów na to, że napastnik był rzeczywiście związany z ISIS. Gdyby tak jednak było, byłyby to pierw-

szy przypadek ataku zorganizowanego przez tę organizację terrorystyczną na terenie Wielkiej Brytanii.

Po zamachu brytyjscy policjanci zatrzymali dziewięć osób i zabezpieczyli kilka tysięcy dowodów. Premier Theresa May ogłosiła również, że na ulice miast w całej Wielkiej Brytanii wyjdzie wkrótce więcej patroli. May oznajmiła także, że brytyjskiemu wywiadowi udało się w ciągu ostatnich czterech lat udaremnić 13 ataków terrorystycznych.

Rząd w Londynie zamierza również zainwestować w rozwój służb wywiadowczych 2,5 mld funtów i zatrudnić niemal 2 tys. nowych funkcjonariuszy służb specjalnych.



FOT. TOBY MEVILL/REUTERS/FORUM

W czwartek w Belgii udało się zapobiec podobnej tragedii. W położonej na północy kraju Antwerpii mężczyzna o „korzeniach północnoafrykańskich” – 39-letni Mohamed R. – wjechał z dużą szybkością na deptak. Na szczęście ludziom udało się uskoczyć na boki,

a potencjalny terrorysta został po pościgu ujęty przez lokalną policję. Agenci służb bezpieczeństwa odnaleźli w samochodzie noże oraz inną broń. Jak podały belgij-skie media, mężczyzna był dobrze znany lokalnej policji i uważany za radykalizowanego muzułmanina. **(jap)** ©

REKLAMA

CYBERSEC PL
POLSKIE FORUM
CYBERBEZPIECZEŃSTWA

6 kwietnia 2017 r.
PGE Narodowy, Warszawa

Wspólnie zadbajmy o cyfrową przyszłość Polski!

Wśród potwierdzonych prelegentów m.in.:

Anna Streżyńska - Minister Cyfryzacji
Tomasz Zdzikot - Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji
Edward Lucas - Redaktor "The Economist"



Ścieżka
Państwo



Ścieżka
Obrona



Ścieżka
Przyszłość



Ścieżka
Biznes

#CSPL17

Obserwuj nas: **@CYBERSECPL**
Zarejestruj się na: **www.cybersecforum.pl**

Organizator:  **INSTYTUT KOŚCIUSZKI**



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Drugi cud nad Wisłą

Teraz rozdzieracie szaty nad dominacją niemieckich firm w polskiej prasie, a kiedyś ustawialiście się w kolejce, aby u Niemca pisać – ten złośliwy refren powtarzają dziś dziennikarze Onetu, „Newsweeka”, „Faktu” i „Forbesa”, uciekając od odniesienia się do sprawy godnych politruka wskazówek Marka Dekana z Ringier Axel Springer dla polskich dziennikarzy tego koncernu.

Ja ani u Ringiera, ani u Springera nigdy nie pracowałem, ale dobrze pamiętam epokę, gdy medialna prawica z niczego stworzyła dla „wujka Axa” bulwarówkę i sporą gazetę codzienną. To był – jak żartowaliśmy – drugi cud nad Wisłą. Oto w końcu 2002 r. były dziennikarz prawicowego dziennika „Życie” z lat 90. Robert Krasowski ze swoim następcą Grzegorzem Jankowskim otrzymali od koncernu Springera wolną rękę w stworzeniu polskiego odpowiednika „Bildu”.

Rządził SLD, gen. Jaruzelski był gwiazdą salonów, o kulcie wyklętych mało kto jeszcze słyszał, a Adam Michnik i ówczesny prezydent Aleksander Kwaśniewski snuli plany powstania partii Centrolew, która miała rządzić „na zawsze”.

I gdy już zdawało się, że wyziniemy ducha jako sędziwi starcy w Michnikolandii, wybuchła afera Rywina. Ruszyła fala tekstów publicystycznych o idei IV RP, które pisali autorzy związani tak z PiS, jak z PO. Początkowo drukowały je jedynie dział opinii kierowany przez Pawła Lisickiego w „Rzeczpospolitej” i „Newsweek”, którym kierował wtedy Tomasz Wróblewski.

Szybko do tych dwóch przyczółków nadziei na pluralizm w sferze opinii dołączył „Fakt”, który wówczas – tak, tak, drodzy millennialsi – był chyba jedyną w Europie bulwarówką, która pisała o polityce całkiem serio i drukowała wielkie teksty publicystyczne.

Po podwójnej wygranej PiS w 2005 r. publicyści obwiniali o to rzekomą falę populizmu, którą wywołać miał właśnie „Fakt”. A gdy w 2006 r. do bulwarówki Springera w Polsce doszłusowała gazeta codzienna „Dziennik” – do której przeszedł Krasowski – Czerska wpadła w szał. Amok był na tyle mocny, że Piotr Pacewicz, czołowy publicysta gazety Michnika, nazwał wtedy znienawidzone pismo ideowej konkurencji „Der Dziennikiem”. Antyniemieckość – w zbożnym celu walki z medialną

ofensywą prawicy – była wtedy równie łatwo rozgrzeszana przez salon, jak dziś rozgrzeszane są blokady Wawelu.

Minęły lata. Nastąpiły zmiany w „Rzeczpospolitej”, powstała „Gazeta Polska Codziennie”. W 2009 r. Springer, który z czasem połączył się ze szwajcarskim Ringierem, zaczął zmieniać linię. Najpierw machnął ręką na „Dziennik”, potem w 2012 r. oddał „Newsweek” w ręce Tomasza Lisa, aż wreszcie w 2014 r. odwołał Grzegorza Jankowskiego i zamienił „Fakt” w obecny tabloid dla mało wymagającego czytelnika. A treści w pismach springerowskich zaczęły się tak znacząco unifikować politycznie, że ujawniony jeden z przekazów tygodnia Marka Dekana tylko potwierdził coś, co widać było od dawna – gorący jak lawa zapał w walce z „kaczymizmem”.

Los tak dziwnie się plół, że 14 lat temu koncern Springera był nad Wisłą elementem pluralizmu i nie dyktował dziennikarzom, co mają myśleć o aktualnej polityce. Teraz to robi. Tyle że tej różnicy nie sposób wyjaśnić w parę sekund słownej szermierki w studiu TVP. I dlatego napisałem ten felieton. Druk ma jednak sporo zalet. © ©

UKRAINA: WIELKI POŻAR ARSENAŁU

Akcja dywersyjna. Prawdopodobnie taka była przyczyna gigantycznego pożaru, który wybuchł w czwartek w największym składzie amunicji na Ukrainie w pobliżu miasta Bałaklija w obwodzie charkowskim. Szacuje się, że przechowywano w nim ok. 140 tys. ton amunicji. Po wielkim wybuchu nad miastem unosiły się kule ognia, a eksplodujące rakiety latały w wielu kierunkach. Ukraińskie władze podjęły decyzję o ewakuacji 20 tys. mieszkańców. (jap) © ©



FOT. EPA/PAP



NOTES MALKONTENTA

Andrzej kontra krokodyl

W „Uchu Prezesa” minister obrony pokazany jest jako psychopata z przyklejonym do twarzy uśmiechem szaleńca, którego wszyscy się boją i któremu wszyscy ulegają. Nawet Prezes. Nie mówiąc już o zestrachanym i skrajnie nieśmiałym prezydencie Andrzeju, który całymi dniami bezskutecznie czeka na audiencję pod drzwiami gabinetu naczelnika. Za plecami wodza minister Mariusz pokazuje, że minister Antoni jest jak krokodyl.

Satyra ma swoje prawa, jednak Robert Górski skrzywdził głowę państwa. Spór pomiędzy Pałacem Prezydenckim a Ministerstwem Obrony trwa od dawna. Nie jest to może konflikt na śmierć i życie, ale

Antoni Macierewicz jest bezwzględny w budowaniu własnej, możliwie autonomicznej pozycji politycznej. Nawet jeśli buduje ją kosztem partii, do której należy, oraz jej prezesa. Przy czym tę pozycję opiera na najwierniejszym, najtwardszym elektoracie, który jest absolutnie przekonany, że w Smoleńsku doszło do zamachu, że właśnie Macierewicz w końcu to udowodni, że Bartłomiej Misiewicz to wzorzec patrioty oraz że najmniejsza krytyka partii rządzącej równa się zdradzie. To gwardia fanatycznie wierna, jednak nie bardzo liczna.

A ndrzej Duda wygrał wybory prezydenckie, sięgając znacznie szerzej, nawet jeżeli również z tej grupy trochę zaczerpnął. Nie tylko z powodu rodzaju zajmowanego stanowiska, lecz także ze względu na własny charakter Duda nie pójdzie nigdy w twarde Macierewiczowe klimaty. Konflikt nie dotyczy więc panowania nad konkretną grupą wyborców, ale kontroli nad niewralgiczną dziedzina państwa, jaką są armia i bezpieczeństwo narodowe. Gdyby Macierewicz był ministrem nauki czy gospodarki morskiej, sporu zapewne by nie było.

Na tym froncie może być jedynie czasowy rozejm – pokoju nie będzie. Za duże są stawki, ambicje i różnice charakterów. Macierewicz powinien jednak pamiętać, że to prezydent – nie on – ma za sobą najmocniejszy mandat pochodzący z powszechnych wyborów. ©©

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA

PREZENT



Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 2 kwietnia 2017 r.



Spór pomiędzy Pałacem Prezydenckim a MON trwa od dawna. Na tym froncie może być jedynie czasowy rozejm – pokoju nie będzie

też między bajki można włożyć zapewnienia, że żadnego problemu nie ma. Spór ma źródło nie tylko w nie do końca klarownym podziale kompetencji w sprawach obronności, jaki tworzy polska konstytucja, lecz także w charakterach obu polityków. W tym pojedynku Andrzej Duda nie kładzie uszu po sobie, choć dla dobra własnego obozu politycznego – co całkiem zrozumiałe – unikał dotąd gestów jawnie konfrontacyjnych.

ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Lansik na Downa

Międzynarodowy dzień chorych na zespół Downa, od pewnego czasu obchodzony 21 marca, miał zwracać uwagę na los dotkniętych tą nieuleczalną chorobą i ich rodzin. Zwraca uwagę raczej na zbrodnię, dokonywaną na oczach cywilizowanego świata i bezprzykładną hipokryzję polityków lewicy oraz celebrytów.

Z jednej strony mamy więc medialne pajacowanie – np. na znak „solidarności z chorymi” politycy i gwiazdy fotografują się w dwóch różnych skarpetkach (akcja w stylu modnego swego czasu polewania się wodą z wiadra) albo po prostu w czułym uścisku z chorymi dziećmi. Z drugiej kolejno kraje Unii Europejskiej ogłaszają decyzję o „całkowitej likwidacji” tej choroby w perspektywie najbliższych lat. Chodzi oczywiście o likwidację jej metodą euge-

niczną, tą samą, jaką III Rzesza likwidowała choroby psychiczne. Zabijanie dotkniętych chorobą dzieci (czy raczej tylko o nią podejrzanych, bo badania prenatalne nie dają w tej kwestii pewności), dotąd tylko dozwolone, staje się w tych krajach obowiązkowe.

Przypomnijmy: my na razie jesteśmy krajem, w którym pozbyć się chorego dziecka tylko „można”, i takich czynów dokonuje się legalnie ponad 1 tys. razy rocznie. Niedawno pojawiła się społeczna inicjatywa, by aborcji eugenicznej zakazać. Została ona wykorzystana do wyprowadzenia na ulicę tysięcy kobiet, zresztą podjudzonych za pomocą kłamstw i manipulacji o rzekomej opresywności tego projektu. Idea likwidowania kłopotu z chorym dzieckiem w zarodku zyskała gorliwe wsparcie licznych gwiazd i polityków.

Pewnie nie powinno to dziwić, ale wiele z nich nie dostrzegło wcale powodu, by przynajmniej w takim razie powstrzymać się od lansu na „solidarność z chorymi”, skoro akurat trafiła się okazja i do tego. Nie wymienię tu wszystkich, ale szczególnie obrzydzenie wzbudziło we mnie zachowanie europosłanki PO Róży Thun, która zamieściła w mediach społecznościowych tzw. slitt focie z chorymi. Fakt, że dopiero co można było na tym samym koncie oglądać jej fotki, jak wymachuje czarną parasolką i gardłuje za „prawem” do aborcji w przypadku „uszkodzenia płodu”, w niczym jej w tym oczywiście nie przeszkodził. Najgorsze, że bynajmniej nie jej jednej. Gdy się widzi taką obłudę, trudno nie sięgać po słowa, których człowiek dobrze wychowany powinien starannie unikać. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O dawaniu i odbieraniu

Sąd Apelacyjny w Turynie pozbawił praw rodzicielskich do siedmioletniej córki małżeństwo w zaawansowanym wieku. Bolesna historia mówi wiele smutnych rzeczy o naszych czasach.

Dziewczynka urodziła się dzięki sztucznej zapłodnieniu. Mama miała wówczas 57 lat, a tata 69. Zabieg wykonano za granicą, bo we Włoszech dostępny jest wyłącznie dla kobiet w wieku płodnym. Usługi sąsiedzi, gdy dziewczynka miała zaledwie 35 dni, oskarżyli rodziców, że pozostawili ją bez opieki. Służby społeczne natychmiast odebrały rodzicom dziecko siłą,

a cztery lata temu oddały do adopcji. W tym czasie sąd uznał, że zarzuty sąsiadów były bezpodstawne, ale rodzice nie odzyskali dziecka, bo sprawa dopiero po siedmiu latach znalazła epilog w Turynie. Sędzia stwierdził, że choć rodzice mają rację, dziewczynka, która ich nie zna, dla własnego dobra ma pozostać w rodzinie adopcyjnej.

Statystyka mówi, że dziewczynka prawdopodobnie straciłaby ojca w wieku 12 lat, a potem musiałaby opiekować się matką. Klinika, w której kobieta przeszła zabieg, nie wzięła tych wątpliwości pod uwagę. Wzięła natomiast spore pieniądze – najskuteczniej-

szę obok relatywizmu lekarstwo na problemy etyczne, jakie człowiek wymyślił.

Okazało się też, że we Włoszech służby socjalne mogą w majestacie prawa, choć zupełnie bez racji, odbierać rodzicom dzieci. Co gorsza, od tych decyzji nie ma odwołania ani nikt nie ponosi za nie żadnej odpowiedzialności. Państwo włoskie, idąc śladem postępowej północnej Europy, a przy okazji ponurych tradycji totalitarnych, zaczyna się zajmować wychowem dzieci. Powiało skandynawskim mrozem. „Nowy wspaniały świat” Huxleya coraz bliżej. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

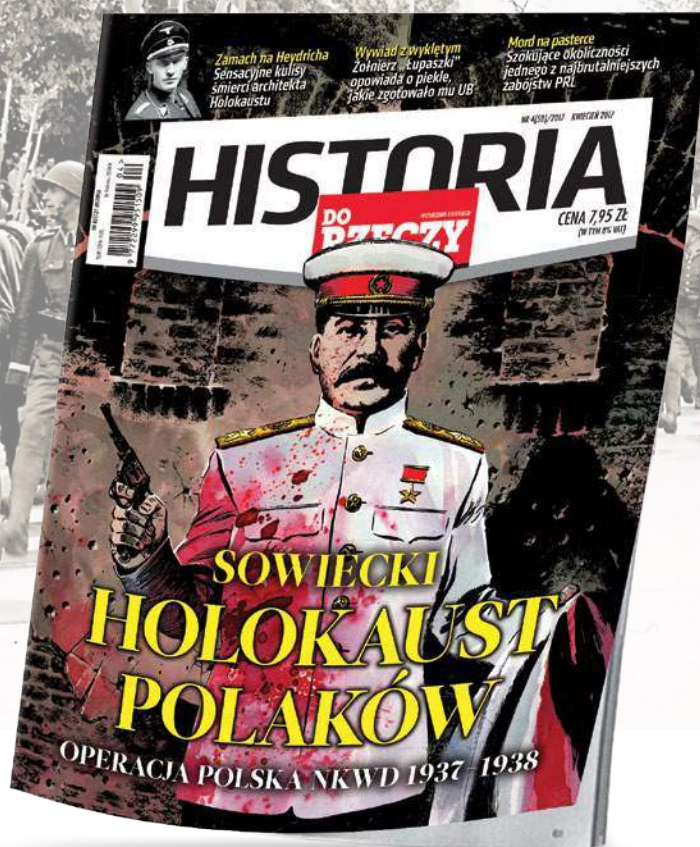


WYWIAD Z WYKLĘTYM!

ŻOŁNIERZ „ŁUPASZKI”, O PIEKLE JAKIE ZGOTOWAŁO MU UB

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Nikołaj Iwanow – **Operacja polska NKWD** / Piotr Zychowicz – **Syberyjskie polowanie na Polaków** / Robert Gerwarth – **Kulisy zamachu na Heydricha** / Sławomir Cenckiewicz – **Kłamcy katyńscy z LWP** / Marian Zacharski – **Zabójcze kobiety ochrony** / Arkadiusz Karbowski – **Pakt WiN-UPA** / Sławomir Koper – **Tajemnice kobiety faraona**

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl 4b4f7c8a88

TWARZ POMADEK

Celebrytka Patrycja Kazadi, która najpierw próbowała swoich sił jako prezenterka telewizyjna, potem piosenkarka, ostatecznie została twarzą firmy kosmetycznej i wystąpiła w sesji promującej pomadki i cienie do powiek. Mówi, że całe życie o tym właśnie marzyła! – Jak wstaję rano, to mam dużo zastrzeżeń. Makijaż mnie wyraża. Traktujemy twarz jako płótno, na którym możemy wyrażać siebie. To tak jak artysta wyraża siebie na obrazach. Są kobiety, które śpią w pełnym makijażu. Niektórzy malują się do snu, ale to ryzykowne. Może się coś zmyć. Trzeba też dbać o skórę, makijaż to jednak



FOT. FORUM

chemia, nie powinniśmy w nim spać. Moja babcia nigdy nie miała makijażu na twarzy, teraz maluje usta, to i tak dużo. Ja polecam makijaż, podkreśla naszą kobiecość. Kocham makijaż, niczego się nie boję. Marzyłam o tym, żeby reprezentować markę kosmetyczną – opowiada Kazadi. Całe życie o tym marzyła, a nie wiedzieć czemu, brała się do telewizji i śpiewania. Cieszymy się, że w końcu znalazła coś na miarę swoich ambicji! A raczej możliwości.

BIKINI CHALLENGE

Agnieszka Jastrzębska, czyli pani reporterka z telewizji śniadaniowej, która zajmuje się show-biznesem i sama aspiruje do bycia jego częścią, zapytała kilka celebrytek, które już są tam, gdzie ona chciałaby się znaleźć, o to, czy rozpoczęły już przygotowania do „bikini challenge”.

– Ja zwykle robię taki detoks bezglutenowy, bezlaktozowy – zdradziła Perfekcyjna Pani Domu, czyli Lady Małgorzata Rozenek. – Ale nie jestem konsekwentną osobą. Po trzech dniach diety Radosław mówi: „Chodź, pójdziemy coś zjeść”. Więc idę, jem wszystko, potem oczywiście znów mam mocne postanowienie, żeby wrócić na dietę. Ale mogę zapewnić, że samo wykluczenie nabiału działa rewelacyjnie – dodaje.

Co do nabiału całkiem odmienne zdanie ma Hanna Lis. Na nią biały ser działa rewelacyjnie! – Kiedy muszę szybko schudnąć, stosuję sposób,



FOT. PIWEL GROMADA

który stosowałam jeszcze, mieszkając w Szwecji, jak się przygotowywałam do egzaminów: pieczywo chrupkie z białym serem. I trzy razy dziennie powtórzyć. Po jakichś sześciu dniach znów można jeść wszystko – zdradza swój sekret. Maja Sablewska uważa, że najważniejsze jest śniadanie. – To musi być duży posiłek. Na jednym bananie długo nie pociągniemy – wyjaśnia. – To tak, jakby pojechać na stację benzynową i zatankować za 2 zł. Najczęściej zaczynam od jakiegoś koktajlu, który piję do 40 minut po obudzeniu, a potem śniadanie typu kasza i warzywa – opowiada. Warto jednak pamiętać o skutkach tych wszystkich diet. Bardzo puchną od nich usta i policzki! Jednak to ponoć pożądany efekt. Przynajmniej w show-biznesie.

KWAS W WARSZAWIE

Pozostajemy w temacie, bo – jak wiadomo – większość polskich gwiazd twierdzi, że na-puchnięte usta i policzki to efekt zmian w diecie. Broń Boże, żadna medycyna estetyczna!

Tymczasem Krzysztof Gojdz, kontrowersyjny celebrycki specjalista od tejeże medycyny, który sam bardzo chce być celebrytą, ostatnio mocno przejechał się po naszych gwiazdeczkach. Niestety, nie po nazwisku, ale zawsze coś. – Czasami, jak chodzę na imprezy celebryckie, to sobie myślę, że gdyby ponakłuwać te policzki i te usta, to mogłoby zalać Warszawę. Byłaby pod kwasem hialuronowym. Niektóre z pontonami na ustach mogłyby się uratować – stwierdził. Jeśli właśnie dokonujecie wizualizacji, to natychmiast przestańcie! Inaczej, tak jak my, już nigdy nie uwolnicie się od tego obrazka! Patrząc na Natalię Siwiec czy inną Rozenek, już zawsze będziecie widzieć pływające po zalanej Warszawie pontony.

TYLKO ŻEBY SIĘ NAJEŚĆ

Marcin Tysza, fotograf specjalizujący się w fotografii mody, narzeka na polski show-biznes, że ten nie potrafi docenić mody ani się nią zachwycić. Tysza mówi, że często bywa na pokazach mody najlepszych zagranicznych projektantów i tam wygląda to zupełnie inaczej niż w Polsce.

– Na Zachodzie pokaz mody jest dla mody. W Polsce pokaz mody to jest impreza, jest po to, żeby się pokazać, coś zjeść i stanąć na ścianie – żali się. Ciekawe, że sam tak chętnie na nich bywa. Pewnie przez przypadek. A przez jeszcze większy przypadek pozuje grzecznie na ścianie. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, doszliśmy do wniosku, iż każdy nasz dzień to bezustanne mierzenie się z hejtem. No bo popatrzcie sami:

RANO – wstajemy do korpo, izby przesiedzieć 8 godzin w call center, a kiedy odpalamy fejsika, to Nowy z Tarnowa nam każe zabrać się do roboty – hejt;

W POŁUDNIE – podczas przerwy na lunch wymieniamy się poglądami, jest miło i sympatycznie do momentu, w którym ktoś się z nami nie zgodzi. A to, jak wiadomo, jest hejt;

PO POŁUDNIU – wracamy zmęczeni tramwajem do osobówki na przedmieściach, a rośli kibol nie chce nam ustąpić siedzącego miejsca, tylko patrzy na nasze rurki i odsłonięte kostki spojrzeniem, w którym za uśmiechem kryje się... no oczywiście, hejt!

WIECZOREM – czytamy, iż za rządów HGW w Warszawie wycięto tysiące drzew – i znów hejt, ale tym razem polityczny, antyfeministyczny i jątrzący;

PÓŹNIEJ WIECZOREM – idziemy na piwko ze sprajtem, ale w lokalu nie ma wolnego stolika. Kiedy zwracamy uwagę grupie kuców z polibudy, izby zwolnili stolik, iż nam się należy – śmieją się. Hejt!

NOCĄ – próbujemy spać, ale martwimy się trybunałem, demonstracją, wiewiórkami, drzewami, Szyszką, Saryuszem-Wolskim, TVP, abonamentem, Misiewiczem, „500+”, wąsatymi januszami i otip-sowanymi grażynami. Hejt – ze strony tego kraju, iż nie możemy być wolni od tego typu trosk :(

Jako iż jednak przyszedł nasz heterosceptyczny Wiosen, musimy odświeżyć naszą stylówę w nieoczywisty sposób, który niewątpliwie spotka się z hejtem ze strony wąsatych januszów i grażyn.

Otóż, skoro robi się cieplej, rezygnujemy z joggerów, które odsłaniały nasze kostki, aby – zgodnie z tą logiką – przerzucić się na obszyte futerkiem (sztucznym, wegańskim, of kors) kozaczki po kolano i kalessony, które

i tak będą wyglądały jak rurki, więc jaka to różnica.

Walczymy więc w ten sposób wytrwale z narzucanymi przez społeczeństwo normami zaleca-

Z satysfakcją przyjęliśmy do wiadomości, iż w nowej wersji „Pięknej i Bestii” pojawiają się wątki homopozytywne

jącymi dobieranie grubości stroju do warunków atmosferycznych, iż w końcu sami możemy decydować o swoim cieple, jeśli jeszcze nie jest za późno i w tym kraju obowiązkowe nie są włosienice.

Z satysfakcją przyjęliśmy do wiadomości, iż w najnowszej wersji „Pięknej i Bestii” pojawiają się wątki homopozytywne i feministyczne. To ważne, aby współczesne kino pokazywało w pozytywnym świetle istotne społecznie zjawiska.

Martwi nas z drugiej strony, że to jednak za mało. Twórcy filmu niestety nie uciekli od seksistowskiego i tradycyjnego przedstawienia ról, w których „piękna” to waginopozytywna urodododatnia osoba, zaś „bestia” to osobnik fallusododatni, w dodatku nieźle sytuowany, choć rzeczywiście brzydki.

W naszym odczuciu taki film pokazuje waginoosoby w złym świetle: jako gotowe polecieć na nawet odpychającego faceta, o ile ten ma odpowiednio duży zamek i jest wysoki. Naszym zdaniem „piękna”, po uprzednim zapuszczeniu włosów pod pachami i na nogach, powinna przepędzić „bestię” (symbolizującego patriarchalny ucisk) z zamku, a następnie urządzić tam skłota, na który zaprosi frendziary, aby wspólnie układać hasła na marsze szmat, w tym to, iż „zamek prawem, nie towarem”. ©©

Prkr... Polacken.
mówiłem WOLNE media...



ce 22 ty k ty) 2TOP2 b109pod k32-u

Zmiany, zmiany. Michał Krupiński przestał być prezesem PZU, co wywołało natychmiast lawinę plotek. Najczęściej powtarzana przypomina, że był on ziobrystą, zatem jego dymisja oznacza, że Zizou Ziobro, minister sprawiedliwości, znalazł się w niełasce u Kaczora-Dyktatora.

Szybko się okazało, że rzecz nie jest tak oczywista. Odwołania Krupińskiego chciał nadpremier Morawiecki, który widział na jego miejscu Rafała Antczaka, niedoszlęgo szefa Giełdy Papierów Wartościowych. Skończyło się tak, że spółką nie kieruje żaden z powyższych, a nadpremier Morawiecki dwie godziny tłumaczył się u premier Bełaty. Ciąg dalszy nastąpi.

Żli ludzie opowiadają jeszcze mocniejsze historie – otóż Zizou mógłby zostać zastąpiony przez Małgorzatę Wassermann. Miałaby to być kolejna odsłona pradawnej waśni rodowej między rodami Ziobrów i Wassermannów. Nie jest tajemnicą, że „za pierwszego PiS-u” relacje między ZZ a śp. Zbigniewem Wassermannem nie były najlepsze.

Ajeszcze inni źli ludzie komentują trzeźwo – nie ma się co ekscytować, chodzi przede wszystkim o to, że wkrótce kolejni posłowie Solidarnej Polski pójdą w ślady Arka Mularczyka i na powrót zostaną przyjęci do PiS. Wtedy jedynym członkiem SolPolu zostanie jej szef, znaczy Ziobro. A skoro ma być wodzem bez szabel, to po co marnować etaty w spółkach Skarbu Państwa na jego ludzi?

Do ministerstw dotarła tymczasem najnowsza publikacja nadpremiera Morawieckiego. To

dwaj panowie **g**

tom zatytułowany „Strategia na rzecz odpowiedzialnego rozwoju (do roku 2020 z perspektywą do 2030)”. 416 stron, duży format, piękny druk. Będzie bestseller, bo każdy departament w każdym ministerstwie i innym urzędzie centralnym dostał swój egzemplarz. Najbardziej zaciękało nas, że książkę wydano za pieniądze z aż dwóch programów unijnych. A mówią, że mamy kłopoty z absorpcją.

Plotka spożywcza z pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana. Pamiętacie, jak niedawno pewien portal zrobił sensację z informacji, że urzędnicy pana prezydenta kupili 50 kg kiełbasy, setki portfeli i aktówek tudzież „artykuły religijne”, w tym różańce? Głupia sprawa, bo było podobno tak – dziennikarze portalu wystąpili z prośbą o informacje na temat umów cywilnoprawnych, żeby się dowiedzieć, komu i co się zleca. Niestety, prośba została źle zrozumiana, więc do portalu poszła też lista zakupów. Ups.

Jest problem z królem Europy. Znaczący „Herr Tuskiem”, jak piszą nasi bardziej radykalni bracia mniejsi. Otóż PiS zrobił dogłębne badania, z których wyszło, że cała chryja o Donalda i jego reelekcję niespecjalnie scementowała wyborców partii Kaczora-Dyktatora. W ramach naprawy sytuacji krwawy szef MON doniósł na Donalda do prokuratury. Doprawdy nie wiemy, co o tym myśleć.

Zżycia wyższych sfer. Zapytaliśmy żartem nadpremiera Morawieckiego, czy to prawda, że w rządzie wszyscy go nie lubią. – Tak – odpowiedział żartem nadpremier Morawiecki.

Zżycia lasu. Nieżyjący już reżyser Sylwester Szyszko nie ma nic wspólnego z ministrem Janem Szyszka. Wyjaśniamy, skąd podejrzenie, że ma. Otóż śp. Sylwester nakręcił w roku 1971 film „Obcy w lesie”, którego streszczenie brzmi tak: „Bohater filmu – młody leśniczy – swoją nieprzejednaną postawą, zdecydowanym przestrzeganiem litery prawa naraża się wiejskiej społeczności.

Pobity przez kłusowników nie rezygnuje jednak ze stanowiska. Nieustępliwy, przekona w końcu otoczenie o słuszności swego postępowania”.

Żeby nie było – zapytaliśmy o sprawę ministra Szyszkę, licząc na rzewną opowieść w stylu: „To film wuja sprawił, że postanowiłem zostać leśnikiem”. Minister Jan rozwiął nasze nadzieje i oświadczył, że rodzinnych koneksji z autorem „Obcego w lesie” brak. Zdradził za to, że został leśnikiem z inspiracji ojca.

Jeszcze o drzewach. Wszyscy je ostatnio sadzili: kaczyści, Peezel, PeŁo. W Warszawie łopate trzymał na przykład Tomek Siemoniak, były wicepremier i szef MON. Mało kto wie, że Tomek Siemoniak za młodu sadził drzewa masowo, w ramach szkolnych robót na hałdach w Wałbrzychu. I komu to przeszkadzało?

Wracając do lasu. Były prezydent Bronisław Maria uczy swojego wnuka polować. Na razie oswaja Stasia, lat 7, z drewnianym sztucerkem. Co jest o tyle ciekawe, że przecież wszyscy wiedzą, iż Bronisław nie poluje. To znaczy było to oczywiste, kiedy była kampania wyborcza. Bo teraz to już nawet tefaueny uważają za oczywiste, że jednak poluje.

Ciekawa rzecz – ministrowie Dobrej Zmiany zaczęli się pojawiać ostatnio w studiach radiowych i telewizyjnych z obstawą w postaci rzeczników prasowych. Rzecznicy na razie nie wchodzą jeszcze na antenę ze swoimi chlebobdawcami, ale kto wie, może wszystko jeszcze przed nami. Najbardziej żal nam Rafała Bochenka. On dla odmiany często wchodzi na antenę bez swojej chlebobdawczyny, a jednak nie powinien.

Jeszcze o Dobrej Zmianie – niedługo będzie kłopot z kadrami niższego szczebla. Pracownicy niektórych urzędów (między innymi Kancelarii Sejmu) skarżą się, że tyłu regulacji co teraz, na temat: „Co wolno, czego nie wolno, co trzeba i czego nie trzeba”, nie wydano dotąd łącznie przez cały czas istnienia III RP. I to nieco studzi zapał do pracy, za to zachęca do rozglądania się za inną robotą.

Jeszcze o historii najnowszej III RP, ciekawostka dla zainteresowanych dziejami mediów polskich. Dawno, dawno temu, kiedy powołano rząd Jana Olszewskiego, szefostwo radiowej Trójki zleciło reporterce politycznej Monice Olejnik, żeby obsługiwała w Sejmie nowy rząd. Niestety, nasza ulubiona resortowa bejbi oświadczyła, że nie chce mieć z tymi ludźmi nic wspólnego. To tak à propos bezstronnego i wyważonego dziennikarstwa. A wiecie, kto w końcu zajął się obsługą rządu Olszewskiego? Paweł Rabej, dziś członek zarządu Nowoczesnej Kropki.

Ciekawą literówkę znaleźliśmy ostatnio w „GazPol”-u codziennym. W pewnym tekście padały tam gromy pod adresem władzy dawno i słusznie minionej (w którym tekście tam takie nie padają?), którą określono mianem „koalicji PO-PRL”. W sumie słusznie. Sami byśmy lepiej PSL-u nie scharakteryzowali. Literówka prawdę ci powie.

Wieści z Warszawy. Komitet Obrony Demokracji nie lubi już Hanki ze stołecznego ratusza. Wszystko dlatego, że ratusz ostatnio niechętnie daje zlecenia rozmaitym firmom, których właściciele pomagają KOD-uchom organizować spacer po Warszawie. Dlatego ludzie Wielkiego Kuca Kijowskiego nie mogą się doczekać, kiedy Hankę na stanowisku prezydenta Warszawy zastąpi Rafał Trzaskowski. Liczą, że będzie z niego ludzki pan.

Ledwie Amnesty International ogłosiła start nowej akcji antyhejterskiej „#NIEnaWiść”, a już włączył się w nią radny PeŁo z Gdańska Przemysław Ryś, pisząc o dziennikarzach: „Małe hitlerki jawnie sztydzące z KOD-u, Platformy i Nowoczesnej”. A mógł przecież napisać ostrzej: „Wielkie Hitlerzy”. Znaczący pod wpływem akcji przemysłał swe postępowanie! Gratulujemy ci, Amnesty!

Do akcji włączył się też kabaretowy rozrywkowiec Bałtroczyk Piotr, który ogłosił, że kobiety w PiS to grupa „agresywnych, bezczelnych, obłudnych, zakłamanych i brzydkich stworów”. A przecież mógł ostrzej: „Małe hitlerki jawnie sztydzące z KOD-u, Platformy i Nowoczesnej”. Znaczący pod wpływem akcji przemysłał swe postępowanie! Gratulujemy ci, Amnesty!



Praca dla polskiej armii

Zbrojeniówka przygotowuje się do realizacji kolejnych zadań związanych z modernizacją techniczną wojska. Szczególną rolę odgrywa w tym procesie narodowy koncern obronny Polska Grupa Zbrojeniowa, która szykuje grunt pod nowe kontrakty dla przemysłu

Część programów modernizacyjnych została już zakontraktowana. Zgodnie z zapowiedziami resortu obrony podstawowym partnerem w modernizacji technicz-

nej Sił Zbrojnych jest Polska Grupa Zbrojeniowa.

DOBRY WYNIK ZBROJENIÓWKI

To właśnie do zakładów skonsolidowanych w PGZ zostały skierowane wojskowe zamówienia. Tylko w ub.r. podpisano ich kilka. Najważniejsze trafiło do artyleryjskiej Huty Stalowa Wola, jednej z wiodących fabryk Grupy PGZ. Chodzi o umowę na produkcję czterech dywizyjnych modułów ogniowych o kryptonimie Regina. W skład każdego zamówionego modułu wchodzi 24 armatohaubice samobieżne Krab, trzy wozy dowódczo-sztabowe, osiem wozów dowódczych różnego szczebla, sześć

wozów amunicyjnych oraz jeden wóz remontu i uzbrojenia. Oznacza to, że zgodnie z kontraktem Huta Stalowa Wola wyprodukuje 96 krabów, które uznawane są za największe działa w polskich Siłach Zbrojnych, a także za najnowocześniejsze haubice na świecie. Krab może strzelać na odległość nawet 40 km i niszczyć znajdujące się w tym zasięgu systemy rakietowe, baterie artylerii i rakiet przeciwlotniczych, stanowiska dowodzenia, węzły łączności, a także umocnienia przeciwnika. Wartość kontraktu jest imponująca – wynosi ponad 4,5 mld zł. To największe zamówienie, jakie po 1989 r. polskie wojsko skierowało do krajowego przemysłu obronnego.

– Decyzja o podpisaniu tej umowy ma ogromne znaczenie dla wzmocnienia wojsk operacyjnych, dla przeciwstawienia się jakiegokolwiek agresji. Nie istnieje państwo bez armii, nie istnieje armia bez własnego przemysłu. Polska armia będzie armią silną, zdolną zmierzyć się z każdym przeciwnikiem. Polegamy na własnej armii, na własnym sprzęcie, na takich pracownikach jak tutaj, w Stalowej Woli, i na takich zakładach jak Huta Stalowa Wola. Siła naszej armii jest przede wszystkim w możliwościach, które stwarzają Polacy swoją ciężką pracą. Polski przemysł będzie wspierał polską armię, ale będzie też się rozwijał dla siły i zamożności wszystkich Polaków – powiedział minister Antoni Macierewicz podczas uroczystości podpisania umowy.

W ub.r. spółki z Grupy PGZ podpisały też wiele innych umów, dotyczących m.in. produkcji systemu obrony przeciwlotniczej bardzo bliskiego zasięgu Pilica czy przenośnych przeciwlotniczych zestawów rakietowych Piorun. Rekordowa liczba zamówień na produkcję broni popłynęła do radomskiego Łuczniaka. Wśród nich znalazł się największy kontrakt od 2000 r. Dotyczy on produkcji 17,6 tys. karabinków Beryl oraz 8,4 tys. karabinków Mini-Beryl. Jego wartość robi wrażenie – to ponad 156 mln zł. Na tym jednak nie koniec, bo zarząd Łuczniaka negocjuje z Inspektorem Uzbrojenia kolejny wielki kontrakt. Tym razem chodzi o 350 mln zł. Zamówione uzbrojenie ma trafić na wyposażenie wojsk operacyjnych, a także żołnierzy nowo formowanej obrony terytorialnej. Radomska fabryka ma za sobą świetny rok. Przychód zakładu był rekordowy – wyniósł blisko 81 mln zł, co jest najlepszym wynikiem od 2000 r.

MORSKIE WYZWANIA

Jednym z priorytetów strategii Polskiej Grupy Zbrojeniowej na najbliższe lata jest budowa porozumień z partnerami zagranicznymi. Część programów zawartych w Planie Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych RP wymaga międzynarodowej kooperacji. Przede wszystkim z uwagi na nowoczesne technologie, którymi dysponują wiodące firmy światowe.

Przykładem są programy związane z modernizacją floty RP. PGZ buduje porozumienia z koncernami zagranicznymi oferującymi Marynarce Wojennej swoje okręty. W ub.r. Polska Grupa Zbrojeniowa



Dron E-310
oferowany przez
PGZ. FOT. PGZ

podpisała porozumienie okrętowe ze szwedzką firmą SAAB, która jest producentem okrętów podwodnych A26. Z kolei już w 2017 r. PGZ podpisała umowę o współpracy z francuskim koncernem stoczniowym DCNS, oferującym Marynarce Wojennej okręty podwodne typu Scorpène, a także kooperację przemysłową w zakresie programów dotyczących okrętów nawodnych „Miecznik” i „Czapla”. Porozumienia związane z przemysłem stoczniowym zakładają głęboki transfer technologii do polskich spółek na Wybrzeżu. Te zaś mają się coraz lepiej, ponieważ w styczniu ruszył proces konsolidacji przemysłu stoczniowego pod szyldem PGZ. Najpierw za ponad 100 mln zł został kupiony Szczeciński Park Przemysłowy (dawna Stocznia Szczecińska), teraz zaś trwa procedura przejęcia przez specjalną spółkę celową – PGZ Stocznia Wojenna – Stoczni Marynarki Wojennej w Gdyni.

PGZ przygotowuje infrastrukturę przemysłową do realizacji programów morskich. Na ich bazie będzie także rozwijać ofertę dla rynku cywilnego. To zresztą już się dzieje: ostatnio należąca do Polskiej Grupy Zbrojeniowej Morska Stocznia Remontowa „Gryfia” zdobyła kontrakt na budowę promu towarowo-pasażerskiego dla Polskiej Żeglugi Bałtyckiej. Prom będzie budowany na pochylni Wulkan, która znajduje się na terenie Szczecińskiego Parku Przemysłowego. To pierwszy z efektów synergii generowanych przez konsolidację przemysłu stoczniowego.

PGZ GRA Z LIDERAMI

Zarząd PGZ chce, żeby Grupa osiągała coraz lepsze wyniki, a marka polskiego przemysłu była coraz bardziej rozpo-

znawalna na świecie. Dlatego konsekwentnie buduje pozycję spółki na rynku międzynarodowym i prowadzi negocjacje ze światowymi liderami przemysłu obronnego, którzy mogą wziąć udział w modernizacji technicznej wojska.

W 2017 r. Polska Grupa Zbrojeniowa zawarła też porozumienia dotyczące innych, nie tylko morskich, programów modernizacyjnych. Jednym z nich jest umowa z koncernem Leonardo, który oferuje Ministerstwu Obrony Narodowej swoje śmigłowce. To zacieśnienie współpracy z włoskim partnerem: pierwszy list intencyjny pomiędzy PGZ i Leonardo został podpisany podczas Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach we wrześniu ub.r. Ostatnio PGZ podpisała także porozumienie z międzynarodowym koncernem rakietowym MBDA. Dotyczy ono potencjalnej współpracy przy programie o kryptonimie Narew, w ramach którego Siły Zbrojne RP pozyskają przeciwlotniczy system rakietowy krótkiego zasięgu. MBDA zadeklarowało wolę szerokiej współpracy z polskim przemysłem. Chodzi przede wszystkim o know-how oraz włączenie spółek z Grupy PGZ w międzynarodowy łańcuch dostaw koncernu.

Z kolei w lutym br. Polska Grupa Zbrojeniowa podpisała list intencyjny z amerykańskim koncernem Northrop Grumman. Dokument dotyczy współpracy w zakresie radarów kierowania ogniem wykorzystujących opartą na azotku galu technologię AESA, a także elektroniki pojazdów i systemów dla Marynarki Wojennej.



Sławomir Cenckiewicz

Służby specjalne III RP dobrze wiedziały, że Edward Mazur był zarejestrowanym agentem SB. Do końca go chroniły, nie ujawniając tej informacji

Nigdy nie miałem i nie mam związków ze służbami specjalnymi jakiegokolwiek kraju – kategorycznie oznajmił Edward Mazur w wywiadzie dla „Super Expressu” w listopadzie 1998 r.

Nieprawda! Ukrywał swoje wieloletnie związki ze Służbą Bezpieczeństwa, bez której przyzwolenia i pomocy nie mógłby prowadzić na dużą skalę interesów w Polsce Ludowej, będąc w dodatku obywatelem Stanów Zjednoczonych. Po latach nieokreślonej do końca interakcji pomiędzy nim a komunistycznymi służbami przystał wreszcie na formalny werbunek. 7 marca 1985 r. w obecności dwóch funkcjonariuszy Departamentu I MSW (wywiadu) w hotelu Victoria w Warszawie złożył własnoręczne zobowiązanie do współpracy, przybierając pseudonim Martel. Ten wyjątkowy moment w życiu Mazura został w dodatku potajemnie utrwalony na nagraniu (ponad trzy godziny) i uwieczniony na serii fotografii. Mazur inwestował w ten sposób w siebie, swoje znajomości i długoletnie interesy w Polsce, które porzucił dopiero zabójstwo kome-



Tajemnica

danta głównego policji gen. Marka Papałę (25 czerwca 1998 r.), a w zasadzie związane z tym niejasne okoliczności zatrzymania Mazura, do którego doszło 25 lutego 2002 r., pospieszne wypuszczenie z aresztu, odstąpienie od postawienia zarzutów i wreszcie bezpowrotna ucieczka do Stanów Zjednoczonych.

Mazur był jedną z ostatnich osób, które widziały żywego Papatę. Po zabójstwie ówczesnego szefa policji płatny morderca Artur Zirajewski ps. Iwan obciążył właśnie Mazura – twierdził, że biznesmen miał namawiać do zabicia generała. Cztery lata po pierwszym zatrzymaniu w Polsce, Mazura zatrzymano

Edward Mazur w III RP

Po 1990 r. Edward Mazur funkcjonował w środowisku polskich polityków i biznesmenów jako prężnie działający polonijny przedsiębiorca. Wspólnie z ówczesnym politykiem PSL Zbigniewem Komorowskim założył spółkę Bakoma produkującą jogurty i kefiry, później sprzedał swoje udziały i zainwestował je w firmie zajmującej się łącznością satelitarną. Uczestniczył też w kilku transakcjach realizowanych przez Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego kie-

rowany przez Grzegorza Żemka. Sylwester Latkowski w swojej książce „Zabić Papatę” pisał też, że Mazur miał być jednym z udziałowców polsko-rosyjskiej spółki Abexim, zlokalizowanej na rosyjskich nieruchomościach eksterytorialnych w Warszawie. Jednocześnie cały czas Edward Mazur – prawdopodobnie aż do 1996 r. – pozostawał współpracownikiem II Zarządu Urzędu Ochrony Państwa.

Biznesmen świetnie odnajdował się na politycznych salonach

III RP. Wśród jego znajomych byli m.in. były wiceszef ABW Zdzisław Skorża, byli premierzy Waldemar Pawlak i Leszek Miller, a także prominentni funkcjonariusze SB: płk Hipolit Starszak (od 1984 do 1990 r. zastępca prokuratora generalnego), gen. Józef Sasin (były dyrektor Departamentu V MSW) czy gen. Zdzisław Sarewicz (były szef kontrwywiadu i wywiadu MSW). Mazur miał dobre, towarzyskie relacje z gen. Marianem Zacharskim, Władimirem Ałga-

nowem, Aleksandrem Żaglem, Andrzejem Kuną i Romanem Kurnikiem

Biznesmen był też jedną z ostatnich osób, które 25 czerwca 1998 r. widziały żywego gen. Marka Papatę. Ówczesny szef policji pojawił się na imprezie imieninowej gen. Józefa Sasina, gdzie miał z Mazurem rozmawiać o swoim wyjeździe do USA. Kilka godzin później szef policji został zastrzelony pod swoim domem przy ul. Rzymowskiego w Warszawie.



„Martela”

w USA. Wówczas prokuratura postawiła mu już zarzut zabójstwa Papąły. Jednak Stany Zjednoczone nie zgodziły się na ekstradycję. Główny świadek oskarżenia w tej sprawie – „Iwan” – zmarł w niejasnych okolicznościach w areszcie śledczym w 2010 r. (oficjalna przyczyna zgonu: zator płucny).

Ustawowa likwidacja zbioru zastrzeżonego IPN obnaża kłamstwa i ujawnia nieznaną historię amerykańskiego biznesmena.

INTERAKCJE MAZURA

Najbliżej rozwikłania długiej historii związków Edwarda Mazura z tajnymi

służbami PRL był Sylwester Latkowski. Nie miał dostępu do wszystkich akt, a mimo to w interesującej książce „Zabić Papąłę” trafnie zrekonstruował biznesową karierę młodziutkiego Mazura (rocznik 1946, od 1962 r. w USA) i początki zainteresowania się nim rzeszowskiej SB. Wszystko zaczęło się w 1972 r., kiedy Mazur zaczął przyjeżdżać do Polski jako przedstawiciel amerykańskiej firmy Arthur McKee poszukującej możliwości inwestycyjnych w PRL (wydobycie miedzi, przemysł farmaceutyczny, przetwórstwo owocowo-warzywne, walcownie itd.). Latkowski opisał związki Mazura z kolejnymi funkcjonariuszami SB, jego kontakty z coraz wyżej postawionymi notablami PRL oraz pragmatyczno-utylny stosunek do ludzi służb, dzięki którym (przyznanie wizy, zgoda na wjazd do Polski i prowadzenie działalności gospodarczej) mógł skutecznie pomnażać swój majątek. Celnie odsłonił kulisy przejęcia sprawy Mazura przez wywiad, słusznie uznając ostatecznie, że „od lat siedemdziesiątych poprzez osiemdziesiąte” był on źródłem informacji Departamentu I MSW.

W szczegółach sprawa była nieco bardziej złożona, ale prawdą jest, że początkowo Mazur wpadł w oko kierownictwu rzeszowskiej bezpieki, aby po dokładniejszym naprowadzeniu przez agenta zaprzyjaźnionego z polonijnym biznesmenem (TW ps. Brzeski) już w 1973 r. znaleźć się w centrum zainteresowania pionu amerykańskiego wywiadu (Wydział IV Departamentu I MSW). „Amerykanie” z Departamentu I w latach 1973–1975 prowadzili „na Mazura” tzw. sprawę wstępną o kryptonimie Michigan, w ramach której kontrolowano jego poczynania biznesowe w Polsce. Sprawa „Michigan”

W 1999 r. płatny morderca Artur Zirajewski „Iwan” zeznał w prokuraturze, że w kwietniu 1998 r. Edward Mazur podczas spotkania w gdańskim hotelu Marina, w którym oprócz niego uczestniczyli również Andrzej Zieliński ps. Słowik oraz Nikodem Skotarczak „Nikoś”, miał namawiać do zabójstwa gen. Papąły. Za wykonanie zlecenia miał oferować 40 tys. dol.

W 2002 r. Edward Mazur podczas pobytu w Polsce został zatrzymany przez

polację. Po przesłuchaniu został zwolniony. Udał się na bankiet z udziałem prominentnych funkcjonariuszy byłej SB i wyjechał do USA. Kilka lat później prowadzący śledztwo w sprawie śmierci Papąły prok. Jerzy Mierzewski ujawnił, że służbowe polecenie zwolnienia Mazura otrzymał od ówczesnego prokuratora krajowego Karola Napierskiego. Powiedział też, że jego zdaniem decyzja o zwolnieniu Mazura i zgodzie na jego wyjazd z kraju „nie

była podyktowana tylko oceną materiału dowodowego”.

Cztery lata później – w 2006 r. – Edward Mazur został zatrzymany w USA pod zarzutem zabójstwa Marka Papąły. Stany Zjednoczone nie zgodziły się na jego deportację do Polski.

Główny świadek oskarżenia w tej sprawie, czyli Artur Zirajewski, zmarł w tajemniczych okolicznościach w areszcie śledczym 3 stycznia 2010 r. Oficjalną przyczyną śmierci miał być zator płucny.

Dwa lata później prokuratura uznała, że do zabójstwa Papąły doszło w wyniku napadu rabunkowego z użyciem broni palnej, a sprawcy ponoć chcieli ukraść jego samochód (gen. Papąła jeździł dość przeciętnym autem – daewoo espo). W 2013 r. prokuratura w Łodzi uchyliła postanowienie o areszcie wobec Mazura. Odwołano międzynarodowy list gończy w jego sprawie.

Wojciech Wybranowski

odżyła w nowej formie w 1976 r., kiedy podczas rozmów w Komisji Planowania przy Radzie Ministrów PRL Edward Mazur zwrócił na siebie uwagę, przekazując wysoko postawionemu Januszowi Hrynkiwiczowi raport firmy Arthur McKee na temat oczyszczania wody i procesu zgazowania węgla, którego przydatność Instytut Górnictwa Naftowego i Gazownictwa ocenił „bardzo wysoko”. Wywiad zaczął wówczas intensywnie rozpracowywać Mazura w Ameryce (przez rezydenturę w Chicago) i w kraju z myślą o nawiązaniu z nim bezpośredniego kontaktu. Zebrano obszerny materiał informacyjny o życiu prywatnym, poglądach i interesach Mazura, ale wciąż się zastanawiano, kim on jest. „Jest osobnikiem ruchliwym posiadającym szerokie i czasami wysoko postawione znajomości” – czytamy w planie działań operacyjnych sprawy o kryptonimie Martel z kwietnia 1977 r. Chodziło m.in. o związki Mazura z prof. Adamem Gierkiem (syn I sekretarza KC PZPR, którego „Martel” miał gościć przez trzy miesiące w Chicago), wicepremierem Tadeuszem Pyką, ministrem przemysłu spożywczego i skupu Emilem Kołodziejem, wiceministrem hutnictwa Bolesławem Graszewskim oraz wieloma innymi partyniakami i notablami PRL.

KIM JEST „MARTEL”?

W Departamencie I MSW rozwiano różne hipotezy na temat Mazura. Oferent? Mitoman? Agent CIA? A może po prostu karierowicz żądny szybkich pieniędzy, który „chce utrzymać kontakty z konsulem PRL”, gdyż „widzi tu swój interes”? Takie sygnały wysyłali bezpiekę także „sąsiedzi” z wojska, których służby – Zarząd II i Wojskowa Służba Wewnętrzna – zwróciły uwagę na Mazura jako działacza sportowego (był prezesem klubu Wisła w Chicago), który podkupywał piłkarzy i bokserów CWKS Legia Warszawa (ale i innych klubów), oferując im dalszą karierę w klubach polonijnych. „Zieloni” byli zmuszeni z niego zrezygnować ze względu na pierwszeństwo Gwardii z SB.

Rezydentura wywiadu w Chicago, która poprzez mjr. Ireneusza Kubiczka (ps. Sternik) pod koniec 1977 r. prowadziła już bezpośredni dialog z Mazurem, skłaniała się ku tezie, że „załatwia [on] swe pry-

watne interesy w Polsce podczas podróży służbowych, których koszty pokrywa McKee, popełnia czyny niełojalne wobec tego przedsiębiorstwa, narażając się na konsekwencje dyscyplinarne do zwolnienia i zwrotu kosztów delegacji włącznie”. Nieskrywana skłonność do autonomizacji miała przemawiać za koncepcją agenturalnego werbunku.

Za nawiązaniem kontaktu z Mazurem przemawiał również jego pozytywny stosunek do Polski Ludowej i „ściśła współpraca” z przybudówką wywiadu, którym było dezintegrujące polskie wychodźstwo Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia” (co było nawet powodem ataków na Mazura ze strony „reakcyjnych kół polonijnych” i Radia Wolna Europa). Autentyczne koneksje i kontakty, które w dodatku potwierdziło rozpracowanie operacyjne, dawały Mazurowi olbrzymie możliwości rozpoznania środowisk polonijnych, w sprawach ekonomicznych, karbochemii, a nawet amerykańskich tajnych służb. Mazur stał się dla służb wyzwaniem. Wpisywał się ponadto w pożądaną ówczesnie wizerunek Polonusa: lojalnego wobec PRL, utrzymującego kontakty z konsulem PRL, przyjeżdżającego do kraju (w latach 1972–1979 był w Polsce 61 razy), skłóconego z najbardziej antykomunistycznymi środowiskami

polonijnymi, a w dodatku pragmatyka oferującego pogrążającej się w kryzysie Polsce Ludowej dewizowe kredyty.

Komuniści byli pod wielkim urokiem Mazura, kiedy w styczniu 1978 r. w imieniu grupy prywatnych amerykańskich biznesmenów z Nevady (Żydów z korzeniami polskimi) zaoferował ministrowi Maciejowi Wirowskiemu udzielenie Polsce kredytu w wysokości miliarda dolarów w dwóch ratach. Dzięki temu Mazur coraz swobodniej mógł się poruszać po gabinetach dyrektorów Central Handlu Zagranicznego (m.in. Agros, Polimex-Cekop), inicjując wspólne – a w konsekwencji prywatne – interesy w imieniu Arthur McKee, General Food i innych amerykańskich firm.

„W NASZYCH RĘKACH”

Stałe relacje Edwarda Mazura z konsulem w Chicago (faktycznie z rezydenturą wywiadu) i jego interesy w kraju dawały podstawę do podjęcia poufnych rozmów w Warszawie. Stawką było zwerbowanie Mazura do współpracy w oparciu o względy pragmatyczne: SB nie będzie przeszkadzać w uzyskiwaniu zgody na kolejne przyjazdy do PRL i pomoże w interesach w zamian za przekazanie informacji na temat amerykańskich „protektorów” i ewentualnych „kontaktów ze służbami specjalnymi USA”. Dla centrali

wywiadu w Warszawie było bowiem oczywiste, że amerykańskie inwestycje w krajach bloku sowieckiego znajdują się pod ścisłą kuratelą CIA, a osoby odpowiedzialne za kontakty w „demoludach” (takie jak Mazur) z definicji muszą mieć kontakty ze specsłużbami. Nieprzypadkowo zatem podczas pobytów w Polsce sprawę Mazura realizował kontrwywiad zagraniczny (Wydział X Departamentu I MSW).

Jednak kiedy w maju 1980 r. ppłk Franciszek Krawczyk z Departamentu I MSW zbyt nachalnie naciskał na swobodną i poufną rozmowę w Hotelu Europejskim w Warszawie, Mazur – przebywający w dodatku w otoczeniu pięknych kobiet – poczuł się na tyle niezręcznie, że kiedy wrócił do Chicago poskarżył się rezydentowi na „jawną inwigilację” ze strony SB i zagroził, że zawiesi na jakiś czas swoje wyjazdy do Polski.

W ramach retorsji bezpieka uznała wówczas, że Mazur realizuje w Polsce zadania CIA i nale-

Opis wstępnego arkusza podlegających mikrofilmowaniu

KARTA KIESZENIOWA NR J-13789 16294
/JACKET/ NR REJESTRACYJNY

NAZWA SPRAWY MARTEL

NAZUR Edward

NAZWISKO I IMIE GŁÓWNEGO FIGURANTA

RODZAJ / KATEGORIA SPRAWY / TĘŻEN / KRAJ /

WŁAŚCICIEL 1985 1980 8 Dep I MSW

ROK EDYCJI SPRAWY DO ARCHIWUM JEDNOSTKA ZAKŁADAJĄCA

JEDNOSTKA EDUJĄCA

DATA FILMOWANIA

RODZAJ FILMU

Anonimizacji dokonano w Archiwum IPN

eprasa.pl 4b4f7c8a88

strona: 0002

Ipn bu 3246/448/3
BU Z/002345/115 t3

WARSZAWA, 1985. 03. 14

TAJNE SPEC. ZNACZENIA

EGZ. POJ.

**Nagranie audio rozmowy
werbunkowej Edwarda Mazura
dostępne na: www.dorzeczy.pl**

DOKUMENTACJA FOTOGRAFICZNA
ROZMOWY WERBUNKOWEJ Z "MARTELEM"

"MARTEL" - siedzi na wprost
J. DABECKI - " po lewej stronie
T. TYSZKIEWICZ " po prawej stronie



strona: 0560

FOT. IPI

ży jak najszybciej doprowadzić w kraju do jego konfrontacji z oficerem kontrwywiadu, który postawi mu zarzut pracy dla amerykańskiego wywiadu. Zgodnie z planem naszkicowanym w kwietniu 1981 r. oficer SB miał podczas rozmowy poruszyć kwestię zależności pomiędzy wysoką pozycją Mazura w firmach amerykańskich inwestujących w Polsce a przyzwoleniem władz PRL na jego swobodne podróżowanie do kraju: „Podkreśli, że karierę w firmach amerykańskich zrobił tylko dlatego, że jest u nich ekspertem ds. polskich, co powoduje zaufanie do niego u jego przełożonych i w konsekwencji przynosi mu określone korzyści finansowe. W naszych rękach jest jego dalsza kariera na tym odcinku, możliwość udzielenia mu pomocy w rozwijaniu jego dotychczasowych

kontaktów handlowych, a tym samym zwiększenia jego dochodów i pozycji w firmie”.

RESTART

Z realizacją tych planów bezpieczeństwa była zmuszona poczekać blisko dwa lata, gdyż podejmowane w tym czasie próby przeprowadzenia rozmowy werbunkowej z Edwardem Mazurem nie wyszły w zasadzie poza ramy bezkonkluzywnego „dialogu operacyjnego”.

Kolejna szansa pojawiła się w 1983 r. kiedy Mazur już jako właściciel firmy handlowej Import-Export złożył wniosek o uruchomienie Przedsiębiorstwa Polonijno-Zagranicznego Maz-Pol-Mer w Brzezinach pod Łodzią. Przedmiotem tej działalności miały być usługi motoryzacyjne – od oferty usług naprawczych i lakier-

nicznych do sprowadzania mercedesów z RFN i handlu częściami samochodowymi. Zgodnie z wytycznymi SB w lutym 1984 r. wojewoda skierniewicki udzielił Mazurowi pozwolenia na założenie firmy. Znamienne dla sposobu działania Mazura był fakt, że jego współnikiem w Maz-Pol-Mer został Czesław Józwiak – były funkcjonariusz MO i współpracownik SB.

SB ponownie zarzuciła swoją sieć na Mazura, który jesienią 1984 r. przybył do Polski na rozmowy z CHZ Agros (na temat eksportu mrożonek do Ameryki) i Zakładami Przemysłu Cukierniczego 22 Lipca (eksport słodczy) w imieniu General Food, w której odpowiadał za współpracę z krajami Europy Wschodniej. Agenda rozmów Edwarda Mazura była zresztą o wiele bogatsza, bo zaplanował też rozmowy na temat kontaktów w Animexie, Rolimpexie (eksport zboża i rzepaku do ZSRS), Ciechu (m.in. zakup karbidu, mocznika, siarczanu amonu) i Węgłokoksie (inwestycje w Wielkiej Brytanii), reprezentując z kolei firmy ConAgra i Continental Grain.

Znalazł jednak czas dla funkcjonariusza SB i 1 grudnia 1984 r. w Hotelu Europejskim w Warszawie ppor. Jarosław Grajewski (występujący pod nazwiskiem legalizacyjnym Dąbecki) przeprowadził z nim długo oczekiwaną rozmowę. Tym razem nie była to zdawkowa wymiana uprzejmości. Mazur był wylewny, swobodny i otwarty. Zrekapitulował swoją dotychczasową drogę życiową i biznesową, wprowadzając do opowieści nieznane wcześniej wątki: przyjaźń z republikańskim kongresmenem Jimmym Healeyem, znajomość z demokratą i kongresmenem Danielem Rostenkowskim oraz kontakty z pracownikami CIA i FBI. Te ostatnie tłumaczył wyjazdami do Polski i kradzieżą samochodu w styczniu 1982 r., o co podejrzewał zwalczających go jako kolaboranta reżimu PRL członków antykomunistycznej organizacji Pomost (rozpracowywanej w tym czasie przez wywiad PRL w ramach sprawy o kryptonimie Igof). Swoją wylewność Mazur przypieczętował przybliżonym opisem pracowników CIA i FBI oraz obietnicą dostarczenia otrzymanych od nich biletów wizytowych, opowieścią o nachodzonym przez FBI ks. Edwardzie Pająku, a także zwróceniem uwagi na właściciela chicagowskiej tawerny Bristol – Jana Miłkowskiego, jako potencjalnego współpracownika FBI.

Kierownictwo wywiadu było usatysfakcjonowane ponownym nawiązaniem dialogu tym bardziej, że po raz pierwszy

Mazur nie stronił od rozmowy na temat amerykańskich tajnych służb. Planowano zatem podtrzymanie dobrego klimatu rozmów, kontrolując Mazura jeszcze szczerzej za pomocą agentury i techniki operacyjnej.

AGENT „MARTEL”

W marcu 1985 r. był gotowy plan rozmowy sondażowo-werbunkowej z Edwardem Mazurem zatwierdzony osobiście przez wicedyrektora Departamentu I MSW płk. Bronisława Zycha. Zakładał złożenie Mazurowi formalnej propozycji współpracy z wywiadem, która miała dotyczyć „przekazywania danych o jego związkach z funkcjonariuszami amerykańskich służb specjalnych” i działalności „wrogiej emigracji”. Miał to być rodzaj umowy biznesowej wymuszonej interesami Mazura w Polsce i związanym z tym jego „dużym zaangażowaniem finansowym”.

Do rozmowy werbunkowej doszło 7 marca 1985 r. w pokoju hotelowym w Victorii w Warszawie. Z Mazurem rozmawiali dwaj funkcjonariusze Wydziału X Departamentu I MSW: ppor. Jarosław Grajewski (nazwisko legalizacyjne Dąbeci) i kpt. Tadeusz Awdankiewicz (nazwisko legalizacyjne Tyszkiewicz). Mazur w swobodny sposób (był po imieniu z jednym z funkcjonariuszy SB) i dość precyzyjnie charakteryzował swoje wieloletnie kontakty z pracownikami CIA i FBI, którzy interesowali się inwestycjami firmy Arthur McKee w Polsce. Opisał w ten sposób Thomasa Webera z „industrial section” CIA, który nachodził Mazura w firmie, oraz dwóch agentów FBI – Jamesa Healy’ego (nie mylić z wymienionym wcześniej kongresmenem) i Jonathana Newcomba (przekazał jego wizytówkę), którzy z kolei składali wizyty w mieszkaniu i rozpytywali o kontakty Mazura z pracownikami Konsulatu Generalnego PRL w Chicago (mieli jego fotografie z prowadzonej obserwacji). Mazur przybliżał również metody pracy amerykańskich służb, sylwetki znanych mu osób współpracujących z amerykańskimi tajnymi służbami (Jana Miłkowskiego, ks. Edwarda Pajaka, Edwarda Nowaka i Mary Franklin), biznesmenów polskiego pochodzenia (Waltera Rogowskiego) oraz swoje możliwości dotarcia do handlowców, kongresmenów i senatorów. Wokół tych zagadnień kreślono również główne zadania wywiadówcze Mazura: pogłębienie znajomości z Weberem, sporządzenie „wszechstronnej charakterystyki” Nowaka, identyfikacja kolejnych pracowników CIA zajmujących się sprawami polskimi, inwigi-

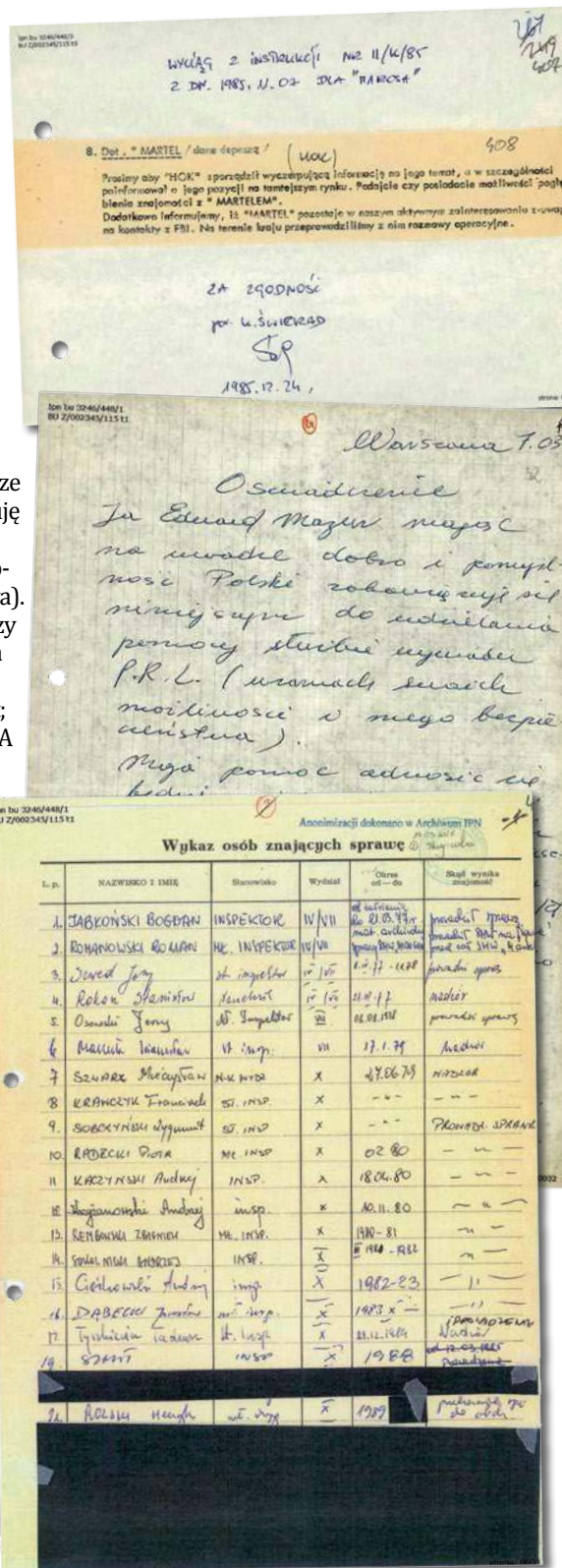
lacja osób powiązanych z Pomostem. Ustalono, że ze względów bezpieczeństwa Mazur „łącznikowany” będzie na razie wyłącznie podczas jego kolejnych wizyt w kraju, choć w przyszłości miały to być również „kraje trzecie” (np. Jugosławia).

Po trzech godzinach przyjaznej rozmowy Edward Mazur złożył obszerne pisemne oświadczenie – zobowiązanie, którego treść podyktował jeden z funkcjonariuszy SB: „Ja Edward Mazur mając na uwadze dobro i pomyślność Polski zobowiązuję się niniejszym do udzielania pomocy służbie wywiadu PRL (w ramach swoich możliwości i mego bezpieczeństwa). Moja pomoc odnosić się będzie między innymi do: informowania o wszelkich kontaktach z funkcjonariuszami FBI i CIA, którzy podejmą ze mną kontakt; informowania o wrogiej Polonii w USA działającej przeciwko Polsce; informowania o niektórych szczegółach stosunków polsko-amerykańskich, których znajomość nabędę w wyniku uczestnictwa w pracach mieszanej Komisji Polsko-Amerykańskiej. Kontakty z funkcjonariuszami FBI i CIA nawiążę za zgodą służby wywiadu PRL i będę informował o wszelkich szczegółach związanych z ewentualną współpracą. W szczególnej tajemnicy zachowam fakt rozmów z pracownikami wywiadu PRL, nazwiska pracowników oraz przedmiot prowadzonych ze mną rozmów. Dla konspiracji mego kontaktu z pracownikami wywiadu PRL używał będę pseudonimu Martel”.

Mazur spisał również notatkę na temat swoich związków z pracownikami FBI i CIA, podał ich przybliżone rysopisy i przekazał dane taktyczno-techniczne maski przeciwigazowej będącej na wyposażeniu armii amerykańskiej. Całość rozmowy została potajemnie utrwalona na taśmie magnetofonowej i licznych fotografiach, które przetrwały do dziś (pod koniec spisywania zobowiązania nagranie się urywa).

„SZCZERY I LOJALNY”

Werbunek Edwarda Mazura został zatwierdzony, on sam zaś został zareje-



strowany jako agent Departamentu I MSW o pseudonimie Martel, którego prowadzono w ramach sprawy rozpracowania operacyjnego (RO kryptonim Martel). Już w kwietniu 1985 r. Mazur ponownie spotkał się z kpt. Tadeuszem Awdankiewiczem. Przekazał pogłębione informacje na temat Webera, dystrybuowania przez

niego pieniędzy na Jagiellonian Found (w czym pośredniczył) i przybliżał „Polish studies program” na Wayne State University, wymieniając nazwiska wykładowców i stypendystów z Polski. Mazur opisał też rozmowę operacyjną z Healym z FBI z 28 marca 1985 r., czyli po powrocie z Polski. Zgodził się także na pomoc w sporządzeniu portretu pamięciowego Healy’ego, co zrealizowano w późniejszym czasie (10 października 1985 r.) przy pomocy portrecisty z Komendy Głównej MO. Zgodnie z zaciągniętym zobowiązaniem przekazał także informacje na temat Edwarda Nowaka, który miał podjąć starania o pracę w FBI, a także Donalda J. Hausfurtera z Chambers of Commerce, wybierającego się do Polski na rozmowy o wymianie handlowej USA-PRL, podczas których miał podjąć temat działalności Fundacji Rockefellera w Polsce.

Kapitan Awdankiewicz napisał w sprawozdaniu, że Mazur „potwierdził swoją gotowość do realizacji naszych zadań. W wyniku rozmów sprecyzowano ich zakres i tematykę. »Martel« poprosił, aby zwolnić go z zadania rozpracowania wrogiej emigracji z powodu braku dotarcia do wiodących działaczy, a także z pracochłonności tych przedsięwzięć”. Uznano go za „szczerego i lojalnego”, chociaż nagle zmiana postawy i otwartość Mazura budziły w wywiadzie PRL wiele wątpliwości, więc zaczęto rozważać przebadanie go na wariografie (nie wiadomo, czy do tego doszło). Mimo zgłoszonej mu zapowiedzi sprawdzenia prawdomówności na wariografie Mazur wciąż był dla bezpieczeństwa pomocny, realizował postawione zadania. Po powrocie do Chicago spotykał się z kolei z Healym, przekazując później do Warszawy listę pytań, które skierował do niego pracownik FBI. Centrala Departamentu I była zaniepokojona indagowaniem Mazura przez FBI, więc przekazała mu instrukcję, by wyraźnie oznajmił, że „godzi się na spotkania z FBI, gdyż jest lojalnym obywatelem Stanów Zjednoczonych, jednak muszą oni brać pod uwagę jego pozycję w handlu pomiędzy Polską a USA, z którą nie licują ewentualne zadania, jakie mógłby wykonać inny agent”.

Mazur przyjął wytyczne do wiadomości i robił swoje, rozpoznając w Chicago pracowników i metody pracy FBI. W międzyczasie ponownie zmienił zatrudnienie i związał się ze szwajcarską firmą Tradex Gestiom – światowym potentatem w handlu zbożem i przetworami spożywczymi (prowadził interesy także ze Związkiem

Sowieckim). Wiosną 1986 r. »Martel« został przedstawicielem tej firmy na Polskę i otrzymał do dyspozycji „kredyty w wysokości 100 mln dol. przeznaczone na kompensacyjne transakcje handlowe z polskimi CHZ (»Agros« i »Rolimpex«)».

Na przełomie 1986 i 1987 r. Edward Mazur był już milionerem, świetnie ustosunkowanym na szczytach władzy PRL, mającym w dodatku płaszcz ochronny Departamentu I MSW. Coraz bardziej się autonomizował, stroniąc po 1988 r. od regularnych spotkań z funkcjonariuszami SB. W ten sposób dotrwał do transformacji ustrojowej, po której stał się jeszcze bardziej znany i wpływowy niż w czasach PRL. Znał dosłownie wszystkich: premierów, ministrów, parlamentarzystów, generałów bezpieczeństwa,



sportowców, biznesmenów i ludzi nauki. Zadzierzgnięte w czasach PRL kontakty stały się jego wielkim kapitałem. Ludzie tajnych służb, od których zależały w przeszłości jego interesy, zostali jego sojusznikami w nowej rzeczywistości. Współpracę agenturalną z Mazurem zakończono w III RP (nie wiemy nawet, kiedy dokładnie), uzasadniając to jego współpracą z amerykańskimi tajnymi służbami i faktycznym „zamrożeniem współpracy” po 1990 r.

TAJEMNICA STANU

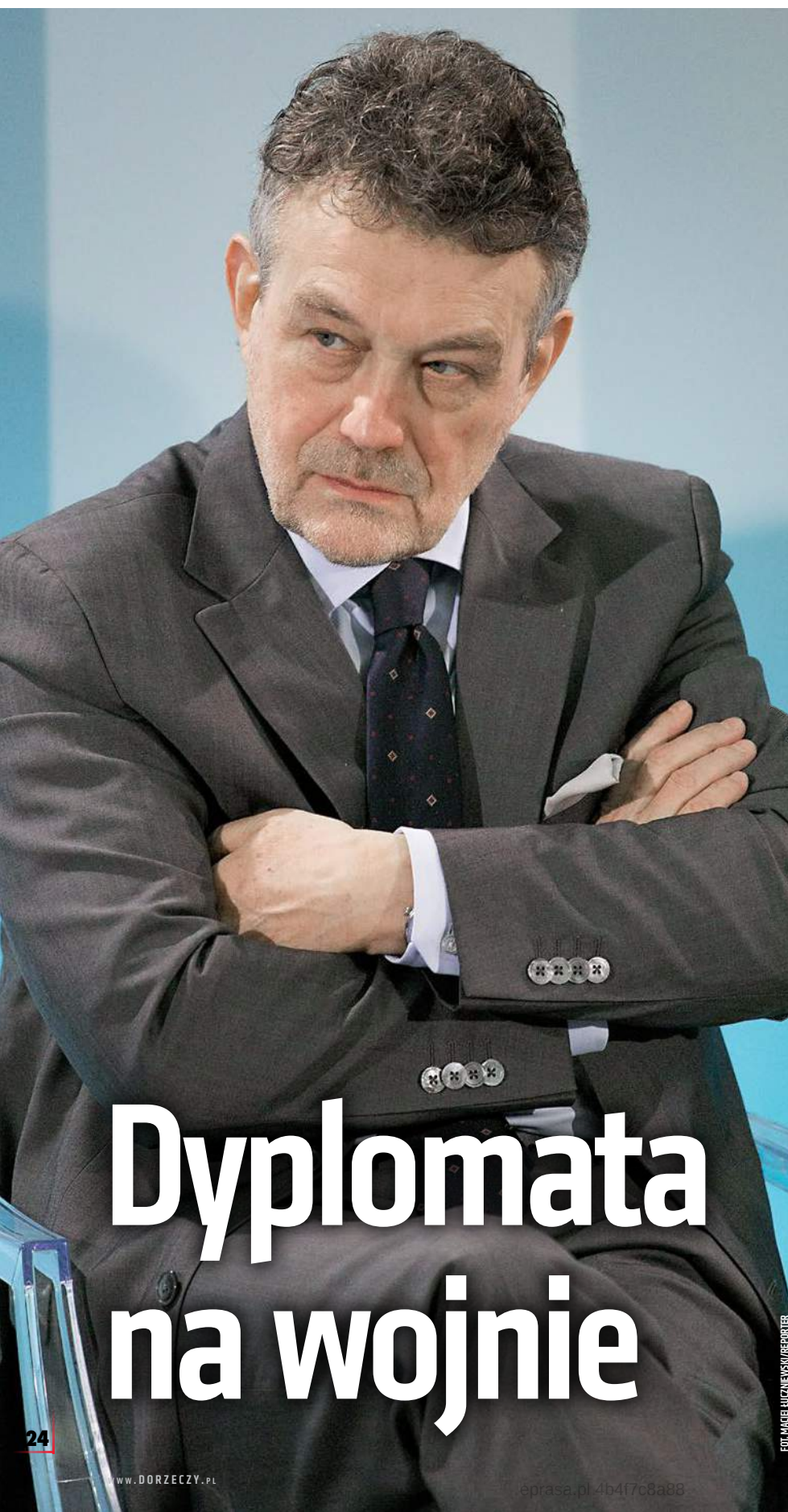
Publiczne zaprzeczanie związkom z bezpieczeństwem nie byłoby możliwe, gdyby nie postawa tajnych służb III RP. Wiedzieli o Edwardzie Mazurze wszystko, ale

z jakichś powodów kolejne kierownictwa UOP, ABW i Agencji Wywiadu przez lata uznawały go „za swojego”, czyli takiego, którego należy na wszelkie sposoby chronić, skrywając przed opinią publiczną, a nawet prokuraturą i najwyższymi władzami tajemnice jego związków z SB. Przedziwną historię ukrywania akt Mazura przez służby najlepiej opisał Sylwester Latkowski w książce „Zabić Papalę”. Tradycyjnie ktoś na Rakowieckiej wpadł na pomysł, by wytłumaczyć śledczym, że materiałów o Mazurze w zasadzie nie ma, a te, które znajdują się w archiwum, są bezwartościowe. Jeden z informatorów Latkowskiego ujął to w jakże typowy dla systemu III RP sposób: „Jeżeli chodzi o pana Mazura, zrobiono kwerendę wszelkich dostępnych materiałów [grudzień 2001 r. – przyp.

S. C.], które były własnością UOP.

W żadnych materiałach nie znaleziono informacji, które w jakikolwiek sposób mogłyby posunąć śledztwo do przodu. Ta wiedza nie wniosłaby niczego do sprawy, natomiast mogłaby zaszkodzić publicznemu wizerunkowi działaczy polonijnych w USA”.

W ten sposób służby III RP, nawet pomimo objęcia Mazura śledztwem, utwierdzały go w publicznie głoszonych kłamstwach, chociaż ujawnienie jego związków z SB i upublicznienie nagrania rozmowy werbunkowej w istotny sposób podważyłoby jego wiarygodność w postępowaniu dotyczącym okoliczności zabójstwa Papali. Niczego w tej sprawie nie zmieniły także powstanie IPN i ustawy o obowiązku przekazywania wszystkich materiałów archiwalnych wytworzonych przez tajne służby PRL do instytutu. Akta sprawy rozpracowania operacyjnego o kryptonimie Martel trafiły do IPN prawdopodobnie dopiero w 2006 r. i od razu zostały skierowane przez Agencję Wywiadu do tajnej skrytki w postaci zbioru zastrzeżonego. Pozostawały w ukryciu aż do 14 marca 2017 r., czyli dnia, w którym formalnie zniesiono gryf tajności z akt sprawy „Martel”. Jednak nawet teraz wszelkie pieczęcie, nazwiska oficerów znających materiały Mazura (blisko 30 oficerów przeglądało akta, począwszy od 1977 r., z czego znane są nazwiska 20), daty przeglądania akt, a nawet złożenia ich do archiwum – zgodnie z prawem – zostały „zanonimizowane”, tak byśmy nie poznali kulis procedowania nad tą sprawą w okresie III RP. Ujawnienie ich byłoby złamaniem ustawy o ochronie informacji niejawnych.



Wojciech Wybranowski

Ryszard Schnepf staje się symbolem tego, co w polskiej dyplomacji należy pilnie zmienić

Do Sejmu trafił przygotowany przez MSZ projekt ustawy o służbie zagranicznej. Zakłada usunięcie ze struktur polskiej dyplomacji osób z PRL-owskim rodowodem. Jedną z negatywnych przesłanek do zatrudnienia w MSZ stanie się współpraca (do 31 lipca 1990 r.) z organami bezpieczeństwa państwa.

Posel Adam Andruszkiewicz (Kukiz'15), wiceprzewodniczący sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą, uważa, że taki projekt minister Witold Waszczykowski powinien złożyć już dawno temu, zaraz po odebraniu nominacji od pani premier. – Polską dyplomację trzeba wreszcie oczyścić z PRL-owskiej agentury, niezależnie od tego, jak silny będzie opór – mówi „Do Rzeczy” Andruszkiewicz.

A opór już jest. Jego swoistą twarzą staje się Ryszard Schnepf, doświadczony dyplomata, były wiceminister spraw zagranicznych w rządzie Donalda Tuska, a także były ambasador RP w Stanach Zjednoczonych, Urugwaju, Paragwaju, Hiszpanii i we Wspólnocie Bahamów, uważany także za zaufanego człowieka Radosława Sikorskiego, były doradca Kazimierza Marcinkiewicza.

RESORTOWY OBROŃCA

„To schizofrenia” – tak Schnepf nazwał projekt zmian w ustawie o służbie zagranicznej. W niedawnej rozmowie z radiem TOK FM przekonywał, że za całym projektem stoi próba „wymiecenia wszystkich tych, którzy pracowali na wysokich stanowiskach za poprzednich rządów”. – Współczuję moim kolegom, bo samo służenie teraz jest niezwykle trudnym psychologicznie procesem – mówił były ambasador. – Trzeba się podpisywać albo wykonywać dyspozycje, które stoją w sprzeczności z tym wszystkim, co robili wcześniej.

Twierdził też, że ofiarą „czystek” padną ludzie, którzy mieli ponoć wpro-

Dyplomata na wojnie

FOT. MACIEJ RUTKIEWICZ/REPORTER

wadzać Polskę do UE i NATO. Zdecydowanie bronił tych dyplomatów, którzy z komunistyczną bezpieką współpracowali. – Nawet ci, którzy pracowali ponoć w służbach... Było dwadzieścia kilka lat, żeby to zweryfikować, a wielu z tych ludzi zasłużyło się Polsce – przekonywał.

– Nie zweryfikowano dyplomacji, bo polskie rządy były chwiejne, słabe, dawna agentura PRL-owska z kolei silna – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” poseł Jacek Żalek (PiS), członek sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą. – Sam Radosław Sikorski w nieoficjalnych rozmowach narzekał na „moskiewską szkołę dyplomacji”, ale – jak widać – uznał, że skoro nie może jej pokonać, to będzie z nią współpracował – dodał.

Sam Schnepf pożegnał się z pracą w polskiej dyplomacji jesienią ubiegłego roku. Stracił wtedy zajmowane od 2012 r. stanowisko ambasadora Polski w Stanach Zjednoczonych, na które wysłał go Sikorski. Nieoficjalnie mówi się, że Schnepf został zdymisjonowany po tym, jak spotkał się w Waszyngtonie na uroczystej kolacji z ówczesnym prezesem Trybunału Konstytucyjnego, prof. Andrzejem Rzeplińskim. On sam

przekonywał w rozmowach z dziennikarzami, że rezygnacja była jego decyzją.

Skandal wokół spotkania z Rzeplińskim i udział w kolacji, podczas której krytkowano polski rząd, nie był jedynym, który poprzedził rozstanie Schnepfa z Waszyngtonem. Kilka miesięcy wcześniej Dorota Kania na łamach „Gazety Polskiej” opublikowała artykuł dotyczący powizań rodziców Ryszarda Schnepfa z komunistyczną bezpieką. Powołując się na materiały SB zgromadzone w archiwach IPN, ujawniła, że jego ojciec Maksymilian Schnepf (na takie zmienił pierwotne nazwisko Schnepf) pracujący 60 lat wcześniej w ambasadzie PRL w USA sprawował funkcję, na którą został rekomendowany przez GRU, czyli wywiad ZSRS. A także, że Schnepf senior czynnie zwalczał przeciwników systemu komunistycznego oraz walczył z Żołnierzami Wyklętymi. Według dziennikarki z komunistyczną bezpieką związana miała być także matka Ryszarda Schnepfa – Alicja, pracująca w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego.

Na publikację „GP” Schnepf zareagował gwałtownie – emocjonalnym wpisem na Facebooku: „Autorom nie wystarczył argument niekompetencji czy zwykłej nieprzy-

datności. Sięgnęli do nazistowskiej tradycji oczerniania rodziny, grzebania w korzeniach, snucia przypuszczeń, sugerowania spisku. Nie wystarczy krytyka. Trzeba skopać, opluć, upokorzyć”. Ogłosił się przy tym ofiarą „antysemickiej nagonki”, sugerując, że stała się ona w Polsce zjawiskiem częstym. „Nauczyłem się żyć na krawędzi. Boję się jednak o swoje dzieci, którym ktoś zapewne też powie kiedyś »wynocha!«”. Boję się o Polskę” – pisał w Internecie.

Zaskoczony takimi deklaracjami prof. Andrzej Zybortowicz, współpracownik prezydenta Andrzeja Dudy, komentował to w TVP.

– Urzędnik państwa polskiego impetuje temu tekstowi rzeczy, których tam nie ma, traktuje ten tekst jako formę gry politycznej i publicznie zachowuje się tak, jakby wypowiadał posłuszeństwo państwu polskiemu. Takie można odnieść wrażenie – ocenił prof. Zybortowicz w programie „Woronicha 17”.

DYPLOMATA WOJUJĄCY Z RZĄDEM

To niejedynie akcenty pokazujące, że doświadczony dyplomata postanowił zostać żołnierzem antypisowskiego frontu.

REKLAMA

KLINIKA UZDROWISKOWA

„Pod Tężniami” im. Jana Pawła II w Ciechocinku



Czy cierpisz na?

- bóle kręgosłupa, dyskopatie
- rwę kulszową
- migreny kręgotopochodne
- bóle mięśni i stawów
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- ostrogi piętowe
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu

Przyjedź na pobyt leczniczy z zabiegami.

Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 26.03-13.04.2017 r. oraz 18.04 - 25.06.2017 r.

25 zabiegów na 7 dni pobytu posiłki w formie bufetu szwedzkiego

- dwa badania lekarskie oraz badanie postawy lub stóp
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe



Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II
ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek

www.podtezniami.pl
rezerwacja@podtezniami.pl

tel. 54 416 70 00

– Może spowodowała to świadomość, że prędzej czy później PiS i tak odwoła go ze stanowiska ambasadora. Wskazywały przecież na to zapowiedzi ministra Waszczykowski – mówi „Do Rzeczy” jeden z dyplomatów, który dobrze zna Schnepf. – Może doszła do tego pamięć, w jakich okolicznościach pożegnał się ze stanowiskiem doradcy premiera Marcinkiewicza. A może po prostu zaważyły dobre związki z Radostawem Sikorskim i Anną Applebaum?

Kontakty ambasadora Polski w USA z szefem MSZ w rządzie Donalda Tuska były tak dobre, że – co wytknął dziennik „Fakt” – kierowany przez Sikorskiego resort zdecydował się kupić w Waszyngtonie posiadłość za blisko 18 mln dol.,

wydanym przez jedną z niewielkich polonijnych organizacji.

W wywiadach dla mediów ostro krytykuje PiS. W rozmowie z „GW” skarżył się, że „wypluła go dobra zmiana”. – Chcą mieć samych swoich, żyć w szczelnej bańce, bez pytań i wątpliwości – żalił się dziennikarzowi.

Po tym, jak holenderska Partia Ludowa na Rzecz Wolności i Demokracji wygrała w holenderskich wyborach, kpił z PiS w Radiu TOK FM: – Trzeba pogratulować prezesowi Kaczyńskiemu, bo polska szarża w Brukseli była skuteczna i zmobilizowała m.in. Holendrów i prawdopodobnie zmobilizuje też Francuzów i Niemców do głosowania na kandydatów proeuropejskich.

w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów udzielił wówczas wywiadu dziennikowi „Rzeczpospolita”. Powiedział w nim, że rząd proponuje udział Polski w budowie gazociągu Rosja-Niemcy po dnie Bałtyku, sprzecznego z polskimi interesami. Te słowa, komentowane przez zachodnią prasę, w polskiej polityce wywołały burzę. Piotr Gursztyn ujawnił wtedy, że to one stały się przyczyną dymisji Schnepf.

– To jedna z wielu spraw, które pokazują, że jako ambasador Schnepf nie rozumiał polskiego interesu, a może nawet działał wbrew jemu i intencjom polskiego rządu – zauważa poseł Andruszkiewicz.

Schnepf wrócił do dyplomacji po wygraniu wyborów przez Platformę Obywatelską, obejmując fotel wiceministra spraw zagranicznych. Za jego kadencji 28 września 2008 r. w Pakistanie porwano polskiego geologa Piotra Stańczaka. Polaka nie udało się uratować, został zamordowany 7 lutego 2009 r. Analiza Biura Bezpieczeństwa Narodowego dotycząca tej sprawy z maja 2009 r. wskazuje na chaos i brak umiejętności działań MSZ. Czytamy w niej m.in.: „Podczas działań koordynacyjnych i dyplomatycznych nie uwzględniono m.in. aspektów kultury rodowo-plemiennej porywaczy, co stwarzało wrażenie lekceważenia ich żądań i tym samym z góry osłabiało szanse na uwolnienie Polaka”.

Schnepf w tym czasie był już na ambasadorskiej posadzie w Królestwie Hiszpanii i Księstwie Andory (od jesieni 2008 r.). A w 2012 r. został ambasadorem RP w Waszyngtonie.

Niektóre polonijne organizacje skarżyły się na nierówne traktowanie przez szefa polskiej placówki dyplomatycznej, który miał być bardziej skłonny do współpracy ze środowiskami lewicowo-liberalnymi. Podobne zastrzeżenia pojawiały się zresztą znacznie wcześniej – w latach 1991–1996 – gdy Schnepf pełnił funkcje ambasadora w Urugwaju i Paragwaju. Skonfliktował się wówczas ze sporą częścią Polonii w krajach Ameryki Południowej.

– Jest odpowiedzialny za to, że polska dyplomacja nie wyrobiła sobie kontaktów w środowisku prezydenta Donalda Trumpa. Zlekceważył sygnały wskazujące na możliwe zwycięstwo Trumpa, dawał do zrozumienia w amerykańskich środowiskach, z którymi się kontaktował, że wolałby Hillary Clinton, co było dyplomatycznym błędem – mówi nam osoba z polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



czyli ponad 60 mln zł. Schnepf zamieszkał w niej z żoną, wówczas dziennikarką TVP Dorotą Wysocką-Schnepf.

O zażyłości z Sikorskim może też świadczyć fakt, że Schnepf zgodził się na wykorzystanie pomieszczeń ambasady na imprezę promującą książkę kucharską Anny Applebaum. Sprawa wywołała skandal wśród Polonii amerykańskiej. Niewiele wcześniej bowiem Schnepf odmówił rodzicom dzieci, uczęszczających do polskiej szkoły w stolicy USA, zorganizowania w ambasadzie spotkania świątecznego.

Już po zmianie władzy ambasador Schnepf wielokrotnie dawał czytelny sygnał, że ustawia się w opozycji do nowego rządu. Kiedy w lutym ubiegłego roku Instytut Pamięci Narodowej ujawnił zawartość teczeki Lecha Wałęsy wskazującą na współpracę byłego prezydenta z SB, Ryszard Schnepf pojawił się na przyjęciu na cześć Wałęsy

W ubiegłym tygodniu, komentując na Facebooku wizytę Jarosława Kaczyńskiego w Wielkiej Brytanii, Schnepf sugerował, że i nasz rząd chce doprowadzić do wyjścia z UE.

– Trudno się panu Schnepfowi dziwić. Nie może już zerować na państwie polskim, nie ma nic do stracenia, więc poszedł na polityczną wojnę – mówi poseł Żalek. – Takie osoby zyskują uznanie w oczach opozycji.

ZBYT WIELE WPADEK

Politycy PiS przypominają, że ta partia była przeciwna powołaniu Schnepf na ambasadora Polski w Waszyngtonie. Wspominają też, że został zdymisjonowany, gdy premierem był Kazimierz Marcinkiewicz.

Tamtej dymisji, w 2006 r., towarzyszył skandal. Schnepf jako sekretarz stanu



XXIII TARGI
WYDAWCÓW
KATOLICKICH

XXIII TARGI WYDAWCÓW KATOLICKICH

30 marca – 2 kwietnia 2017

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

ARKADY KUBICKIEGO

Nagroda FENIKS 2017



Informacje i zgłoszenia

swk@swk.pl

www.swk.pl



Patron medialny:



ORGANIZATOR



WSPÓŁORGANIZATOR



Próba zablokowania Donaldowi Tuskowi przedłużenia mandatu przewodniczącego Rady Europejskiej była bez wątpienia podjęta zbyt późno, nieprzemyślana i źle przeprowadzona. Na dodatek strona rządowa nie umiała przekonująco wyjaśnić ani w kraju, ani na forum międzynarodowym, dlaczego w ogóle ją podejmuje, choć przecież mogła użyć wielu trudnych do zlekceważenia argumentów. Jednak przetrwanie Tuska na unijnym stanowisku niewiele poprawia sytuację i jego samego, i „totalnej opozycji” przeciwko rządowi PiS. Wydaje się, że były premier dla wszystkich jest kłopotem. I sam też prędzej czy później będzie miał kłopoty.

Oczywiście z taktycznych względów próbuje się go przedstawić jako ofiarę „polowania”, którego przyczyną ma być osobista nienawiść Jarosława Kaczyńskiego, winiącego byłego premiera o śmierć brata. Winiącego, wedle propagandy, oczywiście całkowicie bezpodstawnie, bo tragedia w Smoleńsku była zwykłym wypadkiem i nie odpowiada za nią nikt. To zresztą i tak wersja „light”, bo przez długi czas spin doktorzy PO specjalnie po to, by Kaczyńskiego doprowadzać do furii i prowokować do zachowań agresywnych, lansowali tezę, że za katastrofę odpowiada sam Lech Kaczyński – dlatego, że „nie wiadomo po co” chciał lecieć do Katynia i wywierał rzekome naciski na pilotów, zmuszając ich do lądowania.

SMOLEŃSKI PROBLEM

Nie można jednak zaprzeczyć faktom: Donald Tusk, będąc premierem, podjął grę z Władimirem Putinem, mającą na celu upokorzenie polskiego prezydenta. Analiza dokumentów nie pozostawia wątpliwości, że wizyta prezydenta w Katyniu była od dawna zaplanowana i nie budziło to żadnych wątpliwości. Do momentu, gdy Rosjanie zaproponowali Tuskowi wspólne zmarginalizowanie Kaczyńskiego i sprowadzenie jego obecności w Katyniu do rangi prywatnej wycieczki i „początku kampanii wyborczej”, bo dostrzegali, jakie perspektywy otwiera przed nimi nieustająca wojna przeciwko prezydentowi, w której rząd posuwał się do zachowań tak groteskowych jak odmawianie mu samolotu na unijny szczyt.

Nie mając możliwości przesłuchania Tuska i jego najbliższych współpracowników pod rygorem przysięgi, trudno

Krótki oddech Tuska



Rafał A. Ziemkiewicz

Unijni gracze mogą przehandlować Donalda Tuska, jeśli tylko będzie im zależało na ustępstwach Polski. Jednak i bez tego immunitet chronić będzie go tylko przez dwa i pół roku



FOT. BEATA ZAWRZEŁ/REPORTER

wyrokować, jakie były przyczyny późniejszych działań ówczesnego premiera, na czele z zupełnym zignorowaniem polsko-rosyjskiej umowy z 1993 r. i powołaniem się, jako na rzekomą podstawę śledztwa, na w oczywisty sposób niczego tu niestanowiący „załącznik do konwencji chicagowskiej” – i to w sytuacji, gdy strona rosyjska wcześniej, sama z siebie, ustami prezydenta Miedwiediewa proponowała powołanie międzynarodowej komisji. To, co premier Tusk wyczyniał po tak bezprecedensowej tragedii, aż roi się od deliktów, z których każdy z osobna wystarczy, by posadzić go na ławie oskarżonych, ale też których na zdrowy rozum nie sposób pojąć.

Najbardziej prawdopodobnym ich wyjaśnieniem jest hipoteza, że Tusk działał w potwornym strachu. Potwierdzają to relacje, na które w piątą rocznicę tragedii powoływał się Robert Krasowski w „Polityce” (ani autora, ani publikującego go tygodnika nie sposób uznać za sprzyjających PiS) – według bliskich współpracowników przerażony Tusk miał na nich krzyczeć, że jeśli czegoś nie zrobią, to „potwór”, czyli Jarosław Kaczyński, „wszystkich nas wsadzi do więzienia”.

Współpracownicy Tuska i on sam robili rzeczywiście wszystko, by czym prędzej zgasić żałobę po tragedii, zohydzić w oczach społeczeństwa jej ofiary, wykpić żądania rodzin domagających się zbadania przyczyn. Widać wyraźnie, że nadrzędną dyrektywą postępowania rządu Tuska i całego jego celebrycko-medialnego zaplecza po tragedii było niedopuszczenie, aby podniosła ona popularność PiS, jak najszybsze „zamiwienie” sprawy, w czym za najlepszy sposób uznano całkowite oddanie jej Rosji. Wiele z podjętych wtedy działań pozostaje nadal niewyjaśnionych, np. medialno-polityczna operacja z krzyżem na Krakowskim Przedmieściu, której sposób przeprowadzenia z użyciem prowokatorów i lidera przestępczego półświatka z daleka zalatuje bezpieką.

POLITYCZNIE I KARNIE

Wiele z tego mieści się nie tylko w odpowiedzialności politycznej, lecz także karnej. Oddając zbadanie śmierci polskiego prezydenta i wielu wysokich urzędników oraz dowódców wojskowych obcemu państwu i uniemożliwiając elementarne badanie jej w kraju (zakaz otwierania przysłanych przez Rosjan trumien) oraz współuczestni-

cząc w prowadzonej przez to państwo kampanii dezinformacyjnej, mającej na celu całkowite zdjęcie odpowiedzialności z kontroli naziemnej i sposobu serwisowania samolotu oraz obciążenie nią wyłącznie strony polskiej, Tusk dotarł do granic zdrady stanu. Jakkolwiek mocno to brzmi – jest faktem.

Nie jest to zresztą jedyna przewina. Można postawić mu wiele zarzutów, co najmniej o niedopełnienie obowiązku nadzoru – choćby w takich sprawach jak tajemnicza umowa zawarta między polskimi a rosyjskimi służbami specjalnymi, niekorzystne dla Polski umowy gazowe, szczęśliwie w najbardziej szkodliwej dla państwa części unieważniona dzięki interwencji instytucji unijnych, czy rozliczne afery, z zapewnieniem całkowitej bezkarności twórcy piramidy finansowej Amber Gold na czele.

Każda z tych spraw daleko przekracza ciężarem gatunkowym aferę Rywina, która wysadziła w powietrze SLD. A dodać można jeszcze do win Tuska np. ewidentne naruszenie prawa, gdy w połowie kadencji odwołał szefa CBA pod pretekstem zarzutów, które nawet kontrolowana przez niego prokuratura musiała uznać za lipne, czy nadużywanie władzy podczas rozmaitych nagonek, mających służyć podbudowaniu popularności rządu – choćby tych wymierzonych w kibiców, w rodzaju policyjnej operacji „Widolec”, całkowicie zdyskredytowanej po czasie wyrokami sądowymi, czy wieloletniego przetrzymywania w „aresztach wydobywczych” takich osób jak Piotr Staruchowicz i Maciej Dobrowolski, jako swego rodzaju „prywatnych więźniów” politycznego przywódcy.

Z kelnerskich taśm, których ujawnienie zakończyło rządy koalicji PO-PSL, można się dowiedzieć, że w opinii swych podwładnych „kierownik” za wszelką cenę starał się uniknąć przyłapania go na tym, iż wie, jakie mechanizmy działają pod jego rządami i jak „kręć lody” podwładni. Od załatwiania spraw kompromitujących – takich jak np. niszczenie „Rzeczpospolitej” i „Uważam Rze” po publikacji o wykryciu w Smoleńsku śladów trotylu czy załatwianie u polityków niemieckich usunięcia ośmielającego się krytykować rząd redaktora naczelnego „Faktu” – miał Pawła Grasia i innych totumfackich. Mimo tej ostrożności rzetelne śledztwo jest w stanie ciągnące się za Tuskiem brudy ujawnić i wyjaśnić jego rolę w systemie, który jeszcze na

krótce przed wyborami wydawał się tak umocniony, że jego upadek uznawano za równie nieprawdopodobny jak „przejechanie ciężarnej zakonnicy na pasach”.

Awans Tuska do struktur unijnych, o który zabiegał intensywnie latami, wystawiając zresztą we właściwy sobie sposób do wiatru oddanego mu Sikorskiego (do ostatniej chwili, jak się zdaje, wierzącego naiwnie, że Tusk tylko liczy tuje, by w odpowiedniej chwili – w zamian za ustąpienie z osobistych ambicji – zażądać dla Polski fotela wysokiego przedstawiciela do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa), był więc nie tylko zdobyciem nader tłustej synekury, której mu na wspomnianych kelnerskich taśmach bardzo zazdrościli mniej prominentni „żołnierze” PO, lecz także przede wszystkim ucieczką przed ciężącą na nim odpowiedzialnością.

EUROPEJSKI SPOKÓJ?

Można się domyślać, że przedłużenie mandatu w Radzie Europejskiej przyniosło w tej kwestii pewne uspokojenie, ale bynajmniej nie oznacza to, że były przewodniczący PO może zacząć spać spokojnie. Przy jego sposobie myślenia – łatwo go zrekonstruować z politycznej praktyki ostatnich lat – nie może go nie nękać obawa, że po tym, jak osobisty wróg okazał tyle determinacji, by go dorwać, zachodni protektorzy mogą Tuska zwyczajnie przehandlować, jeśli bardzo im będzie na jakichś ustępstwach ze strony Polski zależało.

Nawet jeśli nic podobnego się nie zdarzy, to europejski immunitet chronić będzie Tuska tylko przez dwa i pół roku. Tymczasem cała awantura o niego skrajnie utrudniła wariant, na którym powinno byłemu premierowi zależeć najbardziej – ucieczkę po tym czasie w prywatność i zaszczycie się w jakimś europejskim think tanku z dala od kraju. Mści się też na nim wyróżnienie swego czasu we własnej partii wszystkich nieco odrobinę zdolniejszych polityków. Wobec beznadziejnych kadr „opozycji totalnej” były premier jest teraz powszechnie uważany za jej faktycznego lidera i wołanie o powrót do kraju będzie się zapewne nasilać. A to może być pułapką. Tym bardziej że ewentualna ucieczka może zostać uznana za przyznanie się do wszystkich zarzutów, jakie przez te dwa i pół roku zdąży mu postawić i choćby w części udokumentować PiS.



Z Ralphem Reedem, doradcą prezydenta USA Donalda Trumpa

rozmawia Marcin Makowski

MARCIN MAKOWSKI: Przyleciał pan do Polski z pokazną delegacją amerykańskich polityków i działaczy społecznych zaangażowanych w kampanię Donalda Trumpa. Z tego, co wiem, to pana pierwsza wizyta w naszym kraju.

RALPH REED: To prawda i jestem zaskoczony waszą otwartością, bogactwem historii oraz dziedzictwa kulturowego. Nie miałem wcześniej skonkretyzowanych oczekiwań wobec Polski. Co prawda w latach 80. wspierałem Solidarność, szczególnie po wprowadzeniu stanu wojennego bardzo często dyskutowałem na ten temat w Kongresie, podziwiałem również papieża Jana Pawła II, ale nie miałem okazji obserwować, jak podnosiliście się z komunizmu po roku 1989. Teraz nadrabiam zaległości. Również pod względem wiedzy o losach Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, bo ta część heroicznej polskiej przeszłości stanowi ważny element naszej wizyty. Można powiedzieć, że Jonny Daniels, który nas zaprosił, zaserwował nam dobry przegląd tego, co się dzieje w kraju. Jest sporo podobieństw między obecną sytuacją w Polsce i w USA.

Na przykład?

W obu krajach w demokratycznych wyborach społeczeństwo ustanowiło swoje przedstawicielstwo polityczne, którego legitymizacja jest otwarcie podważana i krytykowana przez część mediów oraz działaczy lewicowo-liberalnych. W obu są to rządy konserwatywne, które stawiają na wartości chrześcijańskie, choć oczywiście prezydent Donald Trump zwrócił się bardziej niż Prawo i Sprawiedliwość w kierunku populistycznym. Niemniej jednak są podobieństwa w stylu i akcentowaniu głównych priorytetów rozwoju, takich jak suwerenność i dbanie o etykę. Tak samo jak sceptyczne nastawienie wobec agresywnej polityki Rosji, która pogwałciła prawo międzynarodowe aneksją Krymu.

Razem z Kenem Blackwellem – odpowiedzialnym za proces budowy nowej administracji Białego Domu – był pan w wielu miejscach symbolicznych dla Polaków, m.in. złożył pan wieniec na grobie Lecha i Marii Kaczyńskich. Czy tragedia smoleńska była istotnym wydarzeniem również z perspektywy Stanów Zjednoczonych?



Polska może się czuć bezpieczna

Zdecydowanie tak, choćby przez pryzmat licznej Polonii, która mieszka w USA. Chciałbym podkreślić, jak wielki był to dla nas honor i przywilej, że mogliśmy być na Wawelu i w imieniu całej delegacji złożyć wieniec oraz chwilę się pomodlić. Prezydent Lech Kaczyński był wielkim przyjacielem Ameryki, a katastrofa smoleńska punktem zwrotnym w polityce europejskiej. Osobiście jestem pod wielkim wrażeniem, że byliście się w stanie tak szybko podnieść po bolesnym ciosie dla funkcjonowania całego państwa, które nagle straciło część swojej elity.

Czy pod względem politycznym albo prawnym Ameryka może w jakikolwiek sposób pomóc w wy-

jaśnieniu dokładnych przyczyn tego wypadku oraz wyrzucić presję na Moskwę w celu zwrócenia wraku?

Wiem, jak ważna jest to sprawa dla waszego rządu, i zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby przekazać administracji Białego Domu informacje o Smoleńsku i potrzebie dokładniejszego przyjrzenia się działaniu Rosji do. Musimy zbadać, czy USA mogą być w jakiś sposób pomocne w tej kwestii – w tej chwili nie jestem tego w stanie jednoznacznie przesądzić.

W jaki sposób Donald Trump postrzega działalność NATO na wschodzie Europy? Nie tak dawno temu mówił, że struktura sojuszu jest przestarzała, często krytykuje jego działanie. Powinniśmy się obawiać?

W żadnym wypadku. Trump uważa, że NATO to istotny element utrzymania



FOTO: BLOOMBERG/GETTY IMAGES

doradca ds. bezpieczeństwa narodowego gen. Michael Flynn. Coś jest na rzeczy?

Dobrze, że pan o tym zagadnieniu wspomina. Moim zdaniem większość podobnych doniesień wyczerpuje definicję „fake newsów”, które pozornie wyglądają jak niebezpieczne powiązania Waszyngtonu i Moskwy, ale w rzeczywistości są zwykłą polityką. Przecież Michael Flynn nie zrezygnował ze względu na treść jego rozmowy z rosyjskim urzędnikiem, ale dlatego, że nie przedstawił jej w pełnym kontekście wiceprezydentowi. Sama rozmowa nie była problematyczna. Owszem, dotyczyła m.in. zniesienia ewentualnych sankcji, ale tę kwestię poruszył rosyjski ambasador, a Flynn jedynie odparł, że można wrócić do dyskusji po wyborach. Niczego jednak w realnej polityce nie zmieniono na korzyść Rosji, więc trudno powiedzieć, żeby ktoś się tutaj dogadywał za plecami. Poza tym Ameryka wypowiedziała się jednoznacznie na temat rosyjskiej agresji na Ukrainę, prezydent spotkał się jakiś czas temu z Julią Tymoszenko. Gdzie tutaj jest cień prorosyjskości? Trump powiedział jedynie to, co każdy na jego miejscu na początku prezydentury powinien powiedzieć – jeśli istnieje możliwość zbudowania lepszych relacji, to spróbujmy. Jeśli nie, to nie ma co iść w tym kierunku na siłę.

Donald Trump od samego początku tak przedstawiał swoją strategię wobec Rosji czy zmieniła się ona z czasem?

Byłem jego bliskim doradcą podczas kampanii i nigdy nie słyszałem, aby chciał czynić ustępstwa wobec Moskwy za wszelką cenę. Donald Trump to mój przyjaciel i mogę stwierdzić z całą stanowczością – tak dobrze, jak go znam – że będzie on bronił żywotnych interesów USA. Jednym z nich jest silne NATO i brak uległości wobec krajów, które nie stosują się do prawa międzynarodowego.

Wspomniał pan o doradztwie prezydentowi i znajomości z nim. Jaką osobą jest Trump prywatnie? Czy różni się od wizerunku, który wokół siebie wykreował? W rozmowach w cztery oczy jest równie ekstrawertyczny?

To ciekawe, ale prywatnie Donald Trump jest zupełnie innym człowiekiem. Jest bardzo dociekliwy, lubi słuchać, uczyć się od innych ludzi i zadawać pytania, praktycznie zawsze dotrzymuje danego słowa. Jest spójny w tym, co mówi i robi. Będę z panem szczery – kiedy obserwowałem jego poczynania jedynie w mediach, byłem co do niego bardzo

sceptyczny. Nie sądziłem, że się polubimy, ale on naprawdę bardzo zyskuje przy bliższym poznaniu. Dlatego właśnie zdecydowałem się, jako ewangelicki lider, przekazać mu swoje poparcie.

Nie miał pan żadnych wątpliwości z religijnego punktu widzenia? Przeszłość Trumpa i jego życie nie należą do najbardziej konserwatywnych.

Zgadzam się, że Trump nie jest świętym człowiekiem. Jednak kto z nas jest? Nieustannie dyskutujemy na tematy wiary i moralności, ale ufam mu pod względem obietnic odnośnie do obrony życia i wartości chrześcijańskich, bo moje zaufanie opiera się nie tylko na słowach, lecz także na jego realnej polityce. W tej chwili fundacje proaborcyjne pozbawiono państwowego finansowania, na sędziego Sądu Najwyższego wybrano rasowego chrześcijańskiego konserwatyście. W porównaniu z polityką światopoglądową Obamy to niebo a ziemia.

Podczas wizyty w Polsce rozmawiał pan z ministrem Witoldem Waszczykowskiem. Czy istnieje realna szansa na zbudowanie jakiegось politycznego mostu między Warszawą a Waszyngtonem?

Nie mogę się wypowiadać za administrację, ale mogę panu powiedzieć, że w obecnej sytuacji geopolitycznej sojusz polsko-amerykański staje się coraz ważniejszy. Polacy od wieków walczyli u boku Amerykanów, również o tej historycznej więzi rozmawialiśmy z szefem MSZ, ale mam nadzieję, że uda się ją przekuć na realne wspólne działania w teraźniejszości, być może na spotkanie Duda-Trump. Zależy mi na tym, aby podczas naszej wizyty podkreślić, że istnieje wola polityczna ze strony obecnej administracji w USA, aby wzmacniać więzi z Polską. Nawet jeśli w kwestii Unii Europejskiej Donald Trump wypowiada się dosyć ostro o polityce migracyjnej czy fiskalnej, to również tutaj istnieje nie porozumienia z Warszawą, która także chce silniejszej i sprawniejszej Unii. Poza tym wiele łączy nas w sprawach walki o świętość życia. Polska to naprawdę wyjątkowy kraj, który tak jak my ma obecnie trudny okres polityczny, ale wierzę, że razem wyjdziemy z tych doświadczeń umocnieni.

© Tł. Wszelkie prawa zastrzeżone

stabilizacji militarnej w Europie, i to się nie zmieni. Nikt poważny w Waszyngtonie nie rozpatruje scenariusza jego likwidacji. Takie stanowisko zostało podkreślone podczas wspólnego wystąpienia z kanclerz Niemiec Angelą Merkel, to samo przesłanie wprost wygłosił wiceprezydent Mike Pence na konferencji bezpieczeństwa w Monachium. Chodzi jedynie o to, aby ciężar dbania o NATO rozłożyć zgodnie z międzynarodowymi umowami, czyli po 2 proc. PKB na każde państwo członkowskie. Wiem, że Polska nie ma z tym problemu, ale naprawiamy błąd administracji George'a W. Busha i Baracka Obamy, które milczały na ten temat. Ameryka nie może łożyć na globalne bezpieczeństwo bez zaangażowania innych państw, które wiedziały, co podpisują i jakie wynikają z tego obowiązki. Polska może się czuć bezpieczna, Donald Trump jest przekonany o wadze lokowania naszych żołnierzy oraz sprzętu na wschodniej flance i obecnie myśli o ich wzmocnieniu przy granicy z Rosją.

Å propos Rosji, w amerykańskich mediach nie milną echa przeróżnych teorii, które łączą Donalda Trumpa i jego administrację z Władimirem Putinem. Niedawno w aurze skandalu po rozmowie z rosyjskim ambasadorem z posadą pożegnał się

Ralph Reed – polityczny i religijny doradca Donalda Trumpa. Amerykański działacz społeczny, przewodniczący Faith and Freedom Coalition, jednej z największych chrześcijańskich organizacji non profit w USA.

Bunt tubylców



Piotr Gociek

Nie „repolonizacja”, lecz „ustawa antykoncentracyjna”. PiS chce zmienić rynek mediów w Polsce. Czy ograniczenie wpływów zagranicznych koncernów jest możliwe? I czy przyniesie oczekiwane rezultaty?



[...]. Razem z Tuskiem wygrali Polacy – wszyscy ci, którzy są dumni z przynależności do Unii Europejskiej [...]. Co do przegranych w tym starciu, to obok Jarosława Kaczyńskiego znalazła się dobra reputacja Polski jako rzetelnego partnera”.

Już sama próba podpowiedzenia pracownikom koncernu, jak rozumieć rzeczywistość, byłaby powodem do niepokojów. Mark Dekan idzie jednak dalej: „W nadchodzącym czasie na autostradzie unijnej integracji pojawia się nie tylko pas szybkiego i wolnego ruchu, ale też parking. I to jest właśnie moment, gdy do gry włączają się wolne media, tak jak my [...]. Większość naszych czytelników i użytkowników należy do tej miażdżącej większości, która popiera członkostwo Polski w UE. Podpowiedzmy im, co zrobić, żeby pozostać na pasie szybkiego ruchu i nie skończyć na parkingu”.

NA WOJNIE Z PIS

Wśród reakcji na to kuriozalne wystąpienie (przez PR-owców koncernu nazwane zwykłym korporacyjnym newsletterem) wyróżnia się tweet Eryka Mistewicza: „Gdyby to była Francja, jutro odcięto by prąd od Ringier Axel Springer w związku z zaplanowaną konserwacją sieci energetycznej”. A cytowany już Jerzy Karwelis uderzył w swoim liście do Dekana jeszcze mocniej: „Traktuje Pan Polaków jako bandę służalczych tubylców z egzotycznej kolonii”.

Polityczna instrukcja dla dziennikarzy, napisana przez szefa zagranicznego koncernu medialnego, którego tytuły od pewnego czasu zamiast opisywać rzeczywistość, czynnie włączają się w walkę polityczną – tak wypada wprost nazwać wystąpienie Dekana. Sprawa jednak nie jest nowa. Na łamach „Do Rzeczy” w rubryce „Dwaj Pano wie G.” na początku 2016 r. ujawniliśmy, jak podczas wizyty w Polsce Mathias Döpfner, prezes Axel Springer (które wraz z koncernem Ringier utworzyło spółkę Ringier Axel Springer), zachęcał do przychylnego pisania o migracyjnych pomysłach kanclerz Angeli Merkel. Pracownicy „Faktu” w nieoficjalnych rozmowach opowiadają, że są zachęcani do atakowania rządu Beaty Szydło. Autor obszernego tekstu o polityce ekonomicznej nowej ekipy dowiedział się w miesięczniku „Forbes”, że jego artykuł nie pójdzie, bo „jest zbyt wyważony”.

Bylem zawsze dumny z pracy w Axlu, a później w holdingu Ringier Axel Springer, nie wstydziłem się ani jednej przepracowanej tam chwili i ani jednej decyzji. Teraz wstydę się, że w moim CV występuje okres pracy w kierowanej przez Pana firmie” – napisał w liście otwartym Jerzy Karwelis, były dyrektor wydawniczy w firmie Ringier Axel Springer Polska. Ostre słowa skierowane były do Marka Dekana, prezesa Ringier Axel Springer Media AG, w którego medialnej ofercie w Polsce są m.in. tygodnik „Newsweek”,

tabloid „Fakt”, miesięcznik „Forbes” oraz portal Onet.pl.

Szeroko komentowany list Karwelisa, odcinającego się kategorycznie od prób szufladkowania go jako sympatyka PiS, był odpowiedzią na inny list – Marka Dekana do polskich pracowników jego firmy. Istnienie i treść listu ujawniły „Wiadomości” TVP. Nie jest to zwyczajny kawałek korespondencji korporacyjnej. Dekan komentuje spór o reelekcję Donalda Tuska na stanowisko szefa Rady Europejskiej: „Prymitywne ideologie przegrały z wartościami i rozsądkiem

I tak dalej. A kiedy dziennikarze „Do Rzeczy” i TV Republika ujawnili treść rozmów Paweł Graś – Jan Kulczyk, Mark Dekan zdążył także ogłosić, że publikacja miała „charakter antysemicki”.

Szwajcarsko-niemiecki koncern od dawna jest więc na wojennej ścieżce z PiS i nowym polskim rządem. Ostatnie wydarzenia doprowadziły tylko do publicznej dyskusji nad tym, o czym wcześniej debatowano po cichu. I wreszcie ktoś ośmielił się wprost powiedzieć kilka przykrych rzeczy – spojrzmy na inne cytaty z listu Jerzego Karwelisa: „Z zażenowaniem patrzyłem, jak toleruje Pan włączanie się redaktora naczelnego »Newsweeka« do polityki jako aktywnego podmiotu. To wstyd dla dziennikarza, a także dla wydawnictwa, któremu Pan szefuje. [...] Drugi Pański naczelny, miesięcznika »Forbes«, instruuje w sieci, jak zrobić uliczne rokosze obalające rząd, a la Majdan”.

Pękła zмова milczenia. Do Karwelisa przyłączyli się inni byli pracownicy Ringier Axel Springer. Były naczelny „Forbesa” Kazimierz Krupa ocenił: „To jest ewidentne naruszenie zasad i niezależności dziennikarskiej”. Były dzienni-

karz koncernu Wojciech Surmacz mówił: „Ten list jest skrajnie głupi [...]. Nie wyobrażam sobie żadnej innej korporacji niemieckiej, której prezes posunąłby się do napisania takiego listu do swoich dziennikarzy, a tym bardziej do polskich dziennikarzy. List Marka Dekana jest poważny. Nazwałbym go nawet wystąpieniem politycznym szefa największego koncernu medialnego w Polsce”.

Mleko się wylało i o sprawie rozmawiają już nie tylko dziennikarze, lecz także politycy – praktyki Dekana niepokoją szefa polskiego MSZ Witolda Waszczykowskiego, listem zajmują się posłowie sejmowej Komisji Kultury.

WŁAŚCICIELE I DZIENNIKARZE

Sprawa ma kilka wymiarów. Pierwszy dotyczy tego, jak na niezależność dziennikarską wpływać mogą właściciele mediów. Redaktorzy naczelni i pracujący dla nich dziennikarze powinni mieć zagwarantowaną niezależność. W praktyce bywa różnie, ale naprawdę rzadko kiedy ktoś odślania się tak bardzo jak Mark Dekan w swoim liście. Albo jak właściciel „Rzeczpospolitej” Grzegorz Hajdarrowicz, który pojechał w środku nocy

konsultować się ze swoim politycznym przyjacielem Pawłem Grasiem w kwestii niewygodnego dla rządu PO tekstu o katastrofie smoleńskiej.

Często dochodzi tu do nieporozumienia w kwestii dziennikarskich powinności. Ci, którzy głośno krzyczą o tym, jak obiektywni, niezależni i bezstronni powinni być pracownicy mediów publicznych, często tłumaczą wybryki dziennikarzy mediów prywatnych tym, że przecież robią tylko to, czego oczekują od nich odbiorcy. Fałszywe to tłumaczenie – standardów dziennikarstwa przestrzegać powinni wszyscy.

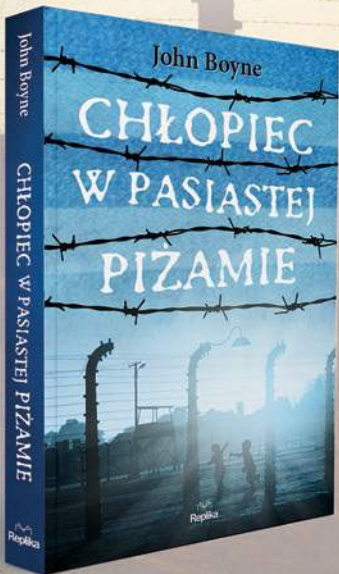
Kwestia druga to „dziennikarska Europa różnych prędkości”. Cytowani już komentatorzy nie mają wątpliwości, że w Niemczech na takie łamanie dziennikarskich kręgosłupów Dekan i jemu podobni nie mogliby sobie pozwolić. W Polsce żadnych skrupułów nie mają. Stąd słowa Karwelisa do Dekana: „Traktuje Pan Polaków jako bandę służalczych tubylców z egzotycznej kolonii”.

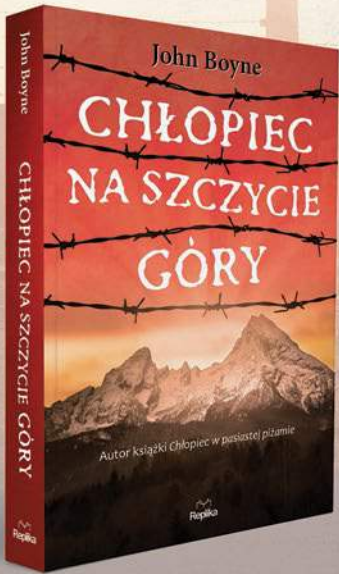
Kwestia trzecia łączy się z drugą. Pogardzanymi tubylcami okazują się bowiem już nie tylko miejscowi pracownicy koncernu, którym trzeba meblować

REKLAMA

**Wstrząsająca historia
pięknej przyjaźni
na przekór złu szalejącej wojny**

**Autor książki
Chłopiec w pasiastej pizamie
po raz kolejny zaskakuje i wzrusza!**







Replika
wydawnictwo
www.replika.eu

głowy według pomysłu zagranicznego pana prezesa, lecz także miejscowi politycy, partie i rządy, które trzeba krytykować, atakować, a może i obalać, jeśli tylko ich działalność nie podoba się w kraju, z którego pochodzi medialny biznes. W ten sposób wydawanie dzienników, redagowanie portalu internetowego czy prowadzenie telewizji okazuje się – tak jak wojna – „kontynuacją polityki innymi środkami”.

I tu dochodzimy do kwestii czwartej. Kapitał ma narodowość, media też, każdy dba o swój interes, każdy próbuje wpływać na sytuację u sąsiadów dla własnych korzyści. Pół biedy dopóty, dopóki mamy do czynienia tylko ze starciem wielu różnych opcji albo dopóki dany gracz nie osiągnął na rynku zbyt silnej pozycji. Co jednak zrobić, gdy 90 proc. jakiegoś segmentu rynkowego znajduje się w obcych rękach? Tak jest w przypadku prasy lokalnej i regionalnej, którą kontrolują trzy niemieckie koncerny. To głównie z tego powodu w ostatnich miesiącach karierę zrobiło hasło „repolonizacja mediów”.

Wokół sprawy jest wiele nieporozumień i manipulacji. Na przykład „Gazeta Wyborcza” straszyła na pierwszej stronie „nacionalizacją”. Co jest bzdurą, bo przecież oznacza to przejmowanie prywatnego mienia przez państwo. No, ale skoro Kaczyński ma się kojarzyć czytelnikom „GW” ze Stalinem, z Gomułką i w ogóle z totalitaryzmem, to cel manipulacji jest jasny – ogłosić, że rząd Szydło będzie zabierał prywatne gazety właścicielom.

Hasło „repolonizacja” też trochę wprowadza w błąd, bo nikt nie myśli o wprowadzeniu przepisów, w myśl których gazety, stacje radiowe i telewizyjne oraz portale mogą posiadać w Polsce tylko polscy biznesmeni – byłoby to zresztą w sprzeczności z regulacjami UE. Wiceminister kultury Jarosław Sellin mówił tymczasem wprost w radiowej Jedynce, że chodzi o ustawę „o dekoncentracji mediów”, która będzie wzorowana na rozwiązaniach francuskich i niemieckich. I tu ciekawa rzecz – tej kwestii także dotyczył list Jerzego Karwelisa do Marka Dekana. Warto

przeczytać ten ustęp, bo lepiej opisuje to, co się wydarzy, od wszystkich wyjaśnień przedstawianych przez polityków PiS. Zdaniem Karwelisa swoim listem Dekan dał PiS do ręki „propagandową maczugę, by nie tylko wałnął w Pana, ale w całą branżę medialną, którą uważa nie bez przyczyny, jak widać po Pańskim liście, za część układu, który chce rozmontować. I, co już powoli widać, pójdzie po rozum do głowy i nie będzie walczył o repolonizację mediów, ale potraktuje je jak każdą gałąź gospodarki, czyli wprowadzi reguły koncentracji kapitału (niekoniecznie obcego). Wtedy Unia mu nic nie zrobi, do boju nie wyśle bowiem tropicieli tożsamości narodowej kapitału w mediach, ale UOKiK. I dotychczasowe oligopole znikną. Łącznie z Pańskim. A Europa będzie mogła się temu tylko przyglądać”.

DEKONCENTRACJA

Jak zapowiada Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, ustawa antykoncentracyjna będzie gotowa do połowy roku. Wprowadzi ostrzejsze niż dotąd zasady, jeśli chodzi o to, jak dużą część poszczególnych segmentów rynku medialnego mogą posiadać pojedynczy inwestorzy. W to, komu wielkie koncerny będą chciały odsprzedać udziały czy nawet całe tytuły, ingerować nie zamierza. Chociaż – jak zaznacza Sellin – jeśli jakieś spółki Skarbu Państwa będą chciały zainwestować w przedsięwzięcia medialne, to nikt im nie będzie tego zabraniał. Zauważmy, że nie będzie to nic niezwykłego – w tej chwili np. PZU kontroluje 15 proc. akcji koncernu Agora wydającego „Gazetę Wyborczą”.

List Marka Dekana był skandaliczny – nie mam co do tego wątpliwości. Niemieckie koncerny medialne działają w Polsce ze swobodą, której nigdy nie doczekały się np. we Francji.

I nie widzę powodu, dlaczego nie miałyby być ograniczona, zwłaszcza że bywa sprzeczna z polską racją stanu. Diabeł tkwi jednak w szczegółach. Warto więc zadać kilka trudnych pytań.

Po pierwsze: Skąd wiara, że zamiana wydawcy z zagranicznego na polskiego

od razu przełoży się na przestrzeganie dziennikarskich standardów? Przecież „Rzeczpospolita” kontrolowana przez brytyjski Mecom była gazetą niezależną i wzorcową, jeśli chodzi o standardy. Jej upadek zaczął się wraz z przejściem Presspubliki przez polskiego przedsiębiorcę – anty-Midaso polskich mediów, Grzegorza Hajdarowicza. Skąd pewnoś, że niemieccy wydawcy nie sprzedają swoich biznesów np. Agorze albo spółdzielni tygodnika „Polityka”? Czy to naprawdę oznaczałoby jakościową zmianę dla tytułów będących przedmiotem takich transakcji?

Chyba że jednak chodzi o to, by zapisy antytrustowe rzeczywiście miały doprowadzić do wejścia na rynek prasowy spółek Skarbu Państwa. W tej kwestii niegłupio wypowiedział się dla Wirtualnych Mediów Aleksy Uchański, kiedyś w Axlu, teraz CEO Movie Games. „Przytaczane z namaszczeniem statystyki dotyczące koncentracji obcego kapitału w mediach odnoszą się zawsze do rynku dzienników i magazynów drukowanych – podkreśla Aleksy Uchański. – Rynku schyłkowego i stale tracącego, moim zdaniem tracącego również rząd dusz w zakresie budowania opinii. Oczyma duszy widzę taki groteskowy scenariusz, w którym w 2019 r. Skarb Państwa za pośrednictwem swoich spółek (bo kłóży inny?) wykupuje od uszczęśliwionych zachodnich wydawców ich marginalne i w normalnej grze ekonomicznej niemożliwe do zbycia aktywa”.

Kibicując walce z patologiami na rynku medialnym, trzeba jednocześnie przestrzegać przed innymi patologiami. Bez wątpienia rynek kontrolowany przez spółki Skarbu Państwa także nie zasługiwałby na miano normalnego. Jedno jest pewne – wprowadzając zapowiedziane zmiany, rząd musi przygotować się na zmasowany atak tych, którzy na nich tracą. Każdy odebrany zagranicznym koncernom procent własności to przecież utracone przez nie wpływy reklamowe. I – jak udowadnia list Marka Dekana – polityczne. W najbliższym czasie PiS może się przekonać, że dotychczasowe traktowanie tej partii przez niejedną gazetę było sielanką. Trudno to sobie wyobrazić, ale przecież Tomasz Lis i jemu podobni dadzą radę. Nie bez powodu Mathias Döpfner przedstawia go innym pracownikom swojego koncernu jako wzór do naśladowania.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Mark Dekan, prezes
Ringier Axel Springer
Media AG FOT. AXEL SPRINGER

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ**

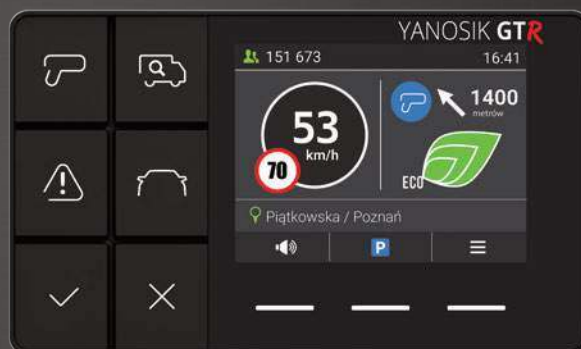
PRENUMERATA DWULETNI TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ YANOSIK GTR WRAZ Z ROCZNĄ TRANSMISJĄ DANYCH



Yanosik GTR

Najsukuteczniejszy komunikator dla kierowców.
Ponad 1,5 mln unikalnych użytkowników miesięcznie.
Bądź informowany o aktualnej sytuacji na drodze!

- **ostrzeżenia** m.in. o kontrolach prędkości, fotoradarach i wypadkach,
- wygodna funkcja **mobilnego parkomatu**,
- wskaźnik **EKOjazdy** dla obniżenia kosztów paliwa i napraw,
- specjalny tryb dla **motocyklistów**,
- **automatyczne** uruchamianie bez konieczności montażu.



490 zł

oszczędzasz 775 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl 4b4f7c8a88

Z Elżbietą Kruk, posłanką PiS, przewodniczącą sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu

rozmawia

Kamila Baranowska



KAMILA BARANOWSKA: Na polskim rynku medialnym funkcjonuje dziś za dużo kapitału zagranicznego?

ELŻBIETA KRUK: Oczywiście, że tak. Szczególnie szokujące są proporcje na rynku mediów drukowanych. Prawie 80 proc. prasy jest w rękach kapitału zagranicznego, w tym ponad 90 proc. prasy regionalnej. Przy czym jakieś 75 proc. tego kapitału zagranicznego to kapitał niemiecki. To są proporcje niespotykane na świecie, w normalnych, suwerennych państwach. Taki kształt rynku cechuje państwa kolonialne.

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS



Z czego wynika taki kształt tego rynku?

Na początku powszechnie się wydawało, że kapitał zagraniczny, który wchodził na nasz rynek medialny po 1989 r., jest konieczny do rozbicia monopolu mediów państwowych, PRL-owskich. A skoro kapitału polskiego nie było, to uważano, że to jedyny sposób na spluralizowanie rynku medialnego. Dzisiaj widać, że była to naiwność, pytanie: dlaczego trwała aż 27 lat, doprowadzając do takiego zachwiania proporcji. Utrzymywanie, że kapitał nie ma narodowości, jest nieodpowiedzialne, bo właściciele mediów mają narodowość, poglądy i najczęściej reprezentują interesy własnego kraju.

Co się kryje pod hasłem „repolonizacji mediów” – ich dekoncentracja pod względem kapitału czy także jakaś forma nacjonalizacji?

Raczej ta pierwsza droga, choć wiemy, że musimy się poruszać w ramach prawa europejskiego i wbrew temu, co zarzuca nam opozycja, bierzemy to pod uwagę. Zmiany w prawie nastąpią, bo jest z naszej strony wola polityczna, by to wreszcie uporządkować, ale oprócz regulacji są jeszcze inne pola, na których trzeba działać. Chodzi np. o wspieranie polskich mediów i inwestycji na rynku poprzez polskie podmioty, o stworzenie pewnej atmosfery sprzyjającej polskim inwestorom i zachęcającej ich do wchodzenia w biznes medialny.

Z tą nacjonalizacją może być coś na rzeczy. Jeśli będziecie dekoncentrować rynek medialny, to

Narodowość kapitału ma znaczenie

ktoś od zagranicznych właścicieli będzie musiał część udziałów odkupić. Jeśli nie znajdzie się polski prywatny kapitał, to mogą to być spółki Skarbu Państwa.

To jest pewien problem. I może się tak zdarzyć, że pośrednikiem między zagranicznym a polskim kapitałem będą spółki państwowe, ale nie powinien to być model docelowy.

Czy nowe przepisy, nad którymi pracuje dziś resort kultury, będą dotyczyć obecnych już na rynku podmiotów, czy tylko tych, które zechcą na niego wejść w przyszłości. Innymi słowy, czy prawo, które uchwalicie, będzie działało wstecz?

Nowe prawo ma na celu zmianę stanu dzisiejszego, więc nie wyobrażam sobie, by miało nie dotyczyć obecnych już na rynku koncernów. Szanując zasadę, że prawo nie działa wstecz, pamiętajmy, iż gdyby ją dosłownie stosować w przypadku regulacji antykoncentracyjnych w jakiejkolwiek branży, to nie można byłoby przeprowadzić żadnej akcji rozbijania monopolu. To jest niebawale, że dopuściliśmy do takiego kształtu własnościowego rynku mediów w Polsce i będąc już w Unii Europejskiej, nie wykorzystaliśmy możliwości, jakie daje nam prawo europejskie, które inaczej

traktuje przedsięwzięcia medialne niż każdy inny biznes.

Inaczej, czyli jak?

Daje możliwości dużo dalej idących regulacji i ograniczeń, traktując przedsięwzięcia medialne jako mające inną funkcję do spełnienia niż tylko biznesową. Rozporządzenia unijne w tej sprawie mówią, że rynek medialny to rynek strategiczny, dlatego musi podlegać odpowiednim regułom kontroli własności i koncentracji kapitału, dzięki którym zostanie zapewniony pluralizm. I te właśnie możliwości prawne zostały skrupulatnie wykorzystane przez państwa starej Unii, które wprowadzały u siebie przepisy antykoncentracyjne. Podobną sytuację do naszej, jeśli chodzi o przewagę kapitału zagranicznego na rynku mediów, mamy dziś jedynie w innych krajach Europy Wschodniej, takich jak Czechy czy Słowacja. Widać, że to błąd charakterystyczny dla demoludów w okresie transformacji.

Czyli wątpliwości dotyczące tego, że ustawa dekoncentracyjna może rozbić się o prawo unijne, które gwarantuje swobodny przepływ kapitału, są bezzasadne?

Te wątpliwości podnoszą malkontenci i mają do tego prawo. Podobnie jak opozycja, która nie wierzy ani w nasze dobre intencje, ani w naszą zdolność do stworzenia dobrego prawa. Ja mam nadzieję, że to się jednak uda, zwłaszcza że – jak już mówiłam – rynek medialny podlega nieco innym prawom niż inne biznesy także z punktu widzenia regulacji unijnych. Tutaj mamy jednak nieco większe pole manewru.

Kiedy poznamy projekt ustawy?

Według zapowiedzi wicepremiera prof. Piotra Glińskiego jeszcze przed wakacjami. W resorcie kultury od grudnia pracuje zespół ekspertów, który analizuje funkcjonujące w innych krajach rozwiązania i ich korelacje z prawem unijnym. Na razie trudno powiedzieć, czy pójdziemy bardziej w kierunku rozwiązań francuskich, czy niemieckich, bo na pewno te dwa kraje będą głównym punktem odniesienia.

Zwłaszcza Francja ma restrykcyjne zapisy dotyczące koncentracji kapitału w tej materii.

To prawda i w jej przypadku nikt nie krzyczy, że to ograniczanie wolności słowa i zamach na media, jak u nas robi to część opozycji, choć żadnych konkretnych zapisów jeszcze nawet nie zaproponowaliśmy.

Diabeł – jak wiadomo – tkwi w szczegółach. Jak chcecie mierzyć wpływy poszczególnych koncernów, osobno w poszczególnych segmentach, np. dzienników, tygodników, portali, czy łącznie?

Trudno o tym w tej chwili przesądzać, bo różnie jest to mierzone w różnych krajach. Niekiedy, w zależności od zasięgu, od poziomu czytelnictwa lub sprzedaży, są regulacje dotyczące każdego z segmentów osobno, ale i tzw. koncentracja krzyżowa, która obejmuje wszystkie segmenty będące w gestii jednego podmiotu. Z pewnością trzeba zrobić to tak, by nie dochodziło do sytuacji, w której np. UOKiK, badający sprawę prasy regionalnej, nie dopatrzył się monopolu.

Można odnieść wrażenie, że niedawny list Marka Dekana, prezesa koncernu Ringier Axel Springer (w którego skład wchodzi m.in. „Fakt”, „Newsweek” i Onet.pl), do pracowników polskiego oddziału przyspieszył mocno prace nad ustawą dekoncentracyjną.

Podział na nas motywujący i mobilizujący, bo pokazał dobitnie, jak bardzo narodowość kapitału ma znaczenie. I to nie jest tylko kwestia tego listu. Już rok temu wyciekła przecież notatka niemieckiego MSZ, opisująca spotkanie przedstawicieli rządu Merkel z przedstawicielami niemieckich mediów, którzy byli instruowani, jak pisać o polskim rządzie i Polsce. To pokazało, że Niemcy wykorzystują media jako instrumenty do realizowania własnej polityki. Pamiętam, że zastanawiano się wówczas, czy dotyczy to także mediów z koncernów niemieckich, które funkcjonują w Polsce. Po liście pana Dekana wiemy, że tak.

Pytanie, czy to, jak o rządzie piszą różne tytuły, zależy od narodowości kapitału, który za nimi stoi, czy jednak od poglądów ludzi, którzy nimi zarządzają? Tomasz Lis, redaktor naczelny „Newsweeka”, nie potrzebuje instrukcji od pana Dekana, by robić antypolskie okładki.

To są dwie różne sprawy. Debata, którą wywołał list pana Dekana, dotyczy oddziaływania kapitału zagranicznego, jego zakresu i konsekwencji. Czym innym jest zaś funkcjonowanie w debacie publicznej różnych poglądów. Funkcją mediów jest kontrola rządzących i dobrze, gdy są krytyczne media, bo to gwarantuje właściwe funkcjonowanie państwa. Gorzej jednak, gdy te kontrolę mają sprawować nad polskim rządem Niemcy, bo wtedy to jest niebezpieczne. I nie chodzi tu o jakieś fobie antyniemieckie, które się nam zarzuca. Zapewniam, że Niemcy by sobie na taki kształt rynku nie pozwolili, i bierzmy z nich

przykład. Popatrzmy na casus zakupu przez amerykańsko-brytyjskiego inwestora w 2005 r. „Berliner Zeitung”, dziennika opiniotwórczego, ale w sumie o niewielkim zasięgu i niewielkim wpływie na kształt rynku. Gdy do tego doszło, wszyscy – środowiska dziennikarskie, polityczne, biznesowe – uznali, że to niebezpieczny precedens, by ktoś z zewnątrz mógł wpływać na sposób myślenia Niemców, ich wybory, decyzje, gusta. W efekcie cała atmosfera sprzeciwu doprowadziła do tego, że „Berliner Zeitung” został „odzyskany” przez kapitał niemiecki. Tam wszyscy rozumieli, gdzie leży interes państwa, i nikt nie miał problemu z jego zdefiniowaniem.

A u nas jest problem z definicją?

Jest. I czasem naprawdę trudno jest tłumaczyć posłom opozycji rzeczy oczywiste. Zastanawiam się wtedy, jak to możliwe, że daliśmy się tak podzielić, że nie potrafimy już ponad podziałami ocenić, co jest naszym wspólnym interesem narodowym, że dajemy się rozgrywać i pozwalamy, by decyzje dotyczące naszego kraju zapadały gdzie indziej.

Gdzie indziej, czyli gdzie?

Ostatnie posiedzenie sejmowej Komisji Kultury rozpoczęłam, cytując prace dr Rafała Brzeskiego o wojnie informacyjnej, bo uważam, że patrząc na to, co się przez ostatnie 27 lat w Polsce działo, i na to, jak zostaliśmy podzieleni w ostatnich latach, widać wiele przesłanek do tego, by twierdzić, że pewne elementy wojny informacyjnej już u nas widać. Nie będę mówił, kto i gdzie nas rozgrywa, daję to po prostu wszystkim pod rozwagę.

A nie jest tak, jak twierdzi opozycja, że zwyczajnie chodzi wam o przejęcie kontroli nad mediami prywatnymi?

Wiadomo było, że opozycja zarzuci nam jak najgorsze intencje: iż chcemy mieć jednolity przekaz, albo chcemy przejąć media regionalne przed wyborami samorządowymi. Ci, którzy tak mówią, nie mają pojęcia, o jak skomplikowaną materię chodzi i jak dużo czasu trzeba, by takie rozwiązania wprowadzić w życie. Chciałabym, abyśmy potrafili choć raz zjednoczyć się wokół polskiej racji stanu, niezależnie od strony sporu politycznego, po której się opowiadamy. Myślę, że oprócz regulacji prawnych potrzebna jest jeszcze zmiana sposobu myślenia części polskich elit, a z tym może być trudniej niż z napisaniem najtrudniejszej ustawy.



Agnieszka Niewińska

Chcą promować chrześcijańskie wartości i kulturę w kawiarniach oraz restauracjach, dlatego obok obiadów i słodkości proponują długą listę wydarzeń. Lokale „z duszą” powstają w kolejnych miastach

Nad ekspresem do kawy wisi drewniany krucyfiks, na sali pełnej stolików kalendarz z Matką Boską Fatimską, na ścianach grafiki – choćby ze św. Maksymilianem Kolbem, Cudownym Medalikiem i hasłem: „Kolbe. Życie na Maksa”. Obok cukiernicy i solniczki ustawionych na barze leży egzemplarz „O naśladowaniu Chrystusa” Tomasza à Kempis – po Biblii jednego z najbardziej rozpowszechnionych chrześcijańskich dzieł. Tak gości wita Docelowo, jak mówią jej założyciele, pierwsza katolicka kluborestauracja. W samym sercu Warszawy, przy ul. Marszałkowskiej, po sąsiedztwie z hipsterskim pl. Zbawiciela nie tylko można wypić kawę czy zjeść obiad, lecz także wziąć udział w wydarzeniach kulturalnych, których wspólnym mianownikiem są chrześcijańskie wartości.

WYJŚĆ Z KĄTA

Lokal działa od czterech miesięcy. – Założyliśmy go w dwa i pół tygodnia, bez dużego budżetu, wspólnymi siłami. Porwaliśmy się trochę z motyką na słońce, ale doszliśmy do wniosku, że jeśli nie teraz, to kiedy? – opowiada Maciej Podulka, jeden z założycieli. Pomysł narodził się w głowach osób skupionych wokół Oratorium św. Jana Bosko. – Myśleliśmy o warsztatach majsterkowania dla dzieci i rodziców. Polacy na Zachodzie słyną z tego, że są zaradni – radzą sobie z drobnymi naprawami, potrafią zrobić coś z niczego. Dzisiaj jednak te umiejętności giną. Chcieliśmy powrócić do tego. Potrzebne były pieniądze i miejsce. Stąd narodził się pomysł kluborestauracji. Miała zarabiać na te warsztaty. Na razie drugi z pomysłów przerósł pierwszy, ale do warsztatów majsterkowania jeszcze wrócimy – mówi.



Kawa z Tomaszem à Kempis

Przymiotnika „katolicka” określającego kluborestaurację się nie boi. – Czego mielibyśmy się wstydzić, jeżeli wierzymy, że za nami jest Pan Bóg? – pyta. – W pewnym sensie jesteśmy odpowiedzią na powstające klubokawiarnie o lewicowym profilu. Żyjemy w 2,5-milionowym mieście i do tej pory w centrum nie było lokalu o chrześcijańskim charakterze. Dlaczego my – katolicy – mielibyśmy się spotykać tylko w niedziele w salce parafialnej, przy cieście, które musimy sobie upiec sami? Musimy wyjść z kąta. Mam wrażenie, że dziś Kościół jest jak olbrzym zakrzyczany przez karła i zagoniony przez niego do narożnika – tłumaczy Podulka. I dodaje, że lokal jest otwarty dla wszystkich. – Nie jesteśmy eksclu-

zywni, nikogo nie wykluczamy. Na obiady przychodzą do nas bardzo różni ludzie. Czasami widzę, że są zaskoczeni faktem, iż wisi tu krzyż, ale także zaciekawieni naszym lokalem. Po leżącym na blacie baru Tomasza à Kempis wiele osób sięga z ciekawości.

Aby Docelowo działało, potrzebna jest współodpowiedzialność bywalców kluborestauracji. Lokal utrzymuje się bowiem wyłącznie z dochodu ze sprzedaży tego, co zjedzą i wypiją goście. W piątek nie ma tu problemu z daniem beżmięsnym. Szefowa kuchni przygotowała także specjalne postne menu na całe 40 dni – postny żur, rosół grzybowy, pulpety rybne czy kotlety ziemniaczane. I choć ekipa Docelowo chce zaskakiwać



W warszawskiej restauracji Docelowo można napić się kawy i zjeść obiad, a także poczytać katolickie książki oraz wziąć udział w wydarzeniach kulturalnych. FOT. MATEUSZ STOLARSKI/CHG

zum” trudno o wolne miejsce. Większość wydarzeń jest bezpłatna, by dostęp do nich mógł mieć każdy. – Wystarczy nam zamówienia – nawet ciasto, herbata. U nas widać, że chrześcijanin to wcale nie jest jakiś smutny, zahukany człowiek. Ci, którzy do nas zajądzą, widzą ludzi ciekawych, radosnych. W Polsce mamy taką dezinformację, tak wiele nieprawdy, że ja się nawet specjalnie nie dziwię tym, którzy są niechętni Kościołowi. My chcemy przeciwstawić się stereotypom na jego temat – mówi z kolei Podulka.

OTWOCK, OLSZTYN, WŁODAWA

Lokale o chrześcijańskim charakterze to nie tylko domena Warszawy. Zaczyna ich przybywać w całej Polsce. Pod koniec listopada w Koszalinie powstała kawiarnia Kawa z Duszą założona przez Stowarzyszenie Miłosierdzia Bożego. Nie brakuje tam symboli religijnych, a do każdego zamówienia dodawana jest karteczka z cytatem z Pisma Świętego. W kolejnych miastach powstają kawiarnioksięgarnie pod szyldem Niebo w Mieście. Pierwsza pojawiła się dwa lata temu w Otwocku. Kolejne zapraszają do siebie mieszkańców Jaworzna i Olsztyna, a od marca także Włodawy.

Doktor Anna Siudem, psycholog społeczny z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, zwraca uwagę, że powstawanie lokali o określonym ideowo charakterze to efekt coraz większych podziałów w społeczeństwie. – Wyraźnie rysują się różnice w podejściu do życia, w wyznawanych wartościach. Jednocześnie nie wystarcza nam np. noszenie symboli religijnych, chcemy spotykać się w miejscach publicznych – zwraca uwagę psycholog. Dodaje, że dziś chętniej manifestujemy swoje poglądy, przyznajemy się do wyznawanych wartości. – Tworzenie przestrzeni do spotkań ludzi o podobnych poglądach scala taką grupę, dowartościowuje ją, daje jej siłę m.in. do tego, by mówić o swoich przekonaniach.

Lech Wyżewski z fundacji ZaNim, która prowadzi otwockie Niebo w Mieście, przyznaje, że nie chodziło o założenie zwykłej kawiarni, ale o lokal z misją. – Zależało nam na szerzeniu kultury chrześcijańskiej, stworzeniu miejsca, które służyłoby ewangelizacji. My, chrześcijanie, potrzebujemy takich miejsc, świat potrzebuje takich miejsc – podkreśla. I dodaje. – Chcieliśmy wyjść do ludzi, którzy w jakiś sposób kryją się ze swoją wiarą, uważają, że jest to

jedynie prywatna sfera, ale także do wątpiących, takich, których w życiu spotkało coś trudnego. Osoby, które u nas pracują, są blisko Boga, przeszły formację w którejś ze wspólnot, więc są otwarte na rozmowy. Zdarzało się już, że ktoś do nas przyszedł, nawiązał rozmowę, a potem pojawił się na spotkaniu wspólnoty, został przy Kościele – opowiada Wyżewski.

– Niczego jednak nie narzucamy – zastrzega Małgorzata Giżyńska z fundacji Skrzydła Anioła, która od stycznia prowadzi olsztyńskie Niebo w Mieście. – Owszem, na półce stoi Pismo Święte, ale nasza kawiarnia to miejsce dobre dla każdego – wierzących, niewierzących, ludzi różnych wyznań – zaznacza.

W Niebie w Mieście można nie tylko liczyć na kawę i ciastko, lecz także kupić chrześcijańskie książki, przyjść na spotkanie. W Olsztynie o swoim nawróceniu opowiadał Krzysztof Antkowiak, organizowane są też warsztaty kulinarne, pokazy podróżnicze. W Otwocku można trafić na koncert czy wieczór z modlitwą uwielbienia. – Pomysł zaskoczył. W Otwocku jest dużo wspólnot i parafii, więc wielu osobom podobało się to, że w mieście powstało miejsce, jakiego wcześniej nie było. Dzisiaj piszą do nas ludzie z różnych części kraju, którzy Niebo w Mieście chcieliby otworzyć u siebie – mówi Wyżewski.

Założyciele Docelowa już zastanawiają się nad tym, by pomysł na katolicką kluborestaurację rozprzestrzenić po Polsce. Służą know-how tym, którzy pod ich szyldem chcieliby otworzyć lokal we własnym mieście. – Wiemy już, jak to zorganizować bez wielkich pieniędzy. Zależy nam na tym, by przybywało miejsc z dobrą treścią. Nie ma co się cieszyć z tego, że w Polsce ciągle więcej ludzi chodzi na niedzielne msze niż na Zachodzie, skoro trend jest spadkowy. Trzeba go odwrócić – mówi Maciej Podulka. I przypomina sobie, jak sam kiedyś produkował koszulki. – Wówczas rynek był zarzucony tymi z Che Guevarą, jakimiś lewicowymi hasłami. Zaczęliśmy projektować takie z grafikami odwołującymi się do wiary, patriotyzmu. Dzisiaj zajmują się tym duże firmy. Mam wrażenie, że te koszulki pomogły zmienić świadomość młodych ludzi. A skoro myślenie mogą zmieniać zwykłe koszulki, to jaki wpływ mogłaby mieć sieć kluborestauracji promujących chrześcijańską kulturę?



Pisanie historii od nowa



Andrzej Krzystyniak

Historia może być doskonałym narzędziem nacisku. To dlatego próbuje się obarczyć Polaków współodpowiedzialnością za II wojnę światową czy oskarża się Polskę o dokonywanie „czystek etnicznych” na tzw. Ziemiach Odzyskanych

Goethe miał swego czasu powiedzieć, że historię wypada od czasu do czasu napisać od nowa. Nie dlatego, by odkrywać nowe fakty, ale po to, aby ustalić nowe, korzystniejsze stanowisko względem przeszłości dla przyszłości, w której przyjdzie żyć następnym pokoleniom. Kiedy spojrzymy w przeszłość, możemy dostrzec, że historia wielu ważnych wydarzeń, np. wojen światowych, jest zmienna w zależności od lansowanych interpretacji. Przeszłość niektórych narodów oraz ich, czasami niezbyt chwalebnych, czynów może rzutować na przyszłość. Odium popełnianych zbrodni czy rozpętywanych wojen i agresji nie jest niczym przyjemnym, a czasami rzutuje również na relacje międzynarodowe i gospodarcze, przynosząc wymierne straty.

NOWE SPOJRZENIE

Historia może być doskonałym narzędziem nacisku, oddziaływania, szantażu. Za jej pomocą można zbudować lub zburzyć wizerunek kata bądź ofiary. Truizmem jest stwierdzenie, że II wojna światowa zakończyła się w 1945 r., że granice państwowe w Europie są ustalone raz na zawsze, a gra o terytoria zakończyła się bezpowrotnie. Polska, której prawie jedną trzecią terytorium stanowią ziemie odebrane Niemcom, stanowi niezwykle organizm zespolony w jedną całość poprzez polonizację dziedzictwa obcej kultury powstającego przez kilka wieków. Gigantyczny wysiłek Polski po 1945 r. polegał nie tylko na odbudowie, lecz także, a może przede wszystkim, na zbudowaniu często od podstaw polskiej kultury na „Ziemiach Odzyskanych”.

Już w czasie wojny większość sił politycznych postulowała przyznanie Polsce wybrzeża Bałtyku, Śląska, ustanowienie granicy na Odrze. Zdawało sobie sprawę, że to osłabi Niemcy, a wzmocni Polskę, jak również zlikwiduje niekorzystny dla nas przebieg granicy z „odwiecznym wrogiem narodu polskiego”. Pomijając aspekty, jakimi kierowali się ci, którzy ustalili kształt Europy po 1945 r., musimy z całą pewnością stwierdzić, że daleką drogę musiał przebyć komunistyczny polski rząd od ustawienia słupów granicznych na Odrze i Nysie Łużyckiej do uznania tejże granicy przez Niemcy. Granica zachodnia pozostawała zmartwieniem przez cały okres tzw. Polski Ludowej

oraz była nieodłącznym straszakiem, wbrew pozorom często słusznym, wobec rewizjonizmu niemieckiego.

Upadek komunizmu, odzyskanie przez Polskę niepodległości po 1989 r., paradoksalnie zamiast restauracji polskiej nauki, która mogła wreszcie pozbyć się ideologicznego balastu, zaczął raczej sprzyjać jej rozmontowywaniu. Instytuty badawcze poczęły upadać, ale – co prawda – historycy zaczęli opisywać i badać prawdę w wielu dziedzinach. W końcu oddano hołd podziemu niepodległościowemu. Jednak polscy historycy odwrócili się od historii ziem zachodnich, Śląska itp. Wykpiwano pojęcie „Ziem Odzyskanych”, „polskości Śląska”. Wraz z ideologicznym impregnatem nad badaniami naukowymi zmazano również pojęcie „polskości »Ziem Odzyskanych«”.

Dopiero teraz, gdy historię zaczęto pisać na nowo, pojawiają się w polskiej przestrzeni publicystyczno-historycznej całkiem nowe określenia, takie jak „tragedia górnośląska”, „polskie komunistyczne obozy koncentracyjne”, „sowieckie obozy koncentracyjne”. A co za tym idzie – Polskę, która podlegała degradacji przez sześć lat okupacji oraz której kilka milionów obywateli zginęło bądź zostało zamordowanych, którą spłądowano i zrabowano doszczętnie, dziś oskarża się o zakładanie po wojnie obozów koncentracyjnych, w których to Polacy właśnie mieli mordować przedstawicieli mniejszości narodowych. Jednocześnie podnosi się temat, jakoby Polska miała również przeprowadzić po wojnie „czystki etniczne”, niszcząc „wielokulturowość” m.in. Śląska i doprowadzając do powstania państwa jednonarodowego.

OFIARY SPRAWCAMI

Polskie (niekomunistyczne) zbrodnie, jakich rzekomo mieli dopuścić się Polacy po 1945 r., ukazują Polaków nie jako ofiary, ale jako współwinnych II wojny światowej. Poza tym próbuje się udowodnić, w jaki to brutalny i niesprawiedliwy sposób państwo polskie objęło w posiadanie „Ziemie Odzyskane” – bo nie dość, że zostały one przyznane Polsce dzięki zabiegom Józefa Stalina, to jeszcze Polacy dokonywali na nich czystek etnicznych, wypędzając lub gnębiąc „rdzennych mieszkańców”. Jednocześnie marnowali potencjał gospodarczy pozostawiony przez Niemców. Poza tym pojawienie się rozgraniczenia na „polskie komunistyczne obozy koncentracyjne”

oraz „obozy sowieckie” ma sprawiać wrażenie, jakoby polscy komuniści mogli swobodnie prowadzić swoją politykę, nie oglądając się na Sowietów.

WYBIÓRCZA PAMIĘĆ

Co ciekawe, ci, którzy oplakują dziś ofiary „polskiego terroru”, zbywają milczeniem Ślązaków zamordowanych przez niemieckie bojówki w pierwszych dniach września 1939 r. Członkowie oślawionego zbrodniami Volksdeutscher Selbstschutz od września do grudnia 1939 r. zamordowali od 30 do 40 tys. osób narodowości polskiej. Na Śląsku ofiarami Selbstschutzu padło ok. 2 tys. osób.

„Miejsce egzekucji co dziesięć kroków obstawiali członkowie Selbstschutzu. Spośród więźniów wybrano kilku mających zakopywać zwłoki zabitych. Zabijało sześciu członków Selbstschutzu. Jeden z nich rannych dobijał strzałem z brąninga. Od niektórych Niemców czuć było alkohol. Ze zwłok zamordowanych zdjęto co lepsze obuwie, części garderoby oraz kosztowności”.

Zapomina się również, że zbrodni na Ślązakach we wrześniu 1939 r. dokonywali często ich sąsiedzi, przedstawiciele mniejszości niemieckiej, nierzadko zaczadzeni nazistowską ideologią. Jednak to już nie pasuje do układanki, swoistych puzzli, z których układa się historię na nowo. Według tejże wizji wojna nie dotyczyła Śląska. To dopiero ofensywa Armii Czerwonej, a wraz z nią „polskie rządy” zniszczyły spokój jego mieszkańców, to Sowietci wraz z Polakami doprowadzili do „tragedii niemieckiego wschodu”, czystek etnicznych oraz wypędzeń rdzennych mieszkańców.

Mozolny proces pisania na nowo historii trwa od dawna, do czego również przyczynia się bierność państwa polskiego, które jakby nie bardzo wiedziało, jak ma się temu przeciwstawić. To rzeczywiście niełatwe zadanie, gdyż „Ziemie Odzyskane” (a może „niemiecki wschód?”) były polonizowane po 1945 r. przez komunistów, przez to dziedzictwo, które Polska chciałaby szybko wymazać. Trudno nam bowiem przyznać, że ówczesne zespalanie ziem zachodnich było w interesie narodu polskiego. Polska z ofiary II wojny staje się w nowej wersji historii współsprawcą, na dodatek państwem zbudowanym w dużej mierze na ziemiach kulturowo do niej nienależących, takich jak np. Śląsk. Bardzo niebezpieczny to proces, swoista rewizja historii. Oby tylko na próbach rewizji historii się skończyło.

Życie Romualda Jakuba Wekslera-Waszkina, bohatera najnowszego dramatu Tadeusza Słobodzianka „Historia Jakuba”, zdaje się biografią wymarzoną na teatralną opowieść. Czy to o przewrotnym szyderczym losie, który ocalone z Holocaustu dziecko kieruje na drogę kapłańską, by dopiero w wieku dojrzałym dać mu poznać jego prawdziwe nazwisko i korzenie. Czy to o wielkim zadaniu, przed jakim stanął polski ksiądz, próbując zintegrować tradycję katolicką, w której wzrastał („Pan Jezus był u nas jak powietrze, którym się oddycha” – to Weksler-Waszkina o polskim domu rodzinnym) z judaizmem, który odkrył jako swe dziedzictwo i z zobowiązaniem pamięci o Holocaustu.

Żarliwa wiara kapłana w Jezusa Żyda, konflikty, jakie powodował rozdrażniony, coraz bardziej osamotniony ksiądz, poruszony sprawą Jedwabnego, broniący publicystyki Grossa, oskarżający całe otoczenie o prześladowanie go, utrudnianie kariery, reagujący na najdrobniejsze przejawy antysemityzmu czy niechęci do Żydów – to wszystko wydawało się idealnym materiałem do stworzenia wstrząsającej opowieści, a raczej wstrząsających opowieści. Bo przecież w jednym człowieku eksplodowało tyle tradycji, tyle religii. Obok religii katolickiej i judaistycznej także swoista religia Holocaustu, która chrześcijaństwo chce obsadzić w roli głównego sprawcy Zagłady. Mocne tożsamości, wzajemnie się wykluczające, skłębione opowieści: skażony antysemityzmem polski Kościół i antychrześcijański Izrael domagający się apostazji od żydowskiego księdza.

TAJEMNICZE FATUM

Ksiądz, który dopiero w wieku 35 lat poznał z ust przybranej matki prawdę o swym pochodzeniu, wzrastał w Polsce, podejrzewając wciąż, że coś z nim jest nie tak. Niepodobny do żadnego z rodziców, utalentowany – jakby na przekór grubo ciosanym opiekunom – muzycznie i aktorsko, stykał się czasami z insynuacjami czy wyzwiskami dotyczącymi jego pochodzenia. „Żydowski bajstruk!” – krzyknęli jacyś pijacy za nim. Na wycieczce na Wileńszczyznę ktoś zagadnął jego ojca, „Skąd wytrzasnął tego żydka”. To wszystko było jednak jakoś wypierane przez jękającego się chłopaka. Chociaż Waszkina był obrezany i miał wyraźnie semickie rysy, to prawdę o jego pochodzeniu zastępowały zapewnienia matki o wielkiej miłości, jaką go darzą rodzice. I rzeczywiście wzrastał

Polsko-żydowskie zapętlenia



Andrzej Horubała

W Teatrze Na Woli Tadeusz Słobodzianek o losach uratowanego z Holocaustu chłopca, w kinach amerykańska opowieść o Sprawiedliwej wśród Narodów Świata – Antoninie Żabińskiej z warszawskiego zoo. Relacje polsko-żydowskie w dwóch odmiennych ujęciach



FOT. MARTA ANKERSTEN

w kochającej się rodzinie, nie wiedząc, że oto wypełnia się jakieś przewrotne chrześcijańsko-pogańskie tajemnicze fatum. Bo – jak wyznała mu przybrana mama w czasie rozmowy w kuchni ich lubelskiego mieszkania, przy kolacji, 23 lutego 1978 r. – jego prawdziwa matka, przekazując swego synka pod opiekę, zaklinała ją: „Jest pani osobą wierzącą, chrześcijanką, parę razy mówiła mi pani, że wierzy w Jezusa: przecież On był Żydem! Niech pani więc ratuje żydowskie niemowlę w imię Tego Żyda, w którego pani wierzy. Jak to małeństwo wyrośnie, zobaczy pani, on zostanie księdzem, będzie nauczał ludzi”. I tak się zdarzyło, choć przepowiedni tej nieświadom był Romek, gdy – sam nieco zdziwiony swą decyzją – szedł do seminarium duchownego, gdy podejmował później studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdy pisał doktorat o Henrim Bergsonie – filozofie o żydowskich korzeniach zbliżającym się do chrześcijaństwa. Nieświadom spełniania się przepowiedni, nie znał prawdziwych źródeł rozpacz przybranego ojca na wieść o wyborze drogi kapłańskiej, a w dzieciństwie, gdy ktoś go przezywał, zadowalał się przytulaniem przez matkę i wyznaniem miłości...

To mogłaby być wstrząsająca opowieść, pozwalająca spojrzeć na utajony polski antysemityzm ludzi poczciwych, który ranił Waszkinela na jego drodze życiowej. Antysemityzm w głupich beznamiętnych odzywkach, w durnych napisach na murach. To mogłaby być też opowieść uniwersalna, rzecz o rysach greckiej tragedii – o człowieku, który wszędzie jest bezdomny i bywa igraszką w rękach fatum, nie znajdując przyjaznego miejsca na ziemi. To mogłaby być opowieść o tragicznych skutkach Holocaustu, milczeniu świadków, zagubieniu ocalałych ofiar. To mogłaby być też opowieść o wielkim sporze: między religią Holocaustu a tradycyjalistycznym modelem katolicyzmu. Sporze, który toczy wewnątrz siebie ksiądz Weksler-Waszkinel. Postać zresztą daleka od jednoznacznie pozytywnego i niewinnego bohatera. Poświęcona kapłanowi książka Dariusza Rosiaka „Człowiek o twardym karku” ukazuje osobę skłóconą z otoczeniem, nerwową, podejrzliwą i pełną uraz. Ale przecież jednocześnie ksiądz jawi się jako człowiek żarliwej modlitwy, duchowo pobudzony, zaangażowany. Człowiek z krwi i kości, który nie jest w stanie poradzić sobie z brzemieniem dziedzictwa i wyrokiem losu... Człowiek wypełniony rozpaczą i żalem. Z niechęcią traktowany przez Kościół i odrzucany

przez Państwo Izrael, które jemu – jako katolickiemu księdzu – cóż z tego, że Żydowi, odmawia przyznania obywatelstwa. Próbuje połączyć kapłaństwo z misją dziecka ocalałego z Holocaustu.

ANTROPOLOGIA SŁOBODZIANKA

No i teraz do tej fantastycznej, oszałamiającej historii podchodzi Słobodzianek ze swoimi, zdaje się już niereformowalnymi, nawykami. I przekształca ją we własną opowieść: płaską, infantylną, rozciągniętą na całe mnóstwo błahych epizodów, które skutecznie rozbrajają potencjał zawarty w tragedii Waszkinela. Niestety, wtóruje mu reżyser Ondrej Spišák, „ulubiony reżyser Słobodzianka”, który nie jest w stanie inscenizować częściowo choćby wbrew autorowi i oto zamiast maskować słabości tekstu i przesłaniać je własnymi konceptami, wzmaga tylko wady dramatu. Obsadzony w głównej roli Łukasz Lewandowski, dodatkowo poprzez swoje aktorskie emploty i maniere grania chłopaczków, jeszcze bardziej osłabia wymowę tej biografii.

Jak to u Słobodzianka – aktor jest i narratorem, i często żartobliwym komentatorem, zwracającym się wprost do publiczności, i bohaterem krótkich scenek: realistycznych, hipotetycznych czy sennych. Przebiera się na naszych oczach, komentuje zdarzenia, wygłasza płomienne kazania, spowiada.

Gdybyż Słobodzianek z równą maestrią, z jaką obniża ton, operował w poważniejszych rejestrach! Ale prowadzona przez niego opowieść biograficzna pełna trzeciorzędnych wątków, skrzących się Słobodziankowym dowcipem, wyczuleniem na paradoksy historii, kapitalnymi dygresjami, owszem, buduje pakt z inteligenckim odbiorcą, ale skutecznie osłabia tragedię. Jedynie w wygłaszanych przez Lewandowskiego przejmujących homiliach, w których wyznaje swą tragiczną wiarę otrzymujemy smak tego, czym mógłby stać się spektakl, gdyby nie porażająca maniera Słobodzianka.

Autor nie jest więc w stanie oddać dramatu przybranych rodziców, którzy kierowani miłością połączoną z lękiem i wstydem, chcąc bronić chłopca przed okrutną prawdą o jego korzeniach, brnęli w szlachetne kłamstwo, pocieszeniem zastępując wstrząsające wyznanie, ani nie pokazuje ks. Waszkinela jako osoby o głębokim życiu duchowym.

To zresztą znamieny rys Słobodziankowej antropologii: jakiś dziwny redukcjonizm, który powoduje, że dramaturg i podążający za nim reżyser najlepiej się czują, sprowadzając człowieka do poziomu powodowanego instynktami zwierzęca, a satysfakcję osiągają, gdy dają bohaterom popić i pokierdasić. Przemoczne ciśnienie ku grotesce, paradoksowi, karykaturze, powoduje, że nie mają szansy rozbrzmieć u Słobodzianka czystsze tony.

Opowieść o polskim Kościele widzianym przez pryzmat demoralizacji kleru, który albo ulega homoseksualnym ciągotom, albo chędoży gospodyni, opłacając jej kolejne aborcje, zagładanie do konfesjonatów, by ujawnić katolickie zakłamanie lubieżnych niewiernych kobiet, kazirodzich ojców, opowieść snuta przy jednoczesnym pominięciu i głębokiej religijności rodziny Waszkinelów, i rozwoju duchowego samego bohatera oraz głębi jego wzruszeń, powodują, że spektakl Słobodzianka – Spišáka nie ma majestatu tragedii, jaką niesie biografia żydowskiego księdza.

Inna sprawa, że krytyka Kościoła, scena orgii z udziałem proboszcza i wikarego, demoniczne tańce w wykonaniu zakonnych siostrzyczek, cóż, po „Kłatwie” Frłjicia tego rodzaju „prowokacje” wyglądają jednak dość pociesznie.

I przecież koniec spektaklu, gdy kapłan Żyd okazuje się bezdomnym, wydziedziczonym wędrownym, którego nie chcą przyjąć i zaakceptować ani Izrael, ani Kościół, zamiast wybrzmiewać mocno, nie ma w sobie żadnego powietrza. Finał jest dziwny – Łukasz Lewandowski wypowiada wzniósłe zdania: „Kim jestem? Nie wiem. Zostawić to wszystko naprawdę chcę. Było pusto. Było cicho. Nie było nikogo. Wyszedłem na ulicę. I zatrasnąłem za sobą

drzwi”, i rzeczywiście wychodzi drzwiami prowadzącymi do foyer. Rozbrzmiewa muzyka, a na scenę wchodzi ekipa sprzątająca, zamiatając resztki szarlotki, którą przed chwilą obrzucało się czworo zmartwychwstałych rodziców Wekslera-Waszkinela, wzajemnie obwiniając się o tragedię syna. Marne to, nieprzyjemne, pokazujące kolejny raz, że Słobodzianek, choć warsztatowo bardzo sprawny i potrafiący opowiadać, tu da piosenkę, tu balecik, kleci swe spektakle tak płasko, że człowiek wychodzi z nich z poczuciem zawodu,



TADEUSZ SŁOBODZIANEK
„HISTORIA JAKUBA”
REŻ. ONDREJ SPIŠÁK



■ zniesmaczony tym dziwnym, właściwym dramaturgowi pobłażliwie-pogardliwym stosunkiem do ludzi.

PIĘKNA POLKA, PIĘKNA POLSKA

Kompletnie inny klimat panuje w filmie nowozelandzkiej reżyserki Niki Caro pt. „Azyl”. Oparta na faktach historia ukrywania Żydów w warszawskim ogrodzie zoologicznym przez małżeństwo Żabińskich ma za bohaterkę Antoninę (w tej roli Jessica Chastain), tytułową żonę (w oryginale bowiem film nazywa się „The Zookeeper’s Wife”). Piękna, elegancka Polka będąca obiektem pożądania niemieckiego zoologa, który wkrótce po najeździe hitlerowców zjawi się w Warszawie w mundurze SS, zdaje się spełniać wszelkie standardy ideału. Patriotka, lękająca się, ale lęk przezwyciężająca. Delikatna, ale gdy trzeba – stanowcza. Pełna godności, ale dla ochrony najbliższych i tych powierzonych sobie potrafiąca złożyć nawet ofiarę z samej siebie. Czasem naiwna w ocenie znajomych, lecz w odruchu serca oferująca schronienie swej żydowskiej przyjaciółce – rzeźbiarce.

Ze zdumieniem i z radością oglądamy to wcielenie polskiego piękna, choć pewną bajkowość tego ujęcia podbija dubbing upodabniający „Azyl” do importowanych filmów typu „101 dalmatyńczyków”, w których aktorzy prezentują infantylne sielankowe historie, będące pochwałą rodzinnych wartości. I przecież nam, nienawykłym do dorosłych opowieści o dobrych i szlachetnych Polakach, dzieje Antoniny Żabińskiej zdają się czystą fantazją. Chowani przez tyle lat w pedagogice wstydu, w klimacie obrzydzenia wszystkim, co polskie, głoszenia niższości cywilizacyjnej naszego kraju, odzwyczailiśmy się od oglądania Polski pięknej, Polski mogącej być przedmiotem fascynacji i pożądania ze strony Niemców.

Chłonąc z niedowierzaniem tę manifestację polskiej urody, czekamy przecież prawie do końca filmu na pojawienie się obowiązkowych – zdawałoby się – szmalcowników, pijaków, delatorów. Czekamy też na dobrego Niemca, który przyćmi straszliwego Lutza Hecka (w tej roli kapitalny, jakby wyjęty ze „Stawki większej niż życie” Daniel Brühl – okrutny cynik próbujący uwieść polską piękność).

Wstrząsające sceny z dr. Januszem Korczakiem i jego podopiecznymi, krzątania polskiego podziemia, ukazanego trochę w stylu francuskiego Résistance, chojrackie wyprawy do getta i przewożenie Żydów do zoo, a następnie dalej, wciąż oglądamy to wszystko jako preludium do czegoś, co obnaży polską brzydotę i degenerację. Widzimy elegancki, mieszczański salon państwa Żabińskich, sycimy się obrazem nowoczesnych przystojnych małżonków (w roli męża – Johan Heldenbergh), patrzymy na uroczą gospodynię pociągającą zarówno, gdy z wdziękiem gra na fortepianie, jak i gdy umazana we krwi ratuje małe słońtko. Czekamy, kiedy te nasze złudzenia zostaną zdruzgotane. Kiedy pojawi się i skazi ten obraz – zło. A tu – szok! Nic takiego nie następuje.

PREZENT Z HOLLYWOOD

Ze śmiechem i z niedowierzaniem odbieramy więc ten przedziwny prezent z Hollywood. Subtelna baśń o szlachetnych Polakach i złych Niemcach, o naszych rodakach – ludziach dobrych i pięknych, o Polsce pociągającej w swym bohaterstwie. Odwykliśmy od oglądania takich ujęć na wielkim ekranie. Zdało się nam, że prawdziwa sztuka winna zawsze zaburzać sielankowy obraz, pokazując przewagę zła. Co

robić z prawdziwymi bohaterami? Zawsze coś dodać, by nie ulegać euforii i złudzeniom. Zawsze pokazać drugie dno.

Oczywiście sporo tu rzeczy niedopowiedzianych, ledwie naszkicowanych: historia ratowania i ukrywania Żydów pozbawiona jest wielu kontekstów. Lewicowy krytyk marszczy się nieco na brak wzmianek o polskim przedwojennym antysemityzmie, ale przecież gdyby poruszać ten wątek, należałoby pokazać, że u podstaw „Żegoty”, Rady Pomocy Żydom przy Delegacie Rządu RP na Kraj, w ramach której działało państwo Żabińscy, stała Zofia Kossak-Szczuczka, katoliczka, niewyrzekająca się swej przedwojennej postawy wobec Żydów, lecz podejmująca heroiczny wysiłek ratowania bliźnich w imię chrześcijańskiej miłości. Można by też przywołać Jana Żabińskiego, agnostyka, który w wywiadzie udzielonym Yaronowi Beckerowi mówił, że katolickie wychowanie jego żony, Antoniny, „wzmocniło jej determinację, żeby pozostać wierną sobie, słuchać głosu serca, nawet jeśli wymagało to wielu poświęceń”.

Film kręony w Pradze, z międzynarodową gwiazdorską obsadą, nie jest wolny od wad. Sama końcówka pozbawiona energii, ponad miarę rozciągnięta, brak dramaturgicznego napięcia w niektórych partiach filmu i niski budżet, rażący nieco, jeśli chodzi o sposób ekspozycji oraz opowieść o wielkiej historii: obu powstaniach w Warszawie czy wywózce Żydów. Owszem, reżyserka w miejsce szerokich ujęć posługuje się metaforycznymi skrótami: płatkami popiołu przywianymi z płonącego getta i spadającymi na zoo niczym śnieg czy obrazem żydowskich dzieci podsadzanych przez „biednego chrześcijanina” do bydlęcych wagonów, lecz czasami film zdaje się zbyt ciasny. „Azyl” to dzieło niesamowite. Nie do końca świadomie wchodząc w polemikę z pedagogiką wstydu i ujęciami prezentującymi Polaków jako naród współsprawców, jest jak łyk świeżej ożywczej wody. Przypomina pięknych ludzi, przypomina sen o pięknej Polsce. Oddaje sprawiedliwość tym uhonorowanym i tym zapomnianym Sprawiedliwym wśród Narodów Świata. © 2017 Wszelkie prawa zastrzeżone



REŻ. NIKI CARO
„AZYL” („THE ZOOKEEPER'S WIFE")
USA 2017

Ballada o Grzesiuku



Krzysztof Masłoń

Ta książka powinna zostać napisana już dawno temu. Najważniejsze jednak, że w końcu ją mamy



FOT. WACŁAW KAPUSTO / FORUM

Ukazała się biografia Stanisława Grzesiuka, zmarłego 21 stycznia 1963 r. w wieku 45 lat barda stolicy, człowieka, który nie bardzo umiał śpiewać, ale jego dwie płyty osiągnęły status złotych, a na koncerty w Sali Kongresowej, w których brał udział, bilety wyprzedawano w okamgnieniu. Człowieka, który nie przyznawał się, że

jest pisarzem, bo – przekonywał – jest nieoczytany i robi błędy ortograficzne, tyle że trzy książki, które napisał, stały się bestsellerami i wznawiane są do dziś. W latach PRL, gdy partyjne wydawnictwo Książka i Wiedza popadało w kłopoty finansowe, a ciągle je miało ze względu na publikowane przez tę oficynę ideologiczne cegły, sytuację materialną

firmy natychmiast poprawiała kolejna edycja „Boso, ale w ostrogach”, „Pięć lat kacetu” i „Na marginesie życia”.

O ile książki Grzesiuka czytali prawie wszyscy, o tyle na pewno wszyscy słuchali jego piosenek. Takie jednak tytuły jak: „Ballada o Felku Zdankiewiczzu”, „Nie masz cwaniaka nad warszawianka” i „U cioci na imieninach” brzmią

■ znajomo niewyłącznie najstarszym mieszkańcom stolicy. Młodzi, no, powiedzmy, że młodszy, poznali go podczas reaktywacji dokonanej w 1995 r. przez formację używającą nazwy Szwagierkolaska.

WARSZAWIAKA MODEL Z SÈVRES

Przedsięwzięciu temu patronował świętej pamięci pisarz Marek Nowakowski. Pamiętam, jak na promocyjnym koncercie w klubie na Ochocie wyartykułowałem mu swoje w tej materii pretensje. Z grubsza brały się one z tego, że u Grzesiuka najbardziej ceniłem – nie ja jeden – autentyzm. W jego piosenkach nie było nuty fałszywej, podobnie jak w opowiadaniach Nowakowskiego nie znalazło się kłamstwa. Sceptycznie już jednak podchodziłem do np. „warszawskich” produkcji Jaremy Stępowskiego, bo widziałem w nim dobrze urodzonego i wykształconego pana, który przebierał się w marynarkę w kratkę, na głowę naciągał oprychówkę i, z powodzeniem zresztą, wykonywał teksty napisane przez Wojciecha Młynarskiego. Moim zdaniem w rockowej przeróbce Grzesiuka dokonanej przez T.Love – bo to ten zespół przekształcił się w Szwagierkolaskę – było też coś fałszywego.

Marek Nowakowski cierpliwie odpierał moje zarzuty, tłumacząc, że tak mało zostało już w Warszawie śladów przeszłości tego miasta, a w związku z tym ze szczególną dbałością należy pielęgnować wszystko, co się da, wspierając także takie inicjatywy jak ta zespołu T.Love. Może nie do końca mnie przekonał, w każdym razie zgodziliśmy się co do tego, że Częstochowa, skąd pochodzi Muniak Staszczuk, lider T.Love, to również miasto do rzeczy, choć do Warszawy jej, oczywiście, daleko.

Żeby było zabawnie, sam Grzesiuk, ów arcywarszawiak niczym model z Sèvres, urodził się na wsi pod Chełmem Lubelskim, bo tam akurat wyjechali na pewien czas jego rodzice, by następnie przeprowadzić się na stałe na Czerniaków, na ul. Tatarską, unieśmiertelnioną po latach w „Boso, ale w ostrogach”. Z kolei w „Pięciu latach kacetu” opowiedział Stanisław Grzesiuk o najtrudniejszym okresie swego życia spędzonym za drutami obozów koncentracyjnych na Dachau, Mauthausen i Gusen. „Na marginesie życia”, trzecia i ostatnia część trylogii Grzesiuka, jest relacją z jego powojennej, przegranej walki z gruźlicą i – co możemy wyczytać teraz między wierszami biografii Barto-



Stanisław Grzesiuk na Balu Budowniczych Warszawy, 11 lutego 1962 r. FOT. ZBYSZKO SIEMASZKO/FORUM

sza Janiszewskiego „Grzesiuk. Król życia” – z jeszcze jednej życiowej przegranej: z alkoholem.

JEZYK POETÓW, MOWA BANDYTÓW

Wdzięczny jestem autorowi biografii za przywołanie niezwyklej atmosfery Warszawy pierwszych lat powojennych. Czasem opisywane przez niego wydarzenia wydać się mogą nieprawdopodobne. Oto klucze do swojego pierwszego mieszkania otrzymał Stanisław Grzesiuk w 1950 r., wcześniej mieszkując w wynajętych pokojach, suterrenach, pokojach służbowych. No, ale się doczekał – 42 mkw. na parterze przy ul. Franciszkańskiej. Zamieszkał tam z dwojgiem dzieci, żoną i matką. Ponieważ jednak wkrótce choroba kazała mu dłuższymi okresami przebywać w szpitalach i sanatoriach, odstąpił pokój w tym „luksusowym apartamencie” obozowemu koledze z żoną, bo ten nie miał się gdzie podziąć.

On sam, wracając w 1945 r. do ojczyzny, trafił najpierw na Śląsk, gdzie znalazła się jego siostra. Mieszkał trochę u niej, potem krótko pracował: na budowie, w tartaku i hucie szkła. Regenerował się fizycznie (przy 178 cm wzrostu nie ważył wtedy 50 kg), pilnie obserwował to, co się dzieje wokół niego, i... słuchał. To

z tamtych doświadczeń powstało, nigdy nieopublikowane i dopiero teraz włączone do biografii, opowiadanie „Uraz”. O tym, jak reagował na dźwięk mowy niemieckiej w ustach Polaka. Niemiec bowiem nieznający polskiego – trudno. Jednak Polak czy ktoś za Polaka się podający? „Niemiecka mowa – pisał – nie kojarzyła mi się z językiem filozofów i poetów, lecz z językiem sadystów i bandytów, którzy przez przeszło pięć lat mojego pobytu w obozie koncentracyjnym każdego dnia, każdej godziny zadawali cierpienia i śmierć”. A mowę tę, w regionie, w którym posługiwała się nią miejscowa ludność, słyszał często. Podchodził wtedy do takiej osoby, pytał, czy nie zna polskiego, a gdy spotykał się z gniewną odpowiedzią... bił. Wszystko jedno, mężczyznę czy kobietę. Wiedział, że tak nie wolno, że to nienormalne zachowanie, w końcu więc przysięgł sobie, że da spokój, a jednak „gdy ktoś popisuje się znajomością języka niemieckiego i zaczyna mnie to drażnić, powtarzam sobie w myśli pobożne słowa: »Boże, trzymaj mnie za ręce«”.

Z ŁOBUZERSKIM UŚMIECHEM

W 1959 r., po przezwyciężeniu kłopotów z cenzurą, ukazuje się „Boso, ale w ostrogach”. Książka sprzedawana jest spod lady, dziennikarze domagają

się natychmiastowego dodruku, ale 22 października na łamy „Trybuny Ludu” wylana zostaje łyżka dziegciu. Ściśle mówiąc, wylewa ją Janusz Wilhelmi, który – podpisując się literkami J.A.W. – w popularności Grzesiuka doszukuje się promocji chuligaństwa. „Jak doniosła prasa – raportuje – Stanisław Grzesiuk wystąpił niedawno na jednej z wielkich imprez »Expressu Wieczornego«. Eksploatując swoją kozaczą sławę, wzbudził produkcjami z apaszowskiego repertuaru entuzjazm zgromadzonych tłumów. Kiedy o tym przeczytałem, pomyślałem: przepadło. [...] I miałem rację. Książka Grzesiuka zniknęła nagle bez śladu. Wykupiono ją. [...] Teraz można już stwierdzić śmiało, że postąpiłicie naprzód w skutecznej propagandzie sztuki koszenia nożem, strzelania z pięści w zęby i zaprawiania bykiem w ryło”.

Grzesiuk jednak nie z tych, którzy by kładli uszy po sobie. Jest przekonany o swoich racjach, ma za sobą czytelników, a i nowo pozyskanych kolegów-pisarzy (Żukrowski!), oszołamiającą karierę robi na estradzie, poza tym jest partyjny i z „nową rzeczywistością” mu po drodze. Sądzi więc sążnistą odpowiedź, którą – nie tak znów wszechwładna, jak mogłoby się wydawać – „Trybuna” zmuszona jest opublikować. I choć gazeta broni swego autora, to starcie ze swoim krytykiem Grzesiuk jeśli nie wygrywa, to remisuje je. No, powiedzmy, że był to remis ze wskazaniem na świeżo upieczono pisarza.

Inna sprawa, że „Boso, ale w ostrogach” stanie się książką, jaką zaczytują się ci, którzy poza nią nie czytali niczego innego. Bartosz Janiszewski słusznie zwraca uwagę na jej popularność wśród gitowców w latach 70. Sam pamiętam, że warszawskiej Woli chłopaków, którzy według zacerpniętych od Grzesiuka wzorów godzinami trenowali uderzenie „ze łba”, by z czasem dojść w tym niemal do perfekcji.

A przy okazji drugiej książki Stanisława Grzesiuka i jej kłopotów cenzuralnych warto wspomnieć, że skutecznym łodołamaczem, który doprowadził do edycji złe widzianego tytułu, były siostry Woźnickie, bliźniaczki Zofia i Ludwika. Z racji koligacji z Wandą Wasilewską, i nie tylko, były osobami wpływowymi i choć wpływy

te znaczyły już mniej niż kiedyś, wciąż miały swoją wagę. Zawodowo bliźniaczki zajmowały się tłumaczeniami z literatury francuskiej i angielskiej, pisały też książki dla dzieci. Stanisława Grzesiuka, po prostu, lubiły – jak czytamy u Janiszewskiego – „za łobuzerski uśmiech i komplementy, które prawil”. A warto je wspo-

**Może nie cała Polska,
ale na pewno cała Warszawa
podśpiewywała apaszowskie
ballady Grzesiuka (najczęściej
były to piosenki anonimowe)**

mnieć i dlatego, że obie były serdecznymi przyjaciółkami Jadwigi Kaczyńskiej, toteż kiedy i ona w 1949 r. powiła bliźniaki (w książce jest podana błędna data urodzin), poprosiła siostry Woźnickie, by zostały matkami chrzestnymi chłopców: Lecha i Jarosława. Co dowodzi jedynie tego, że żyjemy w małym mieście.

CO SIĘ DZIEJE NA ULICY

Na przełomie lat 50. i 60. zeszłego wieku Stanisław Grzesiuk stał się człowiekiem szalenie popularnym za sprawą książek, ale przede wszystkim prezentowanych na estradzie piosenek. Płyt z ich nagraniami nie doczekał, ale został gwiazdą radiową. Telewizja wciąż jeszcze była w powijakach, a do tego miał w niej autor „Boso, ale w ostrogach” wejście smoka, na spotkanie z Ireną Dziedzic w „Tele Echu” przychodząc mocno niedysponowany.

Może nie cała Polska, ale na pewno cała Warszawa podśpiewywała apaszowskie ballady Grzesiuka

(najczęściej były to piosenki anonimowe, niekiedy nadsyłane do radia, na Myśliwiecką, przez słuchaczy). W ten sposób bard stolicy poznał teksty: „Świąt u Sztachetów”, „Rumu Helki”, „Antka”, „Wybiła godzina druga”. Uczył się ich, następnie brał w ręce swą budzącą przestraszyć wszystkich akustyków prymitywną, zrobioną z siedziska do krzesła bandzolę i tak rodziły się piosenki niewiele ustępujące popularnością evergreenom w rodzaju „Felka Zdankiewicza” i „Balu na Gnojnej”.

Jakby tego wszystkiego było mało, w 1961 r. został Grzesiuk radnym. Po co mu to było? O ile jego wcześniejszy akces do PZPR można od biedy tłumaczyć koniunkturalizmem, bo w końcu przez całe życie do pracy to on się nie garnął, o tyle obowiązki radnego zabierały mu sporo czasu, którego wiecznie mu brakowało, od kiedy zaczął wyjeżdżać na koncerty i spotkania autorskie. A jednak został kandydatem Frontu Jedności Narodu w wyborach do Rady Narodowej Warszawy. Jako „elektromechanik i autor dwóch znanych książek” w okręgu na Ochocie (dlaczego tam akurat, nie wiadomo) uzyskuje drugi wynik i zostaje przypisany do komisji kultury, przeciwko czemu zresztą bez skutku protestuje, bo – jak powiada – „na kulturze za bardzo się nie zna, widzi za to, co dzieje się na ulicy”.

PÓŁ ŻARTEM, PÓŁ SERIO

Jako radny szczególnie uaktywnił się w dyskusji na temat walki z alkoholizmem. Przemówienie, jakie z tej okazji przygotował, okazało się na tyle interesujące, że przekazano je partyjnym posłom do Sejmu. Tam, zapewne, wylądowało w koszu, bo też było iście rewolucyjne – autor postulował m.in. likwidację poradni przeciwalkoholowych i izb wytrzeźwień, za to poszerzenie sieci punktów sprzedaży alkoholu i niepodwyższanie cen wódki, bo to uderza nie w pijaka, ale w jego rodzinę. W opracowaniu tym zadeklarował się jako były nałogowy alkoholik, co miało się z prawdą, gdyż „byłych alkoholików” nie ma, lecz są jedynie niepijący, czego też o Grzesiuku nie dało się powiedzieć. Do wódki wracał nawet wtedy, gdy gruźlica bardzo już poważnie zagrażała jego życiu.

Pół żartem, pół serio zapewniał, że „wódka pomaga osuszyć płuca z płynu, który się w nich zbiera. Ta dość popularna wśród gruźlików teoria to oczywiście bzdura, chociaż tak jak w przypadku każdej legendy wielu chorych ma pod ręką tuzin historii, w których rzekomo spirtus pomógł komuś zwalczyć gruźlicę.

Mnie, Stanisława Grzesiuka, robaczek jakiś zje? Mnie? – powtarza siostrze, kiedy denerwuje się, że popija leki wódką przy stole. Nie chce żyć na pół gwizdka”.

Nie chciał tak żyć ani nie żył. Powstała zajmująca opowieść o tym krnąbrnym dziecku Warszawy. Sama w sobie będąca jeszcze jedną balladą – prawdziwą i piękną.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**BARTOSZ
JANISZEWSKI
„GRZESIUKE.
KRÓL ŻYCIA”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA,
WARSZAWA 2017**

Jak to jest być kosmitą?



Wojciech
Engelking

„Nowy początek” to najinteligentniejszy film, jaki zdarzył się w kinie science fiction od lat

W najbardziej mainstreamowym kinie science fiction ostatnich paru dekad biorących na warsztat sprawę kontaktu ludzi z pozaziemską cywilizacją mieliśmy w najlepszym wypadku obcych wyglądających jak zaprojektowane przez szwajcarskiego malarza Hansa Giger’a ksenomorfy z „Obcego” Ridleya Scotta – czyli postaci w rozmaitych wariantach średniowiecznych zbroi – albo owadopodobne stwory z „Czegoś” Johna Carpentera. W wypadku najgorszym zaś, czyli w wariacie familijnym, oglądaliśmy dobrotliwe, gąsienicowe E.T. z dzieła Spielberga. Obcy pozostawał człowiekiem, myślącym w tych samych kategoriach co widz.

„Nowy początek” – ekranizacja opowiadania „Historia twojego życia” Teda Chianga, jednego z najlepszych amerykańskich pisarzy science fiction, autorstwa twórcy „Sicario”



Do tej pory w kinie obcych przedstawiano jako istoty rozumujące na sposób ludzki. „Nowy początek” pokazuje coś innego

FOT. MAT. PRASOWE (3)

Denisa Villeneuve’a – faktycznie jest nowym początkiem, bo ten schemat przełamuje.

GRANICE ŚWIATA I GRANICE JĘZYKA

W 12 miejscach na Ziemi lądują dziwne obiekty. Niby są nazywane statkami, ale z latającymi spodkami czy Sokołem Millennium z „Gwiezdnych wojen” nie mają wiele wspólnego. Wyglądają jak wielkie, przepołowione menhiry ze starannie wypolerowanego kamienia. Oczywiście każdy otacza wojsko danego kraju, do gry wkraczają komandosi, którym udaje się do statków dostać – a właściwie nie do statków, ale do ich przedsionka. W tym jest zaś olbrzymia, gruba szyba, za którą można zobaczyć obcych – po trosze lewitujące ośmiornice,

po trosze najbardziej potworne wizje z obrazów Zdzisława Beksińskiego. Obcy komandosów nie atakują, nie wykonują też w ich stronę przyjaznych gestów. Rodzi się więc pytanie: Po co przybyli na Ziemię?

Aby na nie odpowiedzieć, amerykański rząd zatrudnia Louise Banks, doktor językoznawstwa z uniwersytetu w Berkeley. Grana przez Amy Adams (kolejna jej świetna tegoroczna rola po „Zwierzętach nocy” Toma Forda) uczona, znana z tego, że potrafi w ekspresowym tempie nauczyć się każdego języka, ma opracować sposób kontaktowania się z kosmitami. W zadaniu tym pomaga jej fizyk Ian Donnelly (znany z „Avengersów” Jeremy Renner), który z kolei bada panującą w przedsionku atmosferę

– oczywiście jest ona zupełnie inna niż ziemska. Początkowe próby dr Banks spaliły na panewce: obcy, jak się okazuje, potrafią ewokować dźwięki, te jednak bardziej od ludzkiego przypominają język delfinów i nie sposób zrozumieć, co chcą ludziom przekazać. Grana przez Adams bohaterka staje w obliczu dylematu, który dawno temu zarysował Wittgenstein: granice jej języka nie są granicami jej świata (wszak oprócz angielskiego płynnie posługuje się perskim i kilkunastoma innymi), ale granice jej świata są granicami jej języka. Heptapody – bo tak ludzie nazywają nowo przybyłych – nie używają słów, a przynajmniej nie w mowie. Ratunkiem wydaje się pismo. Tutaj jednak dr Banks wkracza w kolejne ograniczenie

ziemskich języków: Dlaczego niby kosmici mieliby budować zdania z czasownikami, rzeczownikami i przmiotnikami? Dlaczego w ogóle mieliby budować zdania?

BĄDŹ CZUJNY, OBSERWUJ, ANALIZUJ

– Światu brakuje lidera – obawia się w pewnym momencie dr Banks. Im dłużej przybyłe z kosmosu statki są na Ziemi, tym więcej niepokoju wzbudzają; do Internetu wypływają zdjęcia heptapodów, a Rosja i Chiny nic sobie nie robią z ONZ-owskich wezwań do zachowania spokoju i obwieszcza, że niedługo zaczną je ostrzeliwać. Wątek polityczny w „Nowym początku” byłby naiwny i jednowymiarowy – wszyscy się siękają, a ci, którzy mają dostęp do broni atomowej, grożą naciśnięciem guzika – gdyby nie ukryty sens, który w multipleksowym filmie Denisowi Villeneuve’owi udało się przemycić. Świat w „Nowym początku” pogrąży się w militarnie podbudowanym chaosie właśnie z racji języka, którego używają ludzie: to język – chiński, angielski, rosyjski – sprawia, że ludzie patrzą na kosmitów jak na zagrożenie.

Laureat Oscara za „Pogorzelsko” wykorzystuje tu wymienioną w filmie explicite hipotezę, którą w latach 20. postawiło dwóch amerykańskich językoznawców – Edward Sapir i Benjamin Whorf – badających narzecze indiańskiego plemienia Hopi. Spostrzegli oni, że w tymże nie ma słów, które by ujmowały czas i przestrzeń. Czasownikami dla Indian były z kolei takie zjawiska, które w innych językach traktuje się jak rzeczowniki, a które trwają bardzo krótko (np. fala, płomień).

Hipoteza Sapira-Whorfa głosi, że używany język wpływa na sposób, w jaki używający go konceptualizuje sobie rzeczywistość: rzeczywistość jest tożsamość zapośredniczona w języku. Podobnie zapośredniczona jest intryga „Nowego początku” – opowiedziana w języku ziemskim, ale, by nie zdradzać za wiele, niemożliwa do rozwikłania w narzuconych przez jego konstrukcję ograniczeniach.

Największymi mankamentami „Nowego początku” były hollywoodzkie rozmach produkcji, niepasujący do kameralnego opowiadania Teda Chianga, w którym narracja od pierwszych zdań poprowadzona jest w formie listu dr Banks do jej nienarodzonej córki, i lekko spłaszczający koncept amerykańskiego pisarza (na fali filmu zresztą wydany dekadę temu zbiór nowel Chianga został w Polsce wznowiony). Jednak trudno mieć pretensję, że Hollywood zaproponowało taki film dla widza przyzwyczajonego do obcych, którzy rozumują i czasem nawet wyglądają jak ludzie. Pytanie, jak długo będziemy musieli czekać na film o takich kosmitach, jakich dawno temu

opisał w „Czarnych oceanach” Jacek Dukaj: „Być może przeważa sposób, w jaki twój sąsiad podlewa kwiatki, słowa dziecięcej rymowanki. Chłoń każdy szczegół, każdemu szczegółowi przypisz rolę: to jest miecz, a to jest rozżarzone żelazo. Czy te ciastka ci smakują? Czy podoba ci się zapach tych perfum? Czy ekscytuje cię ta wirtualna gra? Czy ich marzenia są twoimi marzeniami? A sny? A lęki? Bądź czujny; nie lekceważ; obserwuj; analizuj. Może to tobie pierwszemu dane będzie spotkać Obcych”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



REŻ. DENIS VILLENEUVE
„NOWY POCZĄTEK”
PREMIERA DVD,
MARZEC 2017

marzenia są twoimi marzeniami? A sny? A lęki? Bądź czujny; nie lekceważ; obserwuj; analizuj. Może to tobie pierwszemu dane będzie spotkać Obcych”.

Duch zwycięzców

Johnny Cash powiedział podobno, że „Personal Jesus” to jedna z najpiękniejszych modlitw, jakie zaśpiewał w swojej karierze. Najpiękniejsza? Modlitwa? Bez przesady! Przecież to cover Depeche Mode!

Uroczyste oświadczam: nie należę do tych, którzy uważają, że ostatnią dobrą płytą zespołu z Basildon jest „Ultra”. Przez ostatnie 20 lat muzycy nagrywali raz lepsze, raz gorsze albumy, ale wciąż były one na osiągalnym dla niewielu, wysokim poziomie. Depeche Mode pozostaje najważniejszym zespołem starej dekadencjowej gwardii: z nikogo nie zrzuca się tak ochoczo, nikt nie jest tak wyrazistą ikoną alternatywnego popu ósmej dekady XX w., a na płytę żadnego artysty tamtych czasów nie czeka się z takim nabożeństwem.

Jaka muzykę przynosi nowy album Beatlesów electropopu?

Mało komercyjną. Oprócz świetnego „Where’s the Revolution” na singiel nadaje się jeszcze „So Much Love”, swoją drogą jedyny szybszy utwór w całym zestawie. Od dłuższego czasu Gahan, Gore i Fletcher wolą stawiać na nieoczywiste melodie i kunsztowne aranżacje. Uwagę przykuwają przede wszystkim kompozycje utkane z poddanych twórczej autorefleksji wątków własnej twórczości.

„Cover Me” to jeden z tych kawałków DM, które pozostają w pamięci na długo. Spotykają się w nim „Death’s Door” z Angelo Badalamentim i Soulsavers. „Scum” porywa z kolei umiejętnym połączeniem połamanych brzmień elektronicz-



nych z dźwiękowym brudem „Barrel of a Gun”. Wciąż dużą rolę odgrywają rasowe electrobluesy („You Move”, „Poison Heart”, „Poorman”), najobficiej reprezentowane na omawianej przeze mnie cztery lata temu na tych łamach płycie „Delta Machine”.

Większość recenzentów podnieca się politycznym wydźwiękiem „Spirit”. Owszem, pojawiają się tu aluzje do współczesnych spraw politycznych, ale bez przesady. Depeche Mode zapisał się w historii popu nie walką z systemem, ale nowatorską muzyką z niebanalnymi tekstami, zwykle na temat miłości i religii. Możliwe, że za kilka lat jakiś kolejny Cash zrobi cover, tym razem utworu ze „Spirit”, wyciągając go z bieżącego kontekstu. W końcu „Personal Jesus” też był gorzką refleksją o społecznym fenomenie muzycznych idoli, a także szyderstwem z „telewizyjnych kaznodziejów”, a do historii przejdzie... jako modlitwa. ©©

Marek Horodniczy



★★★★★
DEPECHE MODE
„SPIRIT”
SONY MUSIC 2017



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMNIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

A ty masz jakieś marzenia?



★★★★★

**REŻ. ANDREA
ARNOLD**
**„AMERICAN
HONEY”**
**USA/WIELKA
BRYTANIA 2016**

wyst. Sasha Lane,
Shia LaBeouf, Riley
Keough, McCaul
Lombardi

Kino drogi w offowym wydaniu. Kogo nie zniechęci pierwsza scena: grzebanie w śmietniku w poszukiwaniu czegoś na ząb, może się w „American Honey” rozsmakować. Czasu będzie miał aż nadto – film trwa niemal trzy godziny. Fabuła jest prosta jak autostrada do Gdańska. Zbieranina freaków przemierza USA białym vanem. W Oklahomie dołącza do nich 18-letnia Star, która nie ma nic do stracenia, a poza tym młodość musi się wyszumieć.

Towarzystwo zwiedza kraj (głównie obskurne motele i parkingi), świetnie się przy tym bawiąc. Star czuje miętkę do wygadanego Jake’a oraz niechęć do Krystal, mendedzkerki całej ekipy. Jeśli bowiem jest show, to musi być i biznes. W tym konkretnym przypadku polegający na wciskaniu Bogu du-

cha winnym ludziom prenumeraty kolorowych magazynów. W dobie Internetu misja iście straceńcza. Na domiar złego Krystal trzyma akwizytorów na krótkiej smyczy, a najmniej zaradnych publicznie upokarza (ciekawostka: tę zimną sukę gra wnuczka Presleya).

Niewątpliwie mamy tu do czynienia z apologią życia w komunie, która – w odróżnieniu od tej XX-wiecznej – jest całkowicie pozbawiona ideologicznej otoczki. Jesteś fanem Dartha Vadera, eks-hibicjonistą, kochasz rap, country albo garażowego rocka – w wesołym minibusie znajdzie się dla ciebie jakieś miejsce. Musisz tylko być młody, bo zgred, który pije, ćpa, kradnie i sypia z kim popadnie, to postać z zupełnie innej bajki. Trzeba przyznać, że na tle watahy domokrażców-imprezowiczów

Star świeci przykładem. Pochodzi z patologicznej rodziny, lecz brzydzi się kłamstwem, kocha zwierzęta, a ludziom jest generalnie życzliwa. Marzenia ma niewygórowane: chciałaby mieć własną przyczepę, sensownego faceta i gromadkę dzieci. I chyba już taka zostanie.

Film nie odkrywa Ameryki, lecz przyznaje, że mam słabość do takich słodko-gorzkich, zmierzających donikąd opowieści. Opłaciło się ryzyko obsadzenia w kluczowej roli debutantki, mało opatrzeni aktorzy dodają intrydze świeżości. Nawet Shia LaBeouf jest mniej manieryczny niż zwykle. Momentami „American Honey” przyjemniej się słucha, niż ogląda. Upchnięto tu aż 27 piosenek, przeważnie ze szczytów list przebojów. Utwory Rihanny, Bruce’a Springsteena, Dead Kennedys i innych komentują fabułę w sposób nad wyraz bezpośredni. „W pułapce życia tkwię” – śpiewają pasażerowie vana, gdyż nie posiadli jeszcze umiejętności wyrażania bardziej skomplikowanych emocji własnymi słowami. Trochę zabawne, że film, z którym – sądząc po internetowych komentarzach – identyfikuje się wielu młodych Amerykanów, wymyśliła i wyreżyserowała Angielka, która mogłaby być ich mamusią. ©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „GHOST IN THE SHELL”

Dwadzieścia dwa lata po premierze znakomitego filmu anime Mamoru Oshii przyszedł czas na jego wersję aktorską Ruperta Sandersa („Królowa Śnieżka i Łowca”). Udało mu się zgromadzić na planie znakomitą obsadę – oprócz Scarlett Johansson w roli głównej także m.in. Juliette Binoche i Takeshi Kitano. Akcja rozgrywa się

w techniczowanej przyszłości, a bohaterka to pierwszy stróż prawa nowej generacji – połączenie człowieka i maszyny. „Ghost in the Shell” był jednym z czarnych dzieł kinowego cyberpunku. © **Piotr Gociek**
• „Ghost in the Shell”, reż. Rupert Sanders, wyst. Scarlett Johansson, Michael Wincott, USA 2017

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Dalida. Skazana na miłość” („Dalida”), reż. Lisa Azuelos, Francja 2016
- „American Honey”, reż. Andrea Arnold, USA/Wielka Brytania 2016 (recenzja powyżej)

Nowe szaty Disneya

W górę serca, sentymentalni! Operacja odmładzająca „baśń starą jak świat” prawie się udała. Pacjent odzyskał wigor i nieco wdzięku. Teraz już wszyscy uwierzą, że historyjkę o dziewczynce więzionej przez brzydka wymyślono w Hollywood, a nie w XVIII-wiecznej Francji. Konkluzja pozostała bez zmian – nie sądzę towaru po opakowaniu. Postępowi krytycy sarkają, że Condon okazał się adaptatorem konserwatywnym do szpiku kości. Są źli, bo dali się nabrać. Myśleli, że obsadzając w głównej roli wojującą feministkę wytwórnia Disneya dokonała coming outu. Głośno też było o scenie z udziałem dwóch mających się ku sobie panów. Scena

faktycznie istnieje, trwa kilka sekund i łatwo ją przegapić, sięgając do kubeczka z popcornem. Małolaty tych niuansów z pewnością nie wyłapią, większość starszaków również.



★★★★★
REŻ. BILL CONDON
„PIĘKNA I BESTIA”
 („BEAUTY & THE BEAST”)
USA 2017

wyst. Emma Watson, Dan Stevens, Luke Evans, Kevin Kline

No cóż, tylko kretyn zgwałciłby konwencje kina familijnego, kręcąc film, w który zainwestowano 160 mln dol. Bill Condon swój rozum ma, więc środki włożone w produkcję udało się odzyskać już trzeciego dnia po premierze. Jeżeli czegoś można się czepiać w nowej wersji „Pięknej i Bestii”, to ról tytułowych. Emma Watson jest po prostu drewniana. Może lepiej wypadła by Kristen Stewart? Wszak grała już Bellę w „Zmierzchu”. ©©

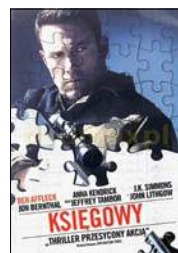
Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NIE TAKI ZIMNY DRAŃ

„Księgowy” rozpada się na dwie nierówne części – pierwsza jest bardzo intrygująca, druga serwuje widzowi taką masę niedorzeczności, że powinien wyjść z kina. O dziwo jednak nie wychodzi, bo rzecz jest opowiedziana w sposób mocno przykuwający uwagę. Oto genialny księgowy pracujący głównie dla klientów z półświatka otrzymuje zlecenie od legalnej dużej firmy, z której wyciekają pieniądze. Dziwnym trafem wkrótce zaczynają go tropić płatni zabójcy. Jednocześnie jego śladem podążają funkcjonariusze Departamentu Skarbu – może więc to mafia chce zabić księgowego, by w razie czego się nie wygadał? Ben Affleck w roli autystycznego matematyka wypadnie nieźle, widzę zaś zachodzi w głowę – jak to się stało, że ten jajogłowy potrafi także bić się niczym elitarny komandos? Film wskrzesza ducha thrillerów spiskowych z lat 70., ma też w sobie nieco z powieści Roberta Ludluma. Błaha rozrywka, ale nakręcona ze sporą elegancją.



wyst. Ben Affleck, Anna Kendrick, J.K. Simmons

★★★★★
REŻ. GAVIN O'CONNOR
„KSIĘGOWY”
 („THE ACCOUNTANT”)
USA 2016,
GALAPAGOS

POWTÓRKA Z ROZRYWKI

Kolejny serial inspirowany komiksami Marvela, kolejny w ofercie serwisu Netflix. Bohaterowie wszystkich (Jessica Jones, Luke Cage, Daredevil oraz Iron Fist) mają wkrótce wystąpić razem w innej produkcji, serialu „The Defenders”. „Iron Fist” rozczarowuje na niemal wszystkich poziomach. Po pierwsze, brak mu oryginalności. Główny bohater, dziedzic nowojorskiej fortuny, znika za młodu wraz z rodzicami (wypadek samolotowy). Cudem ocalały, wychowany przez mnichów z innego planu rzeczywistości powraca po 15 latach do domu, by odkryć, że nikt tu na niego nie czeka. Zwany jest Żelazną Pięścią, bo potrafi całą swą energię skupić w jednej pięści i wtedy nikt mu nie podskoczy. Akcja jest rozlazła, dałoby się ją skonsolidować w trzygodzinnej opowieści. Radzę omijać. ©©



wyst. Finn Jones, Jessica Henwick, Jessica Stroup

★★★★★
SERIA 1
„IRON FIST”
USA 2017,
NETFLIX

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „HOLY POTATOES! WE'RE IN SPACE?”

Ziemniaki przemierzające kosmos w statku, który walczy z przeciwnikami latającymi na łajbach wyglądających jak mechaniczne marchewki albo brokuły? Brzmi jak idealny scenariusz na grę indie i tak się właśnie rzeczy mają. „Holy Potatoes!” to świetna odskocznia od masy nadeptanych

i kuszących jedynie grafiką produkcji AAA. Tutaj ważne są: klimat, poczucie humoru, odrobina planowania i kosmiczna przygoda, w którą ruszamy ze stale kłócącymi się przyjaciółkami – Cassie i Fay. W miarę postępów rozbudowujemy nasz statek i arsenał, odpowiednio zarządzając załogą.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
Minus? Turowe walki po czasie wydają się nużące. ©© Marcin Makowski

- Gatunek: Przygodowa
- Platforma: PC
- Producent, dystrybutor: Daylight Studios/Techland
- Klasyfikacja PEGI: 12+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wilcze wiersze

Niewiele utworów zawiera wydana właśnie przez Ministerstwo Obrony Narodowej antologia wierszy o żołnierzach wyklętych. Mniej niż 30, w tym całkiem sporo powstałych ledwie wczoraj, będących poetycką refleksją po ujawnianych faktach, próbą zmierzenia się z tematem wyjątkowo bolesnym. Mówią o tym wprost wiersz białostockiego autora, Jana Leończuka, o tym, jak problematyka żołnierzy wyklętych przebija się do naszej świadomości, i „Powrót” Przemysława Dakowicza, dedykowany prof. Krzysztofowi Szwaagrzykowi oraz jego zespołowi, których ekshumacje na powązkowskiej „Łączce” przywracają nam naszych bohaterów – jakkolwiek by to dziwnie zabrzmiało – także fizycznie.

Musiały się w takiej książce znaleźć dwa słynne wiersze: „Na rozwiązanie Armii Krajowej” Kazimierza Wierzyńskiego i „Wilki” Zbigniewa Herberta. Przypomnę fragment tego drugiego:

*nie oplakała ich Elektra
nie pogrzebała Antygona
i będą tak przez całą wieczność
w głębokim śniegu wiecznie konać*

*przegrali dom swój w białym borze
kiedy zawiewa sypek śnieg
nie nam żałować – gryzieliórkom –
i gładzić ich zmierzwiłą sierść*

*ponieważ żyli prawem wilka
historia o nich głucho milczy
został na zawsze w dobrym śniegu
żółtawy mocz i ten trop wilczy.*

Wiersz pochodzi z tomu „Rovigo” z roku 1992 i to m.in. dzięki niemu historia przestała nareszcie milczeć o żołnierzach WiN, NSZ, Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, Ruchu Oporu Armii Krajowej. O Wojsku Polskim, bo rację miał przywoływany we wstępie do antologii przez jej twórcę, Mariu-



FOT. IPN

sza Soleckiego, sławny mjr „Zapora”, Hieronim Dekutowski, który na propozycję ze strony komunistycznej tzw. amnestii odpowiedział: „Amnestia to jest dla złodziei, a my jesteśmy Wojsko Polskie”.

W antologii znajduje się też wiersz wyjątkowy: „Polscy bandyci”, wydrukowany anonimowo w podziemnym piśmie „Szydło”, w pierwszym numerze z 1946 r. Opowiada o tym, jak polscy patrioci nazywani byli „miateżnikami” w czasach carskich, „reakcyjnymi bandytami” pod okupacją sowiecką, a „przeklętymi bandytami” przez hitlerowców. Dalej czytamy:

*Teraz, gdy w gruzach Germania legła,
jest Polska „Wolna i Niepodległa”,
jest wielka. Młoda, swobodna, śliczna
I nawet mówią: „demokratyczna”*

*Cóż z tego, kiedy kto Polskę kocha,
W kim pozostało sumienia trochę,
Komu nie miłe sowieckie myto,
jeszcze raz został „polskim bandytą”*

*I znowu polskości tłumią zapąły
Tortury UB, lochy, podwały.
O Boże, chciałbym zapytać Ciebie,
jakich Polaków najwięcej w niebie?*

(głos z góry)

*Płaszczem mej chwały, blaskiem okryci
Są tutaj wszyscy „polscy bandyci”*

W „Płaszczu chwały” są też wiersze Wojciecha Wencla, Aleksandra Rybczyńskiego, ks. Jerzego Szymika, Leszka Elektorowicza, Bogdana Urbankowskiego. „Wraz z wierszem Ireny Tomalakowej – pisze Solecki – otwierają się przed czytelnikiem bramy ubeckich więzień, znanych autorce z autopsji. Reprezentowany po niej w antologii Tadeusz Chrzanowski opisuje fatalny stan psychiczny akowców wypuszczonych z zakładów karnych PRL-u na fali tzw. odwilży (lata 1956–1957): »Po dziesięciu latach jeszcze noszą chlebak, / mówią – to jest tylko pamięć, mówią – trzeba«. Nie wszystkim była dana ta łaska. Zakatowani przez ubowców, zamordowani strzałem w potylicę, ciśnięci w doły pogardy też mają swoich poetów: Barbarę Jęczową, Tadeusza Porayskiego, Tadeusza Płuzańskiego”.

Ta skromna książeczka mogłaby mieć swoją przeciwwagę, na pewno bardziej okazałą. Byłaby nią „Księga hańby”, gdyby ktoś zechciał wznowić wiersze polskich, a może tylko polskojęzycznych poetów, przedstawiających fałszywy, negatywny obraz partyzantów powojennej konspiracji. To w żołnierzy wyklętych strzelali ze swoich piór i z maszyn do pisania – wymienieni we wstępie do publikacji MON – Jan Brzechwa, Mieczysław Jastrun, Władysław Broniewski, Konstanty Ildefons Gałczyński, Wisława Szymborska. Tam też znajdzie czytelnik stosowne cytaty, choćby taki jak ten: „Jeszcze po lasach kluczą faszysty, / ręce ich kainowe”. To akurat Broniewski. U Szymborskiej o wyklętych opowiadał dzieciom polskim żołnierz sowiecki: „Jest jeszcze wróg, co ojców karki gład, / młodość i starość im odbiera. / Za młodość i za starość ich / odpowie on przed wami teraz”. A za takie wiersze, jeżeli w ogóle można je tak nazwać, nie odpowiedział nigdy nikt. ©©



★★★★★

„PŁASZCZ
CHWAŁY.
ANTOLOGIA
WIERSZY
O ŻOŁNIERZACH
WYKLĘTYCH”
MINISTERSTWO
OBRONY
NARODOWEJ,
WARSZAWA 2017



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Biały dym nad Watykanem

Ojciec Święty umiera – do Watykanu zjeżdżają kardynałowie z całego świata, by wziąć udział w konklawe. Przygotowania nadzoruje główny bohater powieści, kard. Jacopo Lomeli. Hierarchowie są mocno podzieleni – poprzedni pontyfikat nie przypadł do gustu ani konserwatystom, ani liberałom, o poprzednim papieżu dowiadujemy się m.in., że im bardziej kochany i podziwiany był w dalekim świecie, tym większą niechęć budził za murami Watykanu. Postać zmarłego skrojona jest tak, że trochę przypomina papieża Franciszka (szczególnie jeśli chodzi o demonstracyjną wręcz niechęć do dóbr doczesnych), ale nie jest to jedyny trop. Jak to w fikcji literackiej: bierze się trochę stąd, trochę skądinąd.

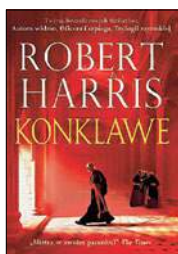
Zmarły Ojciec Święty jest fikcyjny, ale konflikty prawdziwe. Stu osiemnastu kardynałów nie tylko prezentuje różne kontynenty i rozmaite grupy językowe, lecz także są oni mocno podzieleni w opiniach na temat drogi, jaką powinien obrać Kościół. Pierwsze głosowanie podczas konklawe oddaje te podziały – podobną liczbę głosów zdobywają konserwatysta Tedesco, radykalny i czarnoskóry Adeyemi, uznawany za rozsądnego liberała Bellini oraz kandydat – zdawałoby się – bez właściwości, Tremblay. Niewielką

sensację wzbudza to, że w ostatniej chwili do elektorów w Kaplicy Sykstyńskiej dołączył Filipińczyk Benitez – zmarły papież wskazał go in pectore, nie ujawniając decyzji ze względu na skomplikowaną sytuację polityczną. Benitez jest bowiem biskupem Bagdadu.

Robert Harris, twórca „Vaterlandu” i „Autora widma”, napisał powieść skonstruowaną niczym thriller prawniczy Johna Grishama. W trakcie konklawe wychodzą na jaw fakty stawiające w niekorzystnym świetle niektórych głównych aktorów wydarzeń. Czy to intrygi ich przeciwników, czy może prawdziwe skandale, trudno dociec, szczególnie w sytuacji, gdy czas nagli – miliony wiernych czekają na nowego papieża. Kardynał Lomeli rozważa kolejne poszlaki, dowody i musi samodzielnie decydować, co ujawni, a co przemilczy. Czy to jego misję podwójnie trudną, bo jednocześnie sam zмага się z kryzysem wiary.

Zręcznie napisana książka trzyma w napięciu do końca, choć w finale pobrzmiwają

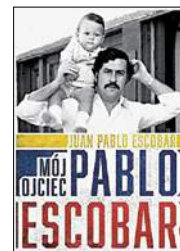
w niej fałszywe tony, kiedy portret konserwatysty Tedesco staje się karykaturalny. Fabułę zamyka zwrot akcji, którego śmiałość osłabia moim zdaniem wymowę niegłupiej całości. No i szkoda, że jedynie, czym wyróżnia się polski kard. Woźniak, to skłonność do kieliszka. ©



★★★★★
ROBERT HARRIS
„KONKLAVE”
ALBATROS 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Potwory też mają rodziny, zbrodniarze też kochają dzieci. Syn barona narkotykowego opowiada swoją historię. Kontrowersyjna, ale wciągająca książka, opatrzona niezwykle ciekawym materiałem fotograficznym.



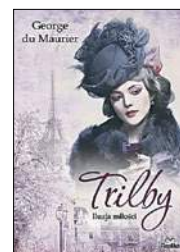
JUAN PABLO ESCOBAR
„MÓJ OJIEC PABLO ESCOBAR”
ZYSK I S-KA

Byli AK-owcy zwerbowani przez Sowietów, dawni agenci niemieccy, którzy zmienili pana, wreszcie zwykli łajdacy żądni kariery u boku władców tzw. Polski Ludowej – czyli kto i jak infiltrował antykomunistyczne podziemie.



SZYMON NOWAK
„ZDRAJCY WYKŁĘTYCH”
FRONDA

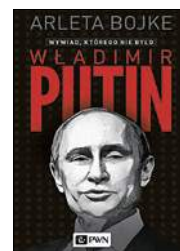
Zapomniana klasyka – „Trilby” to powieść, która była bestsellerem swoich czasów (koniec XIX w.). Paryska bohema widziana okiem pięknej emigrantki z Anglii, na którą z kolei parol zagiął Svengali, manipulator i hipnotyzer.



GEORGE DU MAURIER
„TRILBY. ILUZJA MIŁOŚCI”
REPLIKA

Podtytuł: „Wywiad, którego nie było”. Opowieść o tym, jak zmienił Rosję przywódca, który odpowiada za wymazanie z historii Czeczenii, inwazję na Ukrainę i powrót imperialnego szowinizmu, i jak został za to pokochany.

© poleca Piotr Gociek



ARLETA BOJKE
„WŁADIMIR PUTIN”
PWN

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Michalina Wisłocka „Sztuka kochania” (Agora)** – najsłynniejszy polski poradnik seksualny wraca na półki za sprawą filmu o autorce.
2. **Harlan Coben „Już mnie nie oszukasz” (Albatros)** – nowa powieść znanego autora thrillerów – weteranka z Iraku i tajemnica zabójstwa jej męża.
3. **Bruce W. Cameron „Był sobie pies” (Wydawnictwo Kobiectwo)** – kolejny bestseller dzięki ekranizacji. Sympatyczny kundel, mały Ethan i wiele niespodzianek.
4. **Peter Wohlleben „Sekretne życie drzew” (Otwarte)** – dobra lekcja, jak krzewić wiedzę, czyli Wohlleben robi dla lasu to, co Jürgen Thorwald zrobił dla chirurgów.
5. **Lina Nerthby Aurell, Mia Clase „Food Pharmacy” (Otwarte)** – od bloga o diecie przeciwzapalnej do książki, która stała się już bestsellerem w USA i Szwecji.

(Najchętniej kupowane książki w salonach Empik od 20.02 do 5.03.2017 r.)



KONTRA/BASEM

Tragikomedia w operze

Ostatnie lata Warszawskiej Opery Kameralnej to gotowy scenariusz serialu, w którym mieszają się wątki tragikomiczne z groteską i kryminałem.

Placówka od lat przeżywa kryzys. Słyszymy o dramacie muzyków, o pustej kasie, o długach, ale też o wyjątkowych walorach cennej instytucji. Konflikt wszedł w nową fazę z chwilą objęcia opery przez dyrektora Alicję Węgorzewską, a w nakręcanie go ochoczo włączyli się media. Dramat polega na tym, że uzdrowienie sytuacji musi się wiązać ze zwolnieniami artystów. Warszawska Opera Kameralna przez lata stała się instytucją na poły socjalną, w której bardziej dbano o sprawy bytowe zespołu niż o poziom artystyczny. Poprzednie



Alicja Węgorzewska

FOT. WWW.ALIJAWEGORZEWSKA.COM

władze, przy udziale związków, doprowadziły do kuriozalnego przerosu zatrudnienia. Dyrygentów jest więcej niż w Operze Narodowej (wraz z asystentami), etatów orkiestrowych dwukrotnie więcej, niż mieści się w orkiestronie. Z 55 etatów solistów dobry poziom reprezentuje kilkanaście osób, ale właśnie najlepsi są niedostępni, bo śpiewają w innych operach na stawkach wolnorynkowych, uczą w akademiach, grają w innych orkiestrach. Zaplanowanie repertuaru czy nawet prób graniczy z cudem, ponieważ trudno pozyskać wszystkich potrzebnych artystów w jednym terminie.

Obrońcy status quo są dumni, że zespół ma w repertuarze wszystkie opery Mozarta, ale poziom wykonania i stan dekoracji niektórych

przedstawień sprawiają, że nikt przy zdrowych zmysłach nie odważy się wstawić spektaklu na afisz. W porównaniu z innymi operami, przy tak ogromnym zatrudnieniu, WOK gra trzykrotnie mniej przedstawień, i to w sali tylko na 159 miejsc. Wątkiem kryminalnym hipotetycznego serialu może być analiza dokonania poprzedniego dyrektora, który w dwa sezony zwiększył dług placówki z 1,5 do 3,5 mln zł, komediowym zaś jego dzisiejsza aktywność w mediach. Natomiast groteską jest nagonka „Wyborczej” i „Polityki” na dyrektora Węgorzewską (mianowaną przez marszałka z PSL), nazwaną pravicową publicystką. Jej projekt przywrócenia elementarnych standardów jest zaś określany jako niszczenie opery. ©©



GRZEGORZ BRZOWICZ

NA SŁUCH

Z Krakowa dookoła świata

Trio Kroke, którego nazwa w języku jidysz oznacza Kraków, świętując 25-lecie istnienia, wydało 11. album studyjny. Sporą część historii grupy zajęły podróże po świecie i o tym opowiada „Traveller”.

Tomasz Kukurba, Jerzy Bawół i Tomasz Lato początkowo byli kojarzeni z muzyką klezmerską. Szybko wzbogacili ją o brzmienia Bałkanów, Orientu i Ameryki Południowej. Teraz grupa, znana ze współpracy z Nigelem Kennedym, Anną Marią Jopek, Peterem Gabrielem i Stevenem Spielbergiem, przedstawia świat w pigułce.

Jedenaście utworów, głównie instrumentalnych, nie przenosi nas jednak z jednego punktu globu do drugiego. Dzisiejszy world music przypomina kocioł, w którym mie-

szają się melodie, brzmienia, rytmy i skale występujące w najbardziej odległych od siebie rejonach muzyki etnicznej. Krakowianie przetworzyli te inspiracje przez autorską wyobraźnię i improwizację.

Otwierający album „Lone Traveller” przywołuje klimatem temat Gato Barbieriego z filmu „Ostatnie tango w Paryżu”. Jeszcze w jego trakcie wsiadamy do pędzącego pociągu, który co i raz zmienia kierunek podróży. Jest to bowiem płyta oparta na emocjach i wspomnieniach. Czuć w niej zapachy, smaki, chłód i upał, radość i smutek.

Nie trzeba być znawcą muzyki etnicznej, by zakochać się w „Travellerze”. Nawet dla nieobycyego w tych dźwiękach słuchacza płyta może stać się inspiracją do codziennych zajęć. ©©



★★★★★
KROKE
„TRAVELLER”
UNIVERSAL MUSIC
POLSKA



★★★★★

TOM JONES
„NA SZCZYT
I Z POWROTEM”
SINE QUA NON

Autobiografia gwiazdora w Polsce raczej mało znaczą-

cego. Jednak jego opowieści o życiu walijskiej prowincji, swingującym Londynie, amerykańskim blichtrze, Beatlesach, Presleyu, wżlocie i upadku nie pozwalają oderwać się od książki. ©©



★★★★★

POLISH JAZZ
QUARTET
„MEETS STUDIO M-2”
GAD

W 1964 r. powstało przy Polskim Radiu Studio M-2 dające jazzmanom możliwości nagrywania w najbardziej wymyślnych składach. PJQ Jana „Ptaszyna” Wróblewskiego zarejestrował 12 nagrań, które teraz odkurzone z archiwów. ©©



Ostatnie pożegnanie „Gryfa”.

Pracownicy PWPW S.A. oddali hołd bohaterowi walk o Redutę PWPW

10 marca na cmentarzu Bródnowskim w Warszawie odbył się uroczysty pogrzeb śp. Jerzego Kucharskiego, żołnierza Armii Krajowej, walczącego w czasie Powstania Warszawskiego w szeregach grupy PWB/17/S, która wstąpiła się bohaterską obroną Reduty PWPW. W ostatniej drodze towarzyszyli „Gryfowi” pracownicy Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych S.A., na czele z Prezesem Zarządu Piotrem Wojciechowskim, którzy uznali swoją obecność na uroczystościach pogrzebowych za naturalny wyraz pamięci o bohaterstwie Pana Kucharskiego.

Obecny Zarząd PWPW S.A., a także Rada Nadzorcza i pracownicy nie ustają w staraniach godnego upamiętniania i przywoływania jako wzoru postawy żołnierzy, którzy w sierpniu 1944 r. stanęli do nierównej walki z wrogiem, biorąc udział w zdobywaniu Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, a potem w walkach w obronie Reduty PWPW. Uznają to za swoiste spłacanie długu, jaki Polska Wytwórnia

Papierów Wartościowych zaciągnęła wobec bohaterów.

– Pana Jerzego poznaliśmy wiele lat temu na jednej z uroczystości rocznicy zdobycia gmachu PWPW przez powstańców podczas Powstania Warszawskiego. Zawsze uśmiechnięty, życzliwy i ujmująco uprzejmy. Chętnie opowiadał o swoich przeżyciach. Jego relacje z Powstania Warszawskiego często publikowane były w „Życiu Wytwórni”. Wystąpił kilkakrotnie w filmach dokumentalnych opowiadających historię walk o Redutę PWPW. Miał doskonały kontakt z ludźmi takimi jak my, a swobodnie

mógł nas nazywać młodzieżą – wspominają „Gryfa” Monika Olbryś-Zegarowska i Radosław Mierzejewski z PWPW.

Jerzy Kucharski urodził się 6 lutego 1929 roku w Warszawie, jako syn Rocha i Marii z domu Bujak. W okresie okupacji był uczniem Szkoły Mechanicznej nr 2 przy ul. Sandomierskiej. Ze względu na młody wiek, nie włączył się wówczas w działalność konspiracyjną. Kiedy jednak wybuchło Powstanie Warszawskie, jako ochotnik przyłączył się do Amii Krajowej. Walczył w szeregach grupy PWB/17/S, z którą brał udział w zdobywaniu Polskiej Wytwórni

Papierów Wartościowych, a potem w walkach w obronie Reduty PWPW. 28 sierpnia, po załamaniu się oporu powstańców, wycofał się wraz z innymi żołnierzami z kompleksu PWPW. Swoją walkę kontynuował na Starym Mieście do upadku dzielnicy 2 września. Z Warszawy wyszedł wraz z ludnością cywilną. Przeszedł przez Dulag 121 Pruszków, trafił do obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, z którego wywieziony został do KL Flossenbürg. Po wyzwoleniu przez armię amerykańską i pobycie w Polish Military Center Langwasser powrócił do kraju w czerwcu 1946 roku. Zmarł 1 marca br.





Z Bartoszem Pilitowskim,
prezesem fundacji Court Watch Polska
rozmawia Łukasz Warzecha

Sędziowie muszą mieć doświadczenie



FOT. FUNDACJA COURT WATCH POLSKA

ŁUKASZ WARZECHA: Sądy mają dziś w Polsce bardzo kiepską opinię. Słusznie?

BARTOSZ PILITOWSKI: Nie powinniśmy oceniać całego środowiska przez pryzmat pojedynczych przypadków. Jak w każdym zawodzie, tak wśród sędziów są różni ludzie. Dowiadujemy się głównie o tych wątpliwych przypadkach. Tymczasem są sędziowie tacy jak sędzia sądu rejonowego Jarosław Gwizdak, laureat naszej nagrody Obywatelski Sędzia Roku 2015, który z własnej inicjatywy pracuje z językoznawcami nad takim uproszczeniem wzoru wezwania świadka, żeby było ono zrozumiałe dla zwykłego człowieka, nieznającego języka prawnego.

W powszechnym mniemaniu sędziowie są niemal bezkarni. Faktycznie tak jest?

Rocznie spraw dyscyplinarnych wszczynanych jest kilkaset, do sądu dyscyplinarnego trafia kilkadziesiąt, z czego przeważająca część to przypadki przekroczenia terminów. Czynnych sędziów jest ok. 10 tys. plus kilka tysięcy sędziów w stanie spoczynku, których obowiązują te same zasady odpowie-

dzialności dyscyplinarnej. Zatem bilans nie jest taki zły.

Kilkaset spraw jest wszczynanych, a przed sąd dyscyplinarny trafia kilkadziesiąt? Jak to możliwe?

Wszystko zależy od tzw. zastępcy rzecznika dyscyplinarnego. To on, po rozmowie z danym sędzią, decyduje o skierowaniu lub nie sprawy przed sąd dyscyplinarny. Na tym etapie wiele spraw jest zamykanych, ponieważ wyjaśnienia sędziego uznaje się za satysfakcjonujące.

Może między innymi w tym leży problem z wizerunkiem środowiska sędziowskiego? Opinia publiczna dowiaduje się o czynie sędziego, a następnie słyszy, że sprawa została zamknięta i właściwie nie wiadomo dlaczego.

Faktycznie, część procedury dyscyplinarnej jest nieprzejrzysta, ale tak regulują ją przepisy. Należałoby je zmienić, np. wydłużając lub likwidując przedawnienie w zakresie odpowiedzialności dyscyplinarnej.

Sędziowski stan spoczynku jest postrzegany jako nadzwyczajny przywilej. Sędzia w stanie

spoczynku otrzymuje trzy czwarte ostatniego wynagrodzenia. Może należałoby go zlikwidować?

Byłbym przeciwny. Z punktu widzenia państwa mówimy o naprawdę niewielkich pieniądzach, a instytucja stanu spoczynku zwiększa niezależność sędziego, uodparniając go na korupcję. Natomiast uważam, że konieczne są zmiany dotyczące przechodzenia w stan spoczynku przed wyrobieniem stażu. Jeśli sędzia korzysta z tego przywileju ze względu na stan zdrowia, to niezdolność do wykonywania pracy powinna być co jakiś czas weryfikowana. Sędziowie w stanie spoczynku powinni mieć też możliwość kontynuowania pracy w niepełnym wymiarze godzin i być do tego zachęceni.

Ogromne wzburzenie wywołała skądinąd mało taktowna, ale co do istoty słuszna wypowiedź pani sędzi Gersdorf o wynagrodzeniach dla sędziów. Mało kto wie, że polska konstytucja w art. 178 mówi, że „sędziom zapewnia się [...] wynagrodzenie odpowiadające godności urzędu”. Tylko jak to wyjaśnić komuś, kto zarabia 1,8 tys. zł miesięcznie?

Wypowiedź pani sędzi Gersdorf w uszach wielu Polaków musiała za-

brzmieć fatalnie. Jednak pierwsza prezes Sądu Najwyższego dotknęła ważnego problemu: poziom zarobków sędziów w dużej mierze będzie determinował, jacy ludzie będą do tego zawodu szli. To muszą być pieniądze względnie konkurencyjne wobec tego, co może zarobić na rynku dobry prawnik. Należałoby tu także uwzględnić różnice w kosztach utrzymania pomiędzy Warszawą a innymi dużymi miastami w Polsce oraz tymi miastami a mniejszymi miejscowościami. W przeciwnym razie nie możemy oczekiwać, że sędziami będą w Polsce najzdolniejsi prawnicy. Z drugiej strony nie można przesadzić, bo sędzia w porównaniu z prawnikiem pracującym na wolnym rynku ma pewne przywileje. Nie musi się np. martwić o pracę, bo zawsze będzie ją miał. Nie musi utrzymywać kancelarii, nie płaci ZUS ani nie zatrudnia pracowników.

Sędziowie mieliby zarabiać jak najlepsi adwokaci? Opinia publiczna by tego nie przełknęła.

Nie przesadzajmy, bo to także może przynieść szkody. Richard Posner, obecnie sędzia amerykańskiego federalnego sądu apelacyjnego, zajmujący się również ekonomią, twierdzi słusznie, że sędzia nie powinien zarabiać zbyt wiele, bo wówczas pieniądze stałyby się jedyną motywacją wykonywania zawodu, podczas gdy powinny go wybierać osoby dbające o dobro publiczne i rozumiejące, że sędzia to rola służebna wobec ludzi. Zatem zarobki godne, ale nie nadmierne.

Mówił pan, że procesy rekrutacji do zawodu sędziowskiego oraz awansów sprzyjają konformizmowi. W jaki sposób?

Dzisiaj to sami sędziowie decydują, kto będzie sędzią oraz kto i kiedy awansuje. Oczywiście na podstawie kryteriów określonych przepisami, ale tu właśnie tkwi problem. Oceniane są bowiem głównie wiedza i umiejętności techniczne. Poza tym istnieje ogólny zapis mówiący o tym, że bierze się pod uwagę predyspozycje osobowościowe kandydata, choć nie wiadomo, co to ma właściwie oznaczać. W efekcie mamy czystą uznaniowość sędziów zasiadających w KRS, bo to oni wnioskuje o powołanie konkretnej osoby na dane stanowisko. Członkami KRS są wprawdzie nie tylko sędziowie, lecz to oni mają w radzie rozstrzygającą większość.

Gdyby kryterium osobowości kandydata zostało sprecyzowane, co powinno się w nim zawierać?

Choćby kwestia doświadczenia życiowego. Dzisiaj większość nowych sędziów rekrutuje się spośród osób, które wcześniej pracowały w sądzie. Były asystentami sędziów lub referendarzami.

To źle?

I tak, i nie. Ci ludzie mają doświadczenie, jeśli chodzi o sprawy organizacyjne i techniczne, brak im jednak często doświadczenia życiowego, które zdobywa się na zewnątrz. Brakuje także ludzi, którzy mieliby wiedzę przyniesioną z sektora prywatnego, a ona bardzo by się przydała przy rozstrzyganiu niektórych spraw.

Na dodatek w sprawach bardzo skomplikowanych często orzekają sędziowie zbyt młodzi.

Przeciętnie sędzią zostaje się w wieku trzydziestu paru lat. Granicznym wiekiem jest dziś 29 lat. Natomiast propozycje Ministerstwa Sprawiedliwości w praktyce tę granicę jeszcze obniżają, ponieważ do sądów rejonowych wrócić ma instytucja asesora sądowego, zaś asesor – coś w rodzaju sędziego „na próbę” – może być młodszy. Wystarczy, że taka osoba ukończyła Krajową Szkołę Sądownictwa i Prokuratury, zdając egzamin sędziowski. A przecież orzeczenia asesora mają moc identyczną jak orzeczenia pełnoprawnego sędziego. Rozmawiałem niedawno z doświadczonym prawnikiem, który karierę zaczął jako sędzia. Zajmował się sprawami gospodarczymi, doszedł do stanowiska przewodniczącego wydziału, a 10 lat temu zmienił zawód i został radcą prawnym. Dzisiaj twierdzi, że nigdy nie powinien być sędzią bez doświadczenia, które zdobył, prowadząc kancelarię radcowską. Uważa, że dopiero prowadzenie własnej kancelarii przez określony czas powinno umożliwiać staranie się o stanowisko sędziego. Opowiada, że sędziowie, którzy takiego doświadczenia nie mają, wykazują się indolencją w kwestii natury obrotu gospodarczego. Nie rozumieją, z czym musi się na co dzień zmagać przedsiębiorca i jakim wyzwaniem jest prowadzenie firmy.

Co ma się zmienić w sposobie wybierania KRS?

25-osobowy skład rady jest ustalony w konstytucji. Do KRS należy m.in. 17 sędziów, z czego 15 wybierały dotąd tzw. zgromadzenia sądów reprezentujące sędziów, ale w sposób nieproporcjonalny. Najwięcej sędziów pracuje bowiem w sądach rejonowych, które swoich zgromadzeń nie mają. Mają je jedynie sądy apelacyjne i okręgowe. Owszem,

sędziowie z rejonów wchodzi w skład zgromadzeń sądów okręgowych, ale ich głos waży w nich aż 16 razy mniej niż głos sędziów apelacyjnych.

Tych 15 sędziów będzie teraz wybieranych przez Sejm. To dobrze?

Jest tu problem, bo skoro KRS ma stać na straży niezależności sądów, m.in. od władzy ustawodawczej, to jak ma tę funkcję spełniać, skoro większość jej składu będzie wybierać właśnie ta władza? Z drugiej strony, skoro KRS wybiera kandydatów na sędziów przedstawianych potem prezydentowi do nominacji, to można się zastanowić, czy nie lepiej, aby rada miała choćby pośrednią legitymację demokratyczną. Z tym że można mieć wątpliwości co do legitymizacji w warunkach tak ostrego sporu politycznego jak trwający dziś w Polsce.

Pierwotnie Ministerstwo Sprawiedliwości miało inną propozycję.

Zakładano zrównanie głosu wszystkich sędziów podczas wyborów członków KRS. To by oznaczało, że przewagę zyskaliby najliczniejsi sędziowie z rejonów. Część sędziów bardzo wiele obiecywała sobie po takiej zmianie.

I tu się zawiedli, ale wciąż są pomysły Zbigniewa Ziobry, które się podobają.

Tak. Należy do nich np. zrównanie statusu sędziów sądów wszystkich szczebli. Wprowadzono by po prostu stanowisko sędziego sądu powszechnego, bez różnicowania na sądy rejonowy, okręgowy i apelacyjny. To mogłaby być nie tylko zmiana prestiżowa, lecz także finansowa. Dzisiaj pozycja sędziów różnych szczebli jest drastycznie odmienna.

To znaczy?

Na przykład w sądach rejonowych jeden asystent przypada na trzech sędziów, co sprawia, że komfort pracy jest niski. W sądach okręgowych jest inaczej, jest też mniej spraw, a płace są wyższe. Nic dziwnego, że każdy chce awansować. Tymczasem awanse sędziów opiniują ich zwierzchnicy. Istnieje więc duża pokusa, żeby przypodobać się tym, którzy będą decydować o awansie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Fundacja Court Watch Polska to największa na świecie organizacja zajmująca się obywatelskim monitoringiem sądów.



Jacek Czaputowicz

Wybierając Donalda Tuska na swego przewodniczącego, Rada Europejska uznała, że państwo nie może zablokować wyboru osoby, która jest politycznym przeciwnikiem rządu. Wyjaśnienia Donalda Tuska, że stoi na straży unijnych wartości, nie są przekonujące

Tuskiem w Unię

W maju 2015 r., a więc jeszcze w czasie rządów Platformy Obywatelskiej, Tusk poparł w wyborach prezydenckich Bronisława Komorowskiego. Nasuwa się pytanie: Jakich europejskich wartości wówczas bronił? Europoseł prof. Ryszard Legutko złożył skargę do Europejskiego Rzecznika Praw Obywatelskich. Szkoda, że nie została ona wówczas rozpatrzona. Pokazuje to jednak, że naruszanie zasad bezstronności i neutralności politycznej przez przewodniczącego Rady Europejskiej nie jest nowym problemem.

Przypomnijmy, że Rada Europejska jest ciałem międzyrządowym. Zasiadają w niej szefowie państw lub rządów. Gdy w wyniku wyborów zmienia się rząd, zmienia się także przedstawiciel państwa. Inaczej jest w przypadku Komisji Europejskiej, gdzie w takiej sytuacji komisarz pochodzący z danego kraju może dokończyć kadencję. Państwa starają się przeformować swojego kandydata na przewodniczącego, buduje to bowiem ich prestiż i zwiększa możliwości realizacji narodowych interesów.

Wprowadzenie w traktacie z Lizbony zasady głosowania większością kwalifikowaną miało na celu uniemożliwienie

zablokowania wyboru przewodniczącego Rady Europejskiej przez państwo trzecie, a nie umożliwienie wyboru kandydata, który jest w opozycji do własnego rządu. Okazało się, że Unia Europejska jest bardziej federalistyczna, niż wielu to przyznaje. Decyzja Europejskiej Partii Ludowej, a więc ciała ponadnarodowego, okazała się ważniejsza od decyzji państwa członkowskiego. Doszło zatem do zasadniczej zmiany ustrojowej Unii Europejskiej, która została wprowadzana tylnymi drzwiami.

Artykuł 4. traktatu o UE stanowi, że „Unia i Państwa Członkowskie wzajemnie się szanują i udzielają sobie wzajemnego wsparcia w wykonywaniu zadań”. Decyzja z 9 marca 2017 r. podważa jednak zasadę lojalnej współpracy i niweczy zaufanie między partnerami. Może ona mieć negatywne konsekwencje dla funkcjonowania i postrzegania Unii Europejskiej w przyszłości.

ODNAWIALNOŚĆ MANDATU

W celu uzasadnienia sposobu wyboru Donalda Tuska przywoływany jest zwykły artykuł traktatu mówiący, że „mandat przewodniczącego jest jednokrotnie

odnawialny”. Jednak oznacza to jedynie tyle, że osoba zajmująca dane stanowisko może ubiegać się o drugą kadencję, ale już nie trzecią. Jednokrotnie odnawialny jest mandat prezydenta Stanów Zjednoczonych, co oznacza, że wybór Baracka Obamy na trzecią kadencję byłby niedopuszczalny.

Pojęcie odnawialności mandatu jest także dobrze znane na gruncie prawa europejskiego. Odnawialny jest trzyletni mandat prezesa Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Polski sędzia Jerzy Makarczyk konkurował o to stanowisko w 2006 r., mimo że urzędujący prezes Wasilios Skouris zapowiedział, iż będzie ubiegać się o reelekcję. Odnawialny jest także mandat przewodniczącego Parlamentu Europejskiego, jednak ubiegający się o reelekcję Martin Schulz musiał pokonać trzech kontrkandydatów. Wybory przez aklamację są możliwe jedynie wtedy, gdy liczba kandydatów nie przekracza liczby miejsc.

W preambule traktatu z Lizbony państwa członkowskie wyraziły pragnienie umocnienia demokratycznego charakteru unijnych instytucji. W dotychczasowych wyborach przewodniczącego Rady Europejskiej był zawsze jeden kandydat.



Tym razem jednak Polska zgłosiła Jacka Saryusza-Wolskiego zarówno notą dyplomatyczną do prezydencji, jak i w liście premier do szefów państw i rządów. Saryusz-Wolski potwierdził gotowość kandydowania, za co został wykluczony z własnej partii i zmuszony do ustąpienia z funkcji wiceprzewodniczącego oraz członka frakcji EPP w Parlamencie Europejskim. Czy doszłoby do tego, gdyby jego kandydatura nie miała podstaw prawnych? Informacja, że Donald Tusk zwyciężył stosunkiem głosów 27:1, sugeruje, że taki właśnie był rozkład głosów między tymi dwoma kandydatami. Uczestnicy spotkania twierdzą jednak, że przewodniczący zebrania zapytał jedynie, czy ktoś jest przeciwko przedłużeniu kadencji Donalda Tuska. Wynika z tego, że kandydatura Polski w ogóle nie została dopuszczona do głosowania.

NARUSZENIE ZASAD DEMOKRACJI

Można spotkać się z opiniami, że zastosowany sposób wyboru jest wynikiem braku kryteriów i zasad dotyczących mianowania wyższych urzędników, które mają zostać wprowadzone w przyszłości. Tymczasem traktaty są

wystarczająco precyzyjne, wiadomo, co oznaczają takie pojęcia jak wybory, większość kwalifikowana i odnawialność mandatu. Z samej definicji wyborów wynika, że może brać w nich udział wielu kandydatów, tak jak to jest w wyborach prezesa Trybunału Sprawiedliwości UE i przewodniczącego Parlamentu Europejskiego. Rada Europejska nie może pozbawić prawa kandydowania osoby prawidłowo zgłoszonej przez uprawniony do tego podmiot. Bierne prawo wyborcze należy do istoty demokracji i żadne inne kryteria ani zasady nie mogą tego zmieniać.

Nasuwa się pytanie: Dlaczego obrano drogę na skróty? Demokracja wymaga, by głos na danego kandydata był wyrażony i jednoznaczny, a nie dorożumiany. Można było także odłożyć głosowanie do czasu opracowania regulaminu. Nie było pośpiechu, ponieważ kadencja przewodniczącego kończy się dopiero 31 maja. Czy obawiano się, że głosowanie zgodne z zasadami demokracji mogłoby zakończyć się inaczej?

Sposób wyboru przewodniczącego Rady Europejskiej może wskazywać, że żadne państwo nie chciało wziąć odpo-

wiedzialności za wysunięcie kandydatury Donalda Tuska wbrew stanowisku Polski. Zdawano sobie sprawę, że byłoby to pogwałcenie obowiązujących zasad. Jest także rzeczą naturalną, że państwa nie chcą występować przeciwko urzędującemu przewodniczącemu, z którym będą musiały współpracować, i to w sytuacji, gdy kanclerz Niemiec na kilka godzin przed wyborami ogłosiła, jaki będzie ich wynik. Jednak w opisywanych wyborach żaden przywódca, poza premier Beatą Szydło, ani razu nie podniósł ręki. Wiemy więc, że przeciwko Donaldowi Tuskowi był jeden głos, natomiast przeciwko Jackowi Saryuszowi-Wolskiemu – żadnego, ponieważ kandydatura ta nie była poddana pod głosowanie. Czy zatem wybór przewodniczącego Rady Europejskiej był demokratyczny?

POWAŻNE KONSEKWENCJE

Wybory są demokratyczne wtedy, gdy o ich wyniku decyduje liczba głosów oddanych na poszczególnych kandydatów. Jeżeli prawidłowo zgłoszony kandydat nie został dopuszczony do głosowania, to nie można uznać ich za demokratyczne. W wyborach prezydenckich w Rosji ważne będzie nie tylko to, ile głosów dostanie Władimir Putin, lecz także to, czy zostanie do nich dopuszczony Aleksiej Nawalny. Łamiąc zasady demokratyczne, Unia Europejska traci legitymację do pouczania innych. Członkowie Rady Europejskiej wybrali Donalda Tuska wbrew stanowisku polskiego rządu i z pogwałceniem zasad demokracji.

Demokrację należy praktykować, inaczej ulega ona wypaczeniom. Korzystanie przez państwo członkowskie Unii Europejskiej z przysługujących mu praw nie powinno budzić zdziwienia, irytacji ani wrogości. Gdy łamane są podstawowe zasady, nie można udawać, że wszystko jest w porządku. Jedynie piętnowanie niedobrych praktyk może uchronić Unię Europejską przed przekształcaniem się w instytucję, która łamie ustanowione przez siebie zasady i nie liczy się z wolą swoich członków. Ojcowie założyciele, którzy 60 lat temu podpisali traktaty rzymskie, by nam tego nie wybaczyl.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem nauk o polityce, dyrektorem Zakładu Metodologii Badań Europejskich na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego.



Z Tomaszem Siemoniakem, posłem,
wiceprzewodniczącym Platformy Obywatelskiej
rozmawia Marek Migalski

Wyborcy oczekują

MAREK MIGALSKI: Nie żałuje pan, że zrezygnował pan z ubiegania się o przywództwo w PO?

TOMASZ SIEMONIAK: Nie ma sensu gdybać, co by było...

Jednak dziś sondaże idą wam w górę. Nie żałuje pan, naprawdę?

Nie.

Dzisiaj to pan by spijał śmietankę, a nie Grzegorz Schetyna.

Ja dołożyłem swoją małą czastkę do tego, że Platforma odzyskuje wiarygodność u wyborców.

Większą czastkę ma jednak Schetyna.

Oczywiście. I się z tego cieszę. Bo nasza współpraca przez ten rok jest dobra. Widzę bardzo drużynowy charakter pracy Grzegorza.

Chyba nie wszyscy w PO tak uważają. Pan jest dopieszczony i ważny, ale nie wszyscy mają tak jak pan. „Młode wilki” skarżą się właśnie na brak tego grupowego przywództwa.

Dzisiaj skarżą się mniej niż kiedyś. To osoby mające wszelkie narzędzia do prowadzenia polityki – są członkami zarządu krajowego, są w gabinecie cieni, są bohaterami konferencji prasowych.

To dlaczego narzekają?

To jest chyba trochę taka polska cecha – takie narzekanie. Jak i tych dwóch polskich milionerów, którzy gdy się spotykają i pytają, co u nich, to odpowiadają: „Stara bieda”.

To dowód zatem dla polityków PiS, że jednak nie jesteście ruską agenturą, lecz partią arcy-polską, jeśli panuje u was typowe dla Polaków narzekactwo.

(śmiech) To także typowo inteligencka cecha, że się narzeka, że się wątpi...

Nie dość, że jesteście więc partią polską, to jeszcze inteligenką?

PO jest partią masową, ale jest także inteligenką. Potrafimy się spierać, mamy wątpliwości...

Plus chyba jesteście bardziej popularni wśród ludzi z wyższym wykształceniem.

Tak. Badania to potwierdzają. Jesteśmy także otwarci na ludzi z otwartymi umysłami, na młodych. Czy pan widzi w PiS otwarcie na młodych ludzi?

Akurat tak, bo PiS był bardziej niż wy popularny w 2015 r. wśród młodych, a poza tym niedawno Kaczyński mianował właśnie bardzo młodych ludzi na pełnomocników wyborczych w okręgach.

No tak, ale bycie pełnomocnikiem w okręgu na czas wyborów samorządowych to raczej praca, a nie władza. Jednocześnie ci młodzi będą tam blokowani przez starszych polityków już usadzonych w okręgach. Osadzonych tam przez prezesa Kaczyńskiego.

Jednak przegraliście wśród młodych w 2015 r. z PiS.

I to jest dla nas wyzwanie. Co roku w wiek wyborczy wchodzi kolejna grupa 18-latków i powinniśmy ich zagospodarować. Aby chciało im się być radnymi, wójtami... Aby wchodził oni do polityki. To fundamentalna sprawa.

Czym pan tłumaczy rosnące notowania PO? Znow za was wszystko Tusk załatwił. Jak trwoga, to do Tuska.

Notowania zaczęły rosnąć wcześniej. A to, co wydarzyło się po Brukseli, to była kulminacja tendencji z wielu tygodni mozolnego drapania się Platformy...

Drapania się? Po czym?

Wdrapywania się w sondażach.

Jednak zwyżka przyszła teraz. To zasługa Tuska, a nie wasza. No i nieudolności PiS.

Jednak tylko po części jest to wynik nieudolności PiS i działania Tuska, który wciąż jest kojarzony z PO. Z tego drugiego zresztą się wszyscy cieszymy.

Wszyscy? Schetyna też?

Oczywiście, że też. Pojechał do Brukseli, wszyscy zobaczyli, że go wspiera.

No jasne. Był chyba najszcześliwszym człowiekiem w Polsce po jego wyborze. Nawet Kaczyński to zauważył, kierując do waszego szefa słowa: „Pan wygrał” i uśmiechając się przy tym.

Byliśmy poruszeni tą wypowiedzią pana prezesa. To był moment jakiejś innej, fajniejszej polityki. Kaczyński mówił wtedy „ludzkim głosem”.

Tam jest jakaś sympatia między Kaczyńskim a Schetyną, prawda?

Nazwałbym to szacunkiem. Kiedy prezes Kaczyński krytykował marszałków z PO, to przecież zrobił swego czasu wyjątek dla

FOT. ADAM GUZ/POLSKA PRESFEST NEWS

**WYWIAD
NIEAUTORYZOWANY**

totalności

Grzegorza. Im więcej byłoby w polskiej polityce szacunku, tym byłaby ona lepsza.

A może to jest szacunek dla jedynego lidera, którego Kaczyński się tak naprawdę obawia, że może pozbawić go władzy?

Oczywiście, że tak. To jasne, że tylko PO może odsunąć PiS od władzy.

Pół roku temu nie było tego widać w sondażach i nie było to takie jasne dla wszystkich.

To efekt ciężkiej pracy, objazdu Polski, pracy programowej.

Czyli działa to, że wy jesteście partią masową, zakorzenioną w terenie i w samorządzie, mającą swoich europosłów. Tym wygrywacie z Nowoczesną? I z radością czekacie na wybory samorządowe, które uderzą w Petru?

Na wyborców Nowoczesnej na pewno źle podziałała ta próba porozumienia się z PiS...

Czyli nie wyjazd na Maderę?

Znam wyborców Nowoczesnej, są moimi sąsiadami. Dla nich Madera była jakąś tam sprawą wizerunkową, ale nie o charakterze fundamentalnym...

Bo „korpuludki”, niech mi wybaczą, nie takie rzeczy widziały na wyjazdach integracyjnych?

Dla nich, choć nie nazwałbym ich korpuludkami, nieakceptowalne było pójście na rozmowy z Kaczyńskim.

To ciekawe. Czyli pan uważa, że wyborcy Petru spokojnie wybaczyli mu wyjazd na Maderę, ale nie mizianie się z PiS?

Tak to oceniam. To w ogóle problem tożsamościowy Nowoczesnej. Nie da się być za Tuskiem w RE, ale jednocześnie źle oceniać czas, gdy był premierem. Dzisiaj wyborcy szukają partii zdolnej pokonać PiS i będącej realną alternatywą dla Kaczyńskiego.

Czyli totalność swej opozycyjności uważacie za klucz do sukcesu?

Dokładnie tak. Schetyna to powiedział wiosną ubiegłego roku.

Dodajmy – tydzień po moim artykule na portalu 300polityka.pl, gdzie udowadniałem, że od 1997 r. tylko totalna opozycyjność się opłaca.

(śmiej) Tak, tydzień po pana artykule.

Schetyna został wtedy bardzo skrytykowany za tę wypowiedź.

Do dziś w przekazach PiS obowiązuje nakaz nazywania nas „opozycją totalną”. Wyborcy oczekują tej totalności. Są wzburzeni rządami PiS i oczekują od nas jeszcze większej twardości.

Jeszcze większej niż obecnie?!

Tak. Bo widzą działania Macierewicza, Zalewskiej, Szyszki, które naruszają ich poczucie tego, w którą stronę powinny iść sprawy polskie i jak zarządzane winno być nasze państwo.

Jak to się stało, że ci wyborcy w ciągu półtora roku zapomnieli, iż w sprawach dla pana bliskich, czyli w kwestiach bezpieczeństwa, PO w poprzedniej kadencji szefem sejmowej Komisji Obrony Narodowej zrobiła Stefana Niesiołowskiego, który nie znał się na niczym, a szefem MSWiA panią Teresę Piotrowską?

Nie ma większego znaczenia, kto jest szefem takiej komisji.

■ Chyba pan żartuje?

To niech mi pan powie, kto dzisiaj jest przewodniczącym Komisji Obrony.

(śmiej) No nie wiem. Jednak przecież z faktu, że ja czegoś nie wiem, nie można wyprowadzać wniosków, że to jest nieważne.

Ważniejsze było to, kto był w MON, czy też to, kto był szefem Sztabu Generalnego, a nie kto kierował sejmową komisją. Jest pan pierwszą osobą od półtora roku, która mnie o tę sprawę zapytała. Dzisiaj już Stefana Niesiołowskiego nie ma w PO...

Jednak chyba nie dlatego, że był słabym szefem komisji?

Wyborcy chcą rozmawiać o OFE, o cieplej wodzie w kranie...

usiąść i spokojnie, miasto po mieście, województwo po województwie, poszukać takich osób. My nie boimy się pójścia w jakiejś szerszej formule. Nie boimy się rozmycia.

Nie boicie się, bo już jesteście ideowo rozmyci.
Nigdy bym tak nie powiedział.

A ja tak.

Gdybyśmy byli rozmyci ideowo, to byśmy nie wygrywali w 15 województwach i w nich nie rządzili.

Właśnie dlatego wygrywacie w nich, bo jesteście rozmyci ideowo. Tak samo zresztą jak PiS, które tylko pozornie ma jasną tożsamość. Notabene tylko takie rozmyte partie mogą wygrywać wybory, a nie wąskie ideowo, jak liberalna Nowoczesna.

Jednak to przecież w PiS są latyfundiści. Trudno się doliczyć, ile tych hektarów ma minister Szyszko. Minister Morawiecki też jest bardzo bogatym człowiekiem.

U was też chyba nie brakuje krezusów.
Na przykład?

Kurczę, tu mnie pan zaskoczył. Kiedyś wskazałbym Mirosława Drzewieckiego.
Dawno poza polityką.

OK. Jednak jakie to ma znaczenie?
My powinniśmy być po stronie interesu publicznego.

Nawet kosztem praw własności indywidualnej?

Tak. Przecież nie ma problemu z wycinką pod jakieś inwestycje, drogi czy autostrady. Tutaj zdarzyły się dwie złe rzeczy – po pierwsze, złe prawo, a po drugie, wypowiedź prezesa Kaczyńskiego o tym, że będzie zmiana. Po tej decyzji dopiero ruszyły pilarki. Bo ludzie uznali, że zaraz ta możliwość się skończy, i zaczęli na siłę wycinać drzewa.

Bo ludzie wierzą prezesowi. A nie wam (śmiej).

I wtedy właśnie ścięto najwięcej drzew. A pan ściął jakieś drzewo?

Nie, ja zasadziłem kilka w moim ogrodzie, ale to dwa lata temu.

No to nie jest pan z PiS.

Już nie. Ostatnie pytanie: Mieliście pozwolenie na to zeszlotygodniowe sadzenie drzewek w pobliżu siedziby PiS?

Oczywiście.

Od koleżanki partyjnej Hanny Gronkiewicz-Waltz?

Nie. Od właściwego zarządu zajmującego się tą kwestią.

Jednak w Warszawie kontrolowanej przez PO.

Kontrolowanej twardą ręką przez Hannę Gronkiewicz-Waltz (śmiej). Posadziliśmy te drzewa na terenie publicznym, gdzie dobrze jest, żeby rosły drzewa. A nie bez znaczenia było i to, że był to teren między siedzibą PiS a Ministerstwem Środowiska. W takim miejscu, że prezes Kaczyński będzie je mógł oglądać ze swojego gabinetu. Jak już zostanie ponownie liderem opozycji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Są takie miejsca jak Bydgoszcz czy Toruń, gdzie są popularni politycy Nowoczesnej, i nie wykluczamy, że tam moglibyśmy ich poprzeć

Naprawdę chce pan porozmawiać o tym, jak PO zajmowała nam 150 mld zł z OFE?

Ja mówię, że o tym chcą rozmawiać wyborcy. Jednak nie spotkałem się z tym, żeby kogoś interesował Stefan Niesiołowski.

Może moich czytelników jednak to zaciekawiło, dlaczego zrobiliście go szefem tamtej komisji. Jednak OK, zostawmy to. Dojście do Nowoczesnej przy samorządówce, prawda? Będziecie ich długo zwodzić, a potem i tak zostawicie na lodzie i pozwolicie, by na nim umarła.

Po naszej stronie nie ma złych intencji...

No jasne, chcecie pomóc Petru.

Jednak prawdą jest, że to jest jakiś kłopot. Nawet gdy patrzę na mój okręg wałbrzyski, to widzę problemy Nowoczesnej. My widzielibyśmy polityków Nowoczesnej na liście.

Na swojej liście?

Na jednej, wspólnej. Natomiast nie ma co ukrywać, że tu mogą być problemy. Na przykład w Poznaniu, gdzie jest bardzo popularny prezydent Jaśkowiak, trudno byłoby znaleźć jakiegoś polityka Nowoczesnej, który mógłby się z nim równać. Chociaż są takie miejsca jak Bydgoszcz czy Toruń, gdzie są popularni politycy Nowoczesnej, i nie wykluczamy, że tam moglibyśmy ich poprzeć. Trzeba więc

Czy ja wiem, czy nowoczesna jest liberalna? Mnie chodzi nie tyle o rozmycie ideowe, ile o szerokość oferty ideowej. Bo „rozmycie” ma zabarwienie pejoratywne.

W takim właśnie kontekście go używałem. A propos, co wy macie przeciwko wycinie drzew? Przecież to jest zgodne z waszym programem i profilem ideowym. Wolność Tomku w swoim domku. Każdy ma prawo do decydowania o swojej własności. Raz się na jakiś czas udaje PiS zrobić coś w duchu liberalnym i wolnościowym, a wy, partia liberalna ekonomicznie i wolnościowa, macie o to pretensje.

Żeby to tylko chodziło o indywidualne osoby wycinające swoje drzewa. Rozmawiałem z wieloma osobami, które nigdy nie miały problemu z tym, by uzyskać zgodę w gminie na wycinkę swoich drzew.

Jednak przecież wy zawsze chcieliście ograniczać rolę urzędników i ich uznaniowości.

Ofiarą „lex Szyszki” padły tysiące drzew w takich miejscach, gdzie deweloperzy mieli pewne zakusy.

Jakbym słyszał kogoś z PiS. Że jak mały wycina, to OK, ale jak wielki, to już broń Boże. Ten antykapitalistyczny język jest popularny przy Nowogrodzkiej.

**POD WĄS**

Ballada podwórkowa

IGOR ZALEWSKI

Kiedyś wiosna zaczynała się dla mnie w dniu, w którym można było z piwem iść na ławkę w parku. Jednak że dziś piwa nie pijam, a oprócz tego jeszcze parę innych rzeczy się zmieniło, pierwszym dniem wiosny jest ten, w którym mój syn spotyka na podwórku inne dzieci z naszego bloku.

Mamy u nas sympatyczną ekipę. Wika, Kasia, Julka, Oskar, Karol, no i Tymon. Zaczęli się spotykać na podwórku, jeszcze kiedy raczkowali. Teraz mają po siedem-osiem lat. Uwielbiam ten moment w roku, gdy dzieciaki wyłażą z nor mieszkalnych, do których całą zimę powracały prosto ze szkoły, i podążają ku huśtawkom, drabinkom i trzepakowi (bo już nie ku piaskownicy). Zawsze się wtedy obawiam, że może się już pozapominali, że szkolne życie przesłoniło im przyjaciół z podwórka, że coś się urwało...

Jednak nie. Ostatnio Tymon i Oskar spotkali się na placu zabaw. Jeszcze zapyziałym po zimie, jeszcze wilgotnym, ale już wiosennie kuszącym. I aż podskoczyli na swój widok. Aż się zapowietrzyli. – Tymon! – wykrzyknął radośnie Oskar. – Oskar! – wykrzyknął radośnie Tymon. I pewnie padliby sobie w ramiona, gdyby wiedzieli, jak to się robi. Jednak tej ważnej życiowej umiejętności jeszcze nie nabyli, więc podskakiwali z podniecenia, nie potrafiąc inaczej okazać swego szczęścia. A potem zaczęli się ganiać, walczyć na wymagowane miecze i bawić się w rekina (taka nasza lokalna

rozrywka) i poczułem, że wiosna już tu faktycznie jest.

Muszę wyznać, że uwielbiam podwórko. Uwielbiałem jako dziecko i uwielbiam jako rodzic. Lubię siedzieć na ławce, czytać książkę lub gawędzić z mamami i tatusiami, jednocześnie obserwując nasze dzieciaki, jak zmieniają się ich rozrywki. Jak piraci wypierają rycerzy Jedi, by sami z kolei zostać wyparci przez Avengersów. Jeszcze bardziej lubię podsłuchiwać ich rozmowy, z których z roku na rok niestety coraz mniej rozumiem. Jednak oglądanie tego, jak ze sobą obcuja, sprawia mi ogromną przyjemność. Wolę to niż kino. To zapewne dowód mej prostoty przechodzącej w prostactwo, ale jestem wtedy autentycznie szczęśliwy.

Słowo „podwórko” ma w Polsce kiepskie konotacje. Dzieciaki spędzające czas na podwórku to niby dzieci zaniebane, samotne, pozostawione samym sobie. Nieprawda, a w każdym razie nie zawsze prawda. Podwórko jest dla dziecka światem, w którym wiele rzeczy przeżywa pierwszy raz w życiu i w związku z tym – jak bardzo nie byłoby brzydkie – jest wspaniałe. Wspaniałe są przyjaźnie podwórkowe. Mam dwóch takich przyjaciół z piaskownicy, która jest dla nas tym, czym Wietnam dla weteranów w USA.

Oczywiście dzisiaj asysta rodziców w tym życiu podwórkowym jest znacznie większa niż w czasach mojego dzieciństwa, ale nie ma to wielkiego wpływu na relacje między młodymi, a za to wzbogaca rzeczywistość dorosłego. Przynajmniej moją. ©©

**KRÓTKO PO WOLSKU**

Wojtek

MARCIN WOLSKI

Był jednym z ostatnich przedstawicieli osobliwego gatunku – twórców rozrywki dla inteligentów pracujących. Kiedyś było ich mnóstwo: Jeremi Przybora i Agnieszka Osiecka, Jonasz Kofta i Maciej Zembaty, Jan Kaczmarek i Andrzej Waligórski. Jerzy Dobrowolski i Jan Tadeusz Stanisławski... Godni następcy Hemara, Słonimskiego, Tuwima. Mistrzowie mowy polskiej, ludzie kultury słowa, tubylcy z galaktyki Gutenberga.

Udało im się przetrwać złowaczenie PRL-owskie, choć nie wszyscy dożyli globalnego

Giganci zaczęli wymierać, narybek skarłat

ocieplenia. Opanowali do perfekcji sztukę przetrwania i dawania do zrozumienia, bronili zdrowego rozsądku i poczucia humoru.

Każdy wykształcił własną „niszę ekologiczną”, w której panował niepodzielnie. Młynarski, choć sprawdzał się w wielu gatunkach piosenki, zaczynał jako ciepły pejzażysta klimatów Polski Ludowej, rozwinął się, pisząc znakomite teksty pod autorów, produkował przeboje dla gwiazd, tłumaczył teksty zagraniczne – był jednak, nade wszystko, mistrzem śpiewanego felietonu satyrycznego.

W realnym socjalizmie wolność mogła realizować się w aluzji i Wojtek tę przestrzeń wykorzystywał – w utworze

„Po co babcię denerwować” inteligentny słuchacz odnajdywał satyrę na okłamywanego przez swych dworaków Gomulkę, w „Układance” kpina dotyczyła budownictwa socjalistycznego epoki Gierka... Twórca radykalizował się, choć nie zmieniał konwencji. Czy ktoś lepiej przedstawił relację władza – społeczeństwo niż on w „Balladzie o szachisście” lub opisał los zawieszony Solidarności uosobianej przez piłeczkę pingpongową?

Paradoksalnie zwycięstwo demokracji dla aluzjonistów oznaczało kłopoty. Świat przestał być jednoznaczny – cele satyry się spluralizowały i upartyjniły, a jednocześnie zniknęła podstawowy powód konieczności szyfrowania – cenzura. Zresztą kolejne pokolenia odbiorców straciły ochotę bawienia się w deszyfrantów. Zamiast ograniczonej warstwy inteligentów wszyscy stali się ćwierćinteligentami. Ci, którzy chcieli być słyszani, zaczęli walić z grubej rury!

Podupadła piosenka literacka, zawodowych tekściarzy zastąpili partacze (wokaliści lub muzycy), dla których słowa – może je przecież sklecić każdy – stanowią jedynie mało ważne uzupełnienie kompozycji. Giganci zaczęli wymierać, narybek skarłat.

Teatr telewizji czy kabaret aktorski znajdują się na najkrótszej drodze do skansenu i to tylko w przypadku, jeśli jakiś mecenas zechce finansować ten skansen. Być może tak być musi w szybko rozwijającym się kraju średniej wielkości. A przecież mi żal! ©©



Piotr Semka

Śląsk był jedną z pierwszych krain, w których ponad pięć wieków temu posłuch zdobyła nauka Marcina Lutra. Potem na ponad cztery wieki stał się areną niestrudzonych zmagających reformacji z katolicyzmem o sumienia Ślązaków

W jubileuszowym roku, 500 lat po teologicznej rewolucji Lutra, Muzeum Śląskie w niemieckim Görlitz stworzyło wystawę o dziejach śląskiej reformacji i jej wpływie na kulturę tej ziemi. Od końca marca zobaczyć ją będzie można w Kościele Pokoju w Świdnicy. Pojechałem do Görlitz, by zobaczyć ekspozycję, zanim trafi do naszego kraju. To opowieść niezwykle ciekawa i w Polsce mało znana.

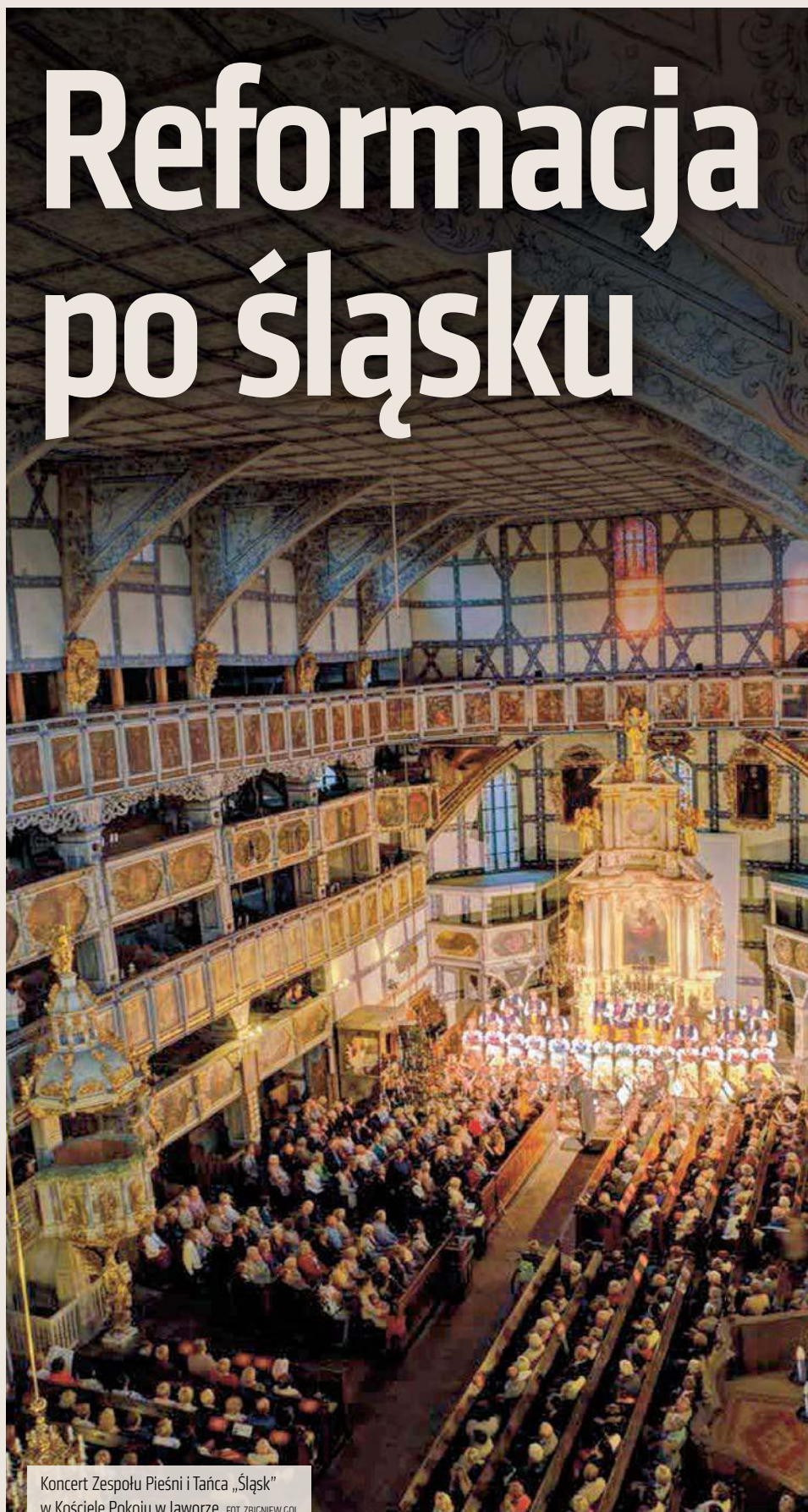
WIATR Z WITTENBERGI

Sam Luter nigdy na Śląsku nie był. Jednak śląska ziemia przylegała do Saksonii – miejsca religijnej rewolucji, która wstrząsnęła ówczesnym światem. Była nadzieją na odrodzenie religijne, ale boleśnie podzieliła chrześcijan. Napływ idei reformacji na ziemię śląską nastąpił, gdy już od dwóch wieków dzielnica była oderwana od Polski. Śląsk był częścią Królestwa Czech, a tym samym części niemieckiej Rzeszy. Dwory śląskich Piastów ulegały coraz silniejszemu kulturowemu wpływowi niemieckim, a miasta były niemal całkowicie pod władzą niemieckiego mieszczaństwa. Nic dziwnego, że ferment, jaki poruszył Niemcy, szybko dotarł nad Odrę.

Pierwsi nowe idee przynieśli do Wrocławia studenci z niemieckich uniwersytetów w Wittenberdze i Lipsku. Rychło też we Wrocławiu, w Legnicy czy Głogowie zaroilo się od półlegalnych druków z ideami kontestatora z zamku Wartburg. Jednak kluczowe było poparcie dla reformacji ze strony władz miasta Wrocławia, gdzie mieszczaństwo od dawna walczyło o wpływy z potężnym arcybiskupstwem. Poparcie dla reform było dla rajców nie tylko wyborem duchowym, lecz także aktem emancypacji polityczno-materialnej.

W stolicy Śląska za naukami Lutra w kwietniu 1524 r. jako pierwszy opowiedział się publicznie Johann Hess, proboszcz

Reformacja po śląsku



Koncert Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” w Kościele Pokoju w Jaworze FOT. ZBIGNIEW GOL

kościół św. Marii Magdaleny. Było to już po ekskomunikowaniu Lutra przez Kościół katolicki. Tutaj istotny szczegół: Hess był duchownym powołanym przez radę miejską. W ciągu paru kolejnych miesięcy wraz z Ambrosiusiem Moibanusem wprowadził zasady reformacji niemal do wszystkich wrocławskich parafii.

W ślad za Wrocławiem w kolejnych śląskich miastach rajcy miejscy żądali od lokalnych księży zniesienia celibatu, zaprzestania kultu świętych, porzucenia praktyk handlu odpustami i wreszcie wprowadzenia kazań w miejscowym języku – niemieckim, a także polskim. Po reformie w inwentarzu wielu śląskich parafii widnieją uposażenia dla funkcji „pastor polonicus”, czyli kaznodziei władającego językiem polskim.

O tym, jak zapal mieszczan do reform łączył się często z próżnością, świadczy zdjęcie zaginionego w czasie wojny obrazu z wrocławskiego ratusza. Rajcy wrocławscy występują na nim jako apostołowie wokół Chrystusa przy Ostatniej Wieczerzy. Nielubianego podskarbiego miejskiego obsadzono w roli judasza.

Jednak o politycznym zwycięstwie reformacji na Śląsku w XVI w. zadecydowali książęta – w większości ślascy Piastowie. I tu także nie sposób oddzielić chęci odnowy wiary od rachub czysto ziemskich związanych z przejęciem dóbr biskupich i klasztornych. Książęta narzucali zasadę „Cuius regio, eius religio” – co oznaczało, że wierni nie mieli wyboru i musieli przyjmować luteranizm w ślad za swoimi władcami.

Najbardziej wyrazistym protektorem nauk Lutra był Fryderyk II legnicki (1480–1547), który występując na rzecz reformacji, chciał wzmocnić swój polityczny sojusz z brandenburskimi Hohenzollernami przeciw ambicjom Ferdynanda Habsburga – niemieckiego króla i kandydata na cesarza Rzeszy.

Najskuteczniejszym zaś z punktu widzenia trwałości swej decyzji o zmianie wiary był Wacław III Adam, książę cieszyński (1524–1579). Do dziś jego dawne ziemie są najsilniejszym rejonem wiary protestanckiej w Polsce – najliczniejsza w RP diecezja cieszyńska według spisu z 2015 r. liczyła 36 391 wiernych.

Widz z Polski nie może się nie zatrzymać przed reprodukcją „Hołdu pruskiego” Jana Matejki. Za księciem Prus Albrechtem von Hohenzollernem, klęczącym przed królem Zygmuntem Starym – władcą Prus, stoją jako oficjalni świadkowie hołdu

dwaj ewangeliccy książęta: Jerzy Pobożny, książę śląskiego księstwa karniowskiego i pan Bytomia, siostrzeniec polskiego władcy oraz Fryderyk II legnicki z rodu Piastów. To był moment, gdy jeszcze siła Rzeczypospolitej wzmocniona tolerancją dla różnic w wierze nakazywała śląskim władcom uważny respekt wobec Polski. Gdyby siła Jagiellonów przetrwała, mogłoby znów zacząć ciążyć ku Polsce. Skoro kraj nad Wisłą zaczął słabnąć, to pozostali, aż do wymarcia Piastów w 1675 r., do końca wierni cesarstwu Habsburgów, które po wygaśnięciu kolejnych odnóg „szczepu piastowego” przejmowało ich księstwa pod bezpośrednią władzę cesarza.

Dopiero na tej wystawie przypomnieć sobie można, ilu znanych myślicieli ewangelickich wydała wtedy Polska. Od Jana Łaskiego, dziś bardziej znanego w historiografii reformacji jako Johannes a Lasco do Samuela Dombrowskiego z Wilna, którego zbiór modlitw „Postylla chrześcijańska” był niezwykle popularny na Śląsku. Ze wzruszeniem pochylałam się nad wydaniem „Postylli chrześcijańskiej”, trzecim z kolei – jak zaznacza drukarz – drukowanym po polsku w Brzegu nad Odrą w 1785 r. Tuż obok katechizm ewangelicki autorstwa Paulusa Glodiusa (?-1606), proboszcza wrocławskiego kościoła św. Elżbiety i kaznodziei kościoła św. Krzysztofa, gdzie kazania głoszone po polsku aż do XIX w. W katechizmie każda pieśń drukowana jest po niemiecku i po polsku.

Jednak to dzieła dla ludu śląskiego, który mówi polską mową. Akceptowano ją jako język mówionych kazań lub zbiorów pieśni i modlitw. Barokowy rozkwit literatury na Śląsku, który był efektem kultu słowa opartego na Biblii, odbywał się jednak po niemiecku. Reformacja była impulsem do stworzenia wielu szkół i bibliotek na

bazie likwidowanych klasztorów. Tak było z krótkotrwałym uniwersytetem w Legnicy, założonym wskutek starań Fryderyka II legnickiego. W duchu reformacji i jego wpływu na język literacki wyłoniło się wielu humanistów oraz twórców poezji religijnej, choćby Anioł Ślązak, który wyrósł w tradycji luteranckiej, choć potem przeszedł na katolicyzm, Martin Opitz uznawany za ojca niemieckiej sztuki poetyckiej czy niemiecki poeta śląski Andreas Gryphius. Osobnym fenomenem jest Jakob Böhme, mistyk i filozof gnostycki, który był przesładowany przez władze protestanckie jako odstępcą od ewangelickiej ortodoksji. Takich nieprawomyślnych „dzieci Lutra” było więcej. To choćby wyznawcy nauk kontestatora religijnego Kaspara Schwenkfelda z Osieku koło Lubina, którego stronnicy emigrowali potem do Ameryki, gdzie do dziś w Pensylwanii istnieje Schwenkfelder Church.

CIEMNA DOLINA

Wspominałam już, że wraz z wymieraniem rozlicznych gałęzi dynastycznych śląskich Piastów ich rozdrobnione księstwa przejmowało cesarstwo. Jednak to cesarstwo pozostało katolickie i w przejmowanych dzielnicach wprowadzało na nowo katolicyzm.

Zaczął się ponadstuletni okres, który protestanci na Śląsku wspominali potem jako czas szykan, ograniczeń i represji. Szczególnie ostry kurs wobec wyznawców reformacji przyjął cesarz Ferdynand, który po zakończeniu wojny trzydziestoletniej w XVII w. skonfiskował na rzecz katolików ponad 650 świątyń protestanckich. Uczniowie nauk Lutra wspominają ten czas jako ciemny okres. Jedni udali się do krajów, gdzie rządili zwolennicy reformacji, takich jak północne Niemcy czy Holandia, inni

REKLAMA

Klub Inteligencji Katolickiej w Lublinie

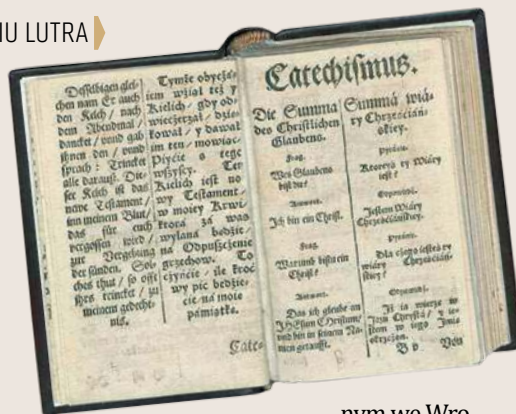
Nagroda im. prof. Ryszarda Bendera

za najlepszą pracę doktorską z dziedziny historii Polski nowożytnej i najnowszej oraz chrześcijańskiej nauki społecznej, ufundowana przez Rodzinę.

Przyjmowane są prace, które obronione zostały w latach 2014–2016.

Prace należy przysyłać: – jeden egzemplarz wydrukowany na adres KIK 20-060 Lublin, ul. Rayskiego 3, drugi w formie elektronicznej na adres KIK (prace@kik.lublin.pl) do końca kwietnia 2017 r.

Uroczystość wręczenia nagrody w wysokości 5 tys. zł nastąpi 11 listopada 2017 r. w siedzibie Klubu Inteligencji Katolickiej w Lublinie.



■ wybrali jako miejsce azylu religijnego Polskę, jak np. poeta Johannes Heermann (1585–1647), który porzucił urząd pastora w Chobieni koło Głogowa i przeniósł się do wielkopolskiego Leszna.

Ci, którzy pozostali, trwali w wierze, modląc się z braku świątyni pod gołym niebem w ustronnych miejscach. Wyjątkowe przywiązanie do swej wiary wykazali ewangelicy na ziemi cieszyńskiej, czego echem jest stare polskie przysłowie: „Twardy jak Luter spod Cieszyna”.

Dopiero pokój westfalski w 1648 r. zawiera postanowienie zgody cesarza na budowę trzech tzw. Kościołów Pokoju na Dolnym Śląsku – w Głogowie, Jaworze i Świdnicy.

Do ich budowy można było użyć tylko drewna i gliny, ale ewangelicy zamienili je w arcydzieła sztuki ciesielskiej. Głogowski Kościół Pokoju spłonął już w XVIII w., ale świątynie w Jaworze i Świdnicy przetrwały do dziś i są jednymi z najcenniejszych zabytków Śląska.

59 lat później, pod wpływem nacisku króla Szwedów Karola XII, uznającego się za protektora luteranów, cesarz austriacki Józef I wydał zgodę na budowę kolejnych sześciu tzw. Kościołów Łaski m.in. w Jeleniej Górze, Cieszynie i Koźuchowie oraz zwrot protestantom 121 świątyni.

W 1740 r. Śląsk zajął Fryderyk II pruski, a ewangelicy witali jego wojska z entuzjazmem, niczym wyzwolicieli. Role się zmieniły. Teraz to za ewangelikami stoi pruskie państwo, a katolicy muszą się nieco posunąć w pozycji społecznej. W XIX w. stosunek ewangelików do katolików na Śląsku ma się jak dwa do jednego.

Autorzy wystawy podkreślają, że katolicy zachowali wolność wyznania, ale omijają delikatny temat wpływu państwa pruskiego na Kościół ewangelicki w kierunku przerabiania Ślązaków na wzorowych, niemieckojęzycznych poddanych monarchii Hohenzollernów. Proces ten nasilił się w czasie polskiego odrodzenia narodowego na Górnym Śląsku w latach 1870–1918 i będzie przedmiotem konfliktów w okresie międzywojennym. Wystawa omija ten temat.

Niewiele też z wystawy dowiadujemy się o procesie uwiedzenia przez NSDAP dużej części ewangelików w ramach budowania lojalnego wobec Hitlera tzw. Kościoła Rzeszy. Więcej uwagi ekspozycja poświęca bohaterom opozycyjnego wobec reżimu Kościoła Wyznającego, na czele z urodzo-

nym we Wrocławiu pastorem Dietrichem Bonhoefferem czy pastorem Axelem Sommerem. Koniec II wojny światowej oznacza gwałtowną zmianę stosunków religijnych na Śląsku. Zaludnione Polakami ziemie między Odrą a Nysą stają się w większości katolickie. Tysiące świątyni protestanckich przejmują katolicy. Wiele pamiątek po śląskiej reformacji zostaje zniszczonych z racji postrzegania ich jako „śladów niemieczyny”. Polskich protestantów jest niewielu – pochodzą głównie z ziemi cieszyńskiej lub z warszawskich rodzin ewangelickich. Im więcej czasu mija od wojennego kataklizmu, tym proces pojednania staje się coraz bardziej intensywny. Trudniejszy od dialogu polskich i niemieckich biskupów, bo pozbawiony po polskiej stronie silnego partnera. Symbolem zablźniania się dawnych ran są dwa zdjęcia wieńczące wystawę. Pierwsze ukazuje nabożeństwo w 1998 r. z okazji 350. rocznicy pokoju westfalskiego, gdy niemiecki biskup ewangelicki śląskich górnych Łużyc Klaus Wollenweber udzielił komunii polskiemu ewangelikowi – premierowi Jerzemu Buzkowi. I drugie – z uroczystości 28 czerwca 2008 r., gdy do Kościoła Pokoju w Jaworze powróciły naczynia liturgiczne zabrane po wojnie przez opuszczających to miasto niemieckich luteranów.

NASZE ZANIECHANIA I CUDZA AKTYWNOŚĆ

Dlaczego wystawa o reformacji na Śląsku przybyła do Polski właśnie z Görlitz?

To miasto i przyległe ziemie to jedyny skrawek przedwojennej Provinz Schlesien, jaki znalazł się po postanowieniach poczdamskich w Niemczech.

Po 1990 r. land Saksonia przychylił się do petycji śląskich wypędzonych i stworzył w Görlitz Muzeum Śląskie. Jak wyjaśnia strona muzeum: „Przez wiele stuleci Śląsk był częścią niemieckiego obszaru językowego i kulturowego. Dzisiaj kraj ten należy do Polski, a jego kresy leżą w Czechach i Niemczech. Görlitz jest największym miastem części niemieckiej. W 1996 r. Republika Federalna Niemiec, Wolne Państwo Saksonia, miasto Görlitz oraz Ziomekstwo

Ewangelicki podręcznik dla Niemców i Polaków
Paulusa Glodiusa FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Śląska założyły fundację, aby utworzyć tutaj muzeum Śląska”.

Trzeba zaznaczyć, że muzeum starannie unika podstaw do zarzutów o rewanżyzm i dba o współpracę z muzeami polskimi.

A skoro w tym roku posażne Niemieckie Forum Europy Środkowej i Wschodniej stworzyło program wystaw o tradycji reformacji w krajach Europy – Muzeum Śląskie skorzystało z okazji i stworzyło wystawę o nauce Lutra na Śląsku.

Nic dziwnego, że z takiej „gotowej okazji” skorzystała diecezja wrocławska polskiego Kościoła ewangelickiego. Sama byłaby zbyt słaba na podobną inicjatywę – cała wrocławska diecezja liczy, według danych z 2015 r., jedynie 2442 osoby.

Dlaczego jednak pomysł własnej wystawy nie powstał w środowisku nieporównywanie liczejszych diecezji cieszyńskiej i katowickiej, liczących razem ponad 49 tys. wiernych?

Jak już pisałem, wystawa w Görlitz jest ciekawa, fachowa i niekonfrontacyjna, ale nie zmienia to faktu, że oparta na niemieckim punkcie widzenia na historię Śląska. A co z dziedzictwem polskiej reformacji – od kalwińskich Radziwiłłów poprzez wspomnianego już Jana Łaskiego, wkład polskich ewangelików w dorobek nauki – np. Samuela Lindego – do postaci śląskiego pastora Karola Michejdy czy pastora Juliusza Burschego, zamordowanego za wierność Rzeczypospolitej w obozie w Sachsenhausen?

No cóż, 500-lecie wystąpienia Lutra nie budzi w Polsce specjalnych emocji, a polscy ewangelicy nie są liczni. Jednak wystawa o reformacji na Śląsku – ciekawa i godna zobaczenia – to przypomnienie, że gdy sami nie potrafimy opowiedzieć o jakimś elemencie naszej przeszłości, zrobą to za nas inni.

Po ekspozycji w Świdnicy plansze wystawy trafią w maju do polskokatolickiego Kościoła św. Marii Magdaleny we Wrocławiu, następnie do kościoła ewangelickiego w Legnicy, potem do Biblioteki Śląskiej w Katowicach i wreszcie do kościoła protestanckiego w Zielonej Górze.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawę „500 lat protestantyzmu na Śląsku” można oglądać od 31 marca do 10 maja 2017 r. w ewangelickim Kościele Pokoju w Świdnicy. Szczegóły na: www.kosciolpokoju.pl.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Opowieść o Litwinie

Gdybym musiał udać się na bezludną wyspę i mógł zabrać ze sobą tylko kilka książek, bez wątpienia znalazłyby się wśród nich „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego” i „Wojna i sezon”. Choć czytałem te książki dziesiątki razy, to cały czas pozostają pod ich urokiem.

Nikt nie potrafił tak wspaniale pisać o Wielkim Księstwie Litewskim jak Michał K. Pawlikowski. Z tak wielką miłością i czułością wobec ziemi ojczystej, a jednocześnie bez – będącego zmorą naszego piśmiennictwa – patriotycznego zadęcia i patosu. Bez fałszu.

Jako wielki miłośnik twórczości Pawlikowskiego z wielkim zainteresowaniem sięgnąłem po książkę Piotra Rambowicza „Wobec gawędy. O emigracyjnej twórczości Michała K. Pawlikowskiego”. Praca ta składa się z dwóch części: rysu biograficznego oraz szkicu o książkach Pawlikowskiego i ich recepcji. Pierwsza część jest niezwykle ciekawa, druga – nieco mniej porywająca.

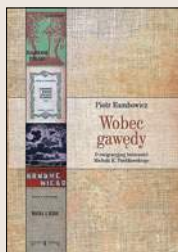
Pawlikowski był wiecznym imigrantem. Pochodził bowiem z Mińszczyzny, a więc tej części Wielkiego Księstwa, które w 1920 r. zostało przez Polskę

oddane bolszewikom. Jego ziemia ojczysta znalazła się pod okupacją najgorszego wroga. Trudno więc się dziwić, że był zdeklarowanym przeciwnikiem traktatu ryskiego, a w II RP nie czuł się jak w domu.

Nie przewidział jednak, że po 20-letniej „pieriedysyce” bolszewicy zmuszą go do dalszej ucieczki. Tym razem do dalekiej Kalifornii. Tak daleko od piaszczystych traktów, puszczy, kościołów, cerkwi i synagog ukochanej Litwy! Tak daleko od rodzinnego Pućkowa.

Wśród polskich emigrantów nie mógł znaleźć miejsca dla siebie. Emigracja, choć skłócona personalnie, składała się bowiem z patriotów standaryzowanych. Pawlikowski był zaś typem XIX-wiecznym, czyli wielkim indywidualistą. Zaciekle przeciwnikiem nacjonalizmu i kolektywnego myślenia.

Piotr Rambowicz pisze o Pawlikowskim z dużym wyczuciem. Rozumie niuansy biografii znakomitego pisarza i jego życiowe dylematy. „Wobec gawędy” to pozycja obowiązkowa dla wszystkich miłośników twórczości autora „Wojny i sezonu” i tych, którzy z sentymentem odnoszą się do tradycji dawnej Litwy. ©



★★★★★
PIOTR RAMBOWICZ
„WOBEK GAWĘDY. O EMIGRACYJNEJ TWÓRCZOŚCI MICHAŁA K. PAWLIKOWSKIEGO”
LTW



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Czerwony dwór i jego rytuały

Za jednego z najbardziej inteligentnych przedstawicieli władz PRL uchodził Józef Tejchma, wicepremier oraz minister kultury i sztuki w czasach „propagandy sukcesu”. Piastował też stanowisko ministra oświaty i wychowania, z którego został odwołany 2 kwietnia 1980 r. Jego wspomnienia wydane po upadku

w objęciach Breżniewa. Kliszko informował kiedyś, że on, jako jedyny, został ucałowany przez Breżniewa na naradzie w Moskwie”.

Członkowie komunistycznego dworu potrafili „czytać” informacje z sytuacji pozornie bez większego znaczenia, chociażby z tego, kto kogo wita i żegna na lotnisku.

„Przychodzą ci, którzy muszą, i ci, którzy chcą się pokazać, przypomnieć, podkreślić swoje przywiązanie do członka kierownictwa. Oznacza to, że na lotnisku można się częściowo zorientować w różnych sympatiach, wpływach, układach ludzi, na których się liczy i którzy chcą, aby na nich liczono”.

Niezwykle ważne były także warunki letniego wypoczynku w ośrodkach rządowych. Panowała tam ścisła hierarchia, a największy luksus przypadał aktualnym ulubieńcom władz. Gorsza kwatery niż w poprzednim sezonie oznaczała niełaskę, dlatego bez problemu lokalizowano upadające gwiazdy i nowych wybrańców fortuny. Przynależność do najwyższych elit PRL oznaczała bowiem ogromne przywileje i wielu działaczy godziło się ze wszystkimi niedogodnościami, aby tylko zachować swoje stanowiska. Nawet z ograniczeniami tak bardzo ważnymi dla każdego mężczyzny.

„Zobaczyłem się w Aninie – zanotował Tejchma – z byłym ministrem zdrowia, Ś. [Mariannem Śliwińskim – przyp. S.K.]. Oświadczając: jak opuściłem rząd, to mi, k..., znowu staję! Stałem się normalnym człowiekiem [...]”. ©

Ceremonie powitalne „bratnich partii” stały się symbolem epoki

Polski Ludowej są kapitalnym źródłem nie tylko do analizy wydarzeń politycznych, lecz także do obserwacji obyczajów ówczesnych władców kraju. Komuniści wprowadzili bowiem własny ceremonial wzorowany na rozwiązaniach sowieckich, a zatem zasady powitań i pożegnań delegacji partyjnych, oficjalnych wystąpień, a nawet wypoczynku wakacyjnego. Osoby pamiętające czasy PRL zapewne nigdy nie zapomną fotosu przedstawiającego namiętny pocałunek Breżniewa z Honeckerem, a ceremonie powitalne przedstawicieli „bratnich partii” stały się symbolem epoki na równi z długimi jesienkami i czapkami.

„Najobrzydliwiej całują Mongołowie – narzekał Tejchma. – Bardzo się ślinią. Najdyskretniej całują Francuzi. Nie zauważyłem nigdy, by Gomulka całował z przekonaniem. Śmieszny szczególnie wydawał mi się Cyrankiewicz



Szalone Słońce Narodu



Jacek Przybylski

Wiosną na Półwyspie Koreańskim często pachnie wojną. Tym razem naprzeciw bezwzględne dyktatora Kim Dzong Una stanął jednak bezkompromisowy miliarder Donald Trump. Nowy prezydent USA ma zaś dość nieudanej polityki dyplomacji i kolejnych sankcji

Najpierw krótki kadr ze zbliżeniem na jednostki Stanów Zjednoczonych, największego wroga komunistycznego reżimu. A zaraz potem migawki z północnokoreańskich wojsk raketowych. Zdjęciom towarzyszy coraz bardziej egzaltowany głos narratorki, która z radością ogłasza, że komunistyczny reżim Kim Dzong Una obróci w pył Stany Zjednoczone, jeśli te odważą się kiedykolwiek zaatakować Koreę Północną. Najnowszy propagandowy spot Korei Północnej kończy się zniszczeniem amerykańskiego lotniskowca oraz bombowca B-1 Lancer. I chociaż propagandowa produkcja wygląda tak przaśnie, że niemal komicznie, to nikomu już nie jest do śmiechu. Agencja prasowa KCNA przyznała bowiem na początku marca, że północnokoreańskie wojska

przećwiczyły już ataki na położone w Japonii bazy wojskowe „imperialistycznego agresora”. W ten sposób wytłumaczono incydent, podczas którego Koreańczycy z Północy wystrzelili cztery pociski, które wylądowały na obszarze wyłącznej strefy ekonomicznej Japonii.

A to niejedyny powód do niepokoju. W połowie marca zachwycony Kim Dzong Un osobiście chwali się „historycznym przełomem”. Pod czujnym okiem tyra na przeprowadzono wówczas udany test silnika raketowego o dużej mocy. Teoretycznie Korea Północna potrzebuje tej technologii do wynoszenia na orbitę satelitów meteorologicznych. Amerykańscy eksperci obawiają się jednak, że nowoczesne silniki zostaną zamontowane w raketach balistycznych, które mogą uderzyć w cele na Hawajach lub na Alasce.

Półwysep Koreański znów stanął więc na krawędzi wojny nuklearnej.

Kim Dzong Un zdaje się czasem zapominać, że nie jest jednak jedynym przywódcą z potężną armią i dostępem do broni atomowej. Za Donaldem Trumpem również każdego dnia niczym cień grzecznie podąża oficer z legendarną nuklearną walizką. A nowy amerykański prezydent bardzo nie lubi, gdy ktoś mu grozi.

– Chciałbym jasno powiedzieć, że polityka strategicznej cierpliwości już się skończyła. Analizujemy nową serię środków dyplomatycznych i bezpieczeństwa – oznajmił więc w Seulu szef dyplomacji USA Rex Tillerson, nie wykluczając prewencyjnego zbrojnego uderzenia na komunistyczny reżim. Jednocześnie Amerykanie, mimo sprzeciwu Chin, zaczęli przerzucanie do Korei Południo-



FOT. STR. AFP PHOTO/EAST NEWS

Damme. Gdy więc w 2011 r. w wieku 69 lat zmarł jego ojciec Kim Dzong Il – „Drogi Przywódca”, groźny tyran kreowany przez własną propagandę na półboga i nazywany oficjalnie Słońcem Korei Północnej – wielu zachodnich komentatorów, a także samych Koreańczyków liczyło na to, że „Wielki Następca”, jak szybko nazwali go usłudźni propagandziści, okaże się liberalnym reformatorem.

Nic z tego. Chociaż trzeci syn Kim Dzong Ila gościł u siebie m.in. amerykańskiego koszykarza Dennisa Rodmana, to poza zdjęciami z uśmiechniętymi pożytecznymi idiotami młody dyktator nie odbiega niestety daleko od krewnych tyranów: ojca i dziadka. Kilka pierwszych lat jego rządów sprawiło nawet, że wielu komentatorów uznaje, iż nie tylko nie jest łagodniejszy, lecz także na arenie międzynarodowej przyjął nawet ostrzejszy kurs niż jego ojciec. Jako „Wybitny Przywódca Partii, Armii i Narodu” sprawił więc, że świat już kilka razy wstrzymywał oddech. Ignorując międzynarodowe zakazy i sankcje, tylko w zeszłym roku przeprowadził dwie próby nuklearne oraz ponad 20 prób rakietowych.

Tymczasem przez lata Kim Dzong Il, myśląc o swoim następcy, wcale nie stawiał na Kim Dzong Una. „Drogi Przywódca” chciał bowiem, by jego miejsce zajął syn pierworodny. Kim Dzong Nam uczył się w szkole francuskiej w Moskwie i studiował informatykę w Szwajcarii. Już w wieku 24 lat został generałem i szefem wywiadu. Trzy lata później zajął kluczowe stanowisko w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, co było jasnym sygnałem, że to właśnie on szykowany jest do objęcia komunistycznego tronu. Kim Dzong Nam uwielbiał jednak korzystać z życia. Podczas międzynarodowych podróży koreański playboy często odwiedzał więc kasyna, drogie bary i domy publiczne. Ostatecznie pogryził swoje szanse na bycie liderem, gdy w 2001 r. wpadł na lotnisku w Tokio, próbując wjechać do Japonii z podrobionym dominikańskim paszportem na nazwisko Pang Xiong („tłusty miś”). Jak później tłumaczył, wybierał się do tokijskiego Disneylandu. Wyglup zakończył się dyplomatycznym skandalem i wydaleniem marnotrawnego syna do Makau, chińskiej jaskini hazardu.

Oczekiwanie ojca zawiódł też średni syn Kim Dzong Ila: Dzong Czul. Zdaniem „Ukochanego Przywódcy” jak na tyrała był zbyt zniewieściały. Ostatecznie swoje szanse pogrzebał, wybierając się z dziew-

czyną na koncert Erica Claptona. Wstępne namaszczenie na przywódcę najmłodszego syna nastąpiło w 2010 r. Ojciec mianował go wówczas czterogwiazdkowym generałem oraz członkiem komitetu centralnego. W lipcu 2012 r. Kim Dzong Un został zaś marszałkiem i od tego czasu sprawuje niepodzielną władzę nad liczącą ok. 700 tys. żołnierzy armią. Będący nadzieją Zachodu Kim Dzong Un szybko wypowiedział wszystkie pakt o nieagresji i porozumienia o zawieszeniu broni, jakie Korea Północna zawarła z Koreą Południową w roku 1953.

BÓG UZALEŻNIONY OD LUKSUSU

Podobnie jak z ojca i dziadka z niego również propaganda szybko uczyniła półboga. Jak informował „The Daily Telegraph”, północnokoreańscy nauczyciele opowiadają więc uczniom, że ich przywódca był cudownym dzieckiem, który w wieku trzech lat potrafił już jeździć samochodem, a jako dziewięciolatek pokonał w regatach dyrektora zagranicznej spółki jachtowej. Tradycje rodzinne kultu jednostki przekraczającego granice śmieszności zostały więc zachowane: Kim Dzong Il według oficjalnej propagandy trzy tygodnie po urodzeniu potrafił już chodzić, a jako ośmiotygodniowy brzdąc bez trudu rozmawiał.

Oczywiście dojrzały przywódca jest według propagandzistów ekspertem w wielu różnych dziedzinach, dlatego tak chętnie dzieli się z narodem swoimi wytycznymi. Kim Dzong Un w kraju, w którym miliony cierpią głód, kazał więc np. wybudować luksusowy kurort narciarski. Dzięki temu Kim Dzong Un nie musi już latać na narty do Szwajcarii. Podobnie jak dziadek i ojciec młody dyktator jest bowiem niemal uzależniony od wytwornego życia. Dzięki zdjęciom satelitarnym wiadomo, że komunistyczny tyran ma do dyspozycji olbrzymi statek, wyposażony m.in. w basen i zjeżdżalnię. Zagranicznych gości – m.in. Dennisa Rodmana – dyktator zaprasza też na wart ok. 8 mln dol. luksusowy jacht, którego wnętrza zaprojektował włoski dom mody Fendi. Dyktator ma też do dyspozycji prywatny odrzutowiec, kolekcję stu luksusowych samochodów, 17 pałaców, a także prywatne pola golfowe oraz własne kino na tysiąc miejsc. W wolnym czasie może zaś podziwiać swoją kolekcję zegarków, wartą według „The Daily Telegraph” ponad 8 mln dol.

Kim Dzong Un nie gustuje też w tanich lokalnych przysmakach ani w alkoholach. ■

wej elementów systemu antyrakietowego THAAD.

Reżim w Pjongjangu odpowiedział na to w swoim stylu: północnokoreańscy dyplomaci oświadczyli, że odpowiedzialność za ewentualną wojnę nuklearną będą ponosić Amerykanie, i zapowiedzieli, iż muszą „w samoobronie” kontynuować swój program atomowy.

ZAWIEDZONE NADZIEJE

Wnuk Kim Ir Sena i syn Kim Dzong Ila mówi płynnie po angielsku, francusku i niemiecku. Pod fałszywym nazwiskiem uczęszczał do międzynarodowej szkoły w Bernie. Jako nastolatek jeździł też do Disneylandu w Paryżu, szusował po alpejskich stokach i uwielbiał zachodnie gwiazdy, takie jak Michael Jackson, Michael Jordan czy Jean-Claude Van

Według amerykańskich mediów na prestiżowe whisky i koniaki dla siebie oraz swojej świty wydaje miliony dolarów rocznie. Jego stoły są też ponoć zastawione importowanym z Iranu kawiozem, najdroższą wołowiną na świecie z japońskiego miasta Kobe oraz przywożoną specjalnie z Danii wieprzowiną.

Północnokoreański tyran ma też w sobie ponoć coś z romantyka. Nie oszczędza więc pieniędzy na różnego rodzaju prezenty dla swej małżonki Ri Sol Dzū. W tym przypadku również przemyka oko na to, że torebki Christiana Diora to przecież przykład konsumpcjonizmu zgniłego, imperialnego Zachodu.

Kim Dzong Un jednocześnie nie znosi żadnej krytyki. O tym, jak bezwzględny jest człowiekiem, może świadczyć choćby brutalny sposób, w jaki rozprawia się z rywalami i krytykami, nawet wśród własnej rodziny. W 2013 r. dyktator nakazał zabicie swego niezwykle wpływowego wuja, męża rodzonej siostry ojca, który wraz z małżonką podczas choroby Kim Dzong Ila przejął stery rządów i zyskał status osoby numer dwa w komunistycznym państwie.

Dzang Song Tek został oficjalnie oskarżony o zdradę i korupcję. Po trwającym godzinę procesie „nikczemnego człowieka, który jest gorszy niż pies” – jak przedstawiała go oficjalna propaganda – zapadł wyrok: kara śmierci. Dzang Song Tek nie został jednak otruty, powieszony lub postawiony przed plutonem egzekucyjnym. Zamiast tego reżimowi kaci najpierw kazali rozebrać się skazanemu do naga, a następnie wrzucili go i jego pięciu współpracowników do klatki, gdzie było zamknięte stado 120 wygłodniałych psów. Przebieg okrutnej egzekucji Kim Dzong Un obserwował na własne oczy. Brutalnej zbrodni przyglądali się również brat dyktatora – Kim Dzong Czol – oraz kilkuset urzędników. Według informacji dziennika „Wen Wei Po” okrutny spektakl zakończono dopiero, gdy wuj dyktatora i jego asystenci zostali już kompletnie zjedzeni.

ZBRODNI W RODZINIE

To jednak niejedyne morderstwo w rodzinie, zlecone przez młodego tyrana. Eksperci przypuszczają, że wielu krewnych dyktatora trafiło już do obozów pracy. W lutym obecnego roku świat obiegła zaś wiadomość o zabójstwie brata północnokoreańskiego satrapy. Sam Kim Dzong Un miał wysłać dwie morderczynie

na lotnisko w Kuala Lumpur. Misja kobiet została zakończona sukcesem. Kim Dzong Nam zmarł w drodze do szpitala. Jak się potem okazało, zabójczynie roztarły mężczyźnie na twarzy gaz VX – bezwonną substancję klasyfikowaną przez ONZ jako broń masowego rażenia, jeszcze bardziej trującą wersją sarinu i przez to uznawaną za jeden z najbardziej niebezpiecznych gazów bojowych.

Malezyjskie władze zarzut morderstwa postawiły dwóm kobietom: 25-letniej Indonezyjce oraz 29-letniej Wietnamce. Obie tłumaczyły policjantom, że były przekonane, iż biorą udział w telewizyjnym żarcie typu ukryta kamera, który miał polegać na roztarciu na twarzy mężczyzny wskazanego przez „prezentera” olejku dla dzieci. Śledczy nie dają jednak wiary temu tłumaczeniu. Zdaniem szefa lokalnej policji obie kobiety musiały bowiem zostać wcześniej przeszkolone, aby wiedzieć, jak prawidłowo podać truciznę. Za malezyjskimi krętami przebywa również jedna z osób, która miała dostarczyć kobietom gaz VX. Za kilkoma Koreańczykami z Północy rozesłano zaś listy gończe.

Zabójstwo Kim Dzong Nama to nie pierwszy mord zlecony przez dyktatora. Wcześniej kazał rzucić własnego wuja wygłodniałym psom

Tajemnicze zabójstwo dokonane w stylu szpiegów z czasów zimnej wojny sprawiło, że natychmiast w mediach pojawiło się wiele teorii spiskowych. Czym bowiem najstarszy brat tyrana podpadł aż tak bardzo, że Kim Dzong Un wysłał za nim zawodowych zabójców? Mieszkający głównie w Chinach pierworodny syn „Drogiemu Przywódcy” od kilkunastu lat nie był już przecież dla niego rywalem. Nie zgłaszał również żadnych pretensji do komunistycznego tronu. Karmiony teoriami spiskowymi północnokoreański dyktator mógł się jednak obawiać, że jeśli dojdzie do przewrotu, to Kim Dzong Nam będzie idealnym kandydatem, aby choćby na krótki czas przejąć władzę w kraju.

Innym motywem zbrodni mogła być po prostu osobista zemsta. Gdy trzeci syn Kim Dzong Ila zostawał przywódcą Korei Północnej, jego mieszkający głównie w Chinach przyrodni brat pozwolił sobie

na publiczną krytykę tej decyzji. Taką tezę uprawdopodobnia fakt, że pierwszą próbę zlikwidowania Kim Dzong Nama północnokoreańscy zabójcy podjęli już w 2012 r. Tym razem podjęto ją zapewne również dlatego, że będący pod coraz większą presją międzynarodową młody tyran próbuje umocnić swoją władzę, pokazując swym potencjalnym krytykom, iż jest bezwzględny i bezlitosny.

TEORIE SPISKOWE

Likwidując brata, Kim Dzong Un teoretycznie sporo jednak zaryzykował. Zabicie Kim Dzong Nama – będącego pod swoistą chińską ochroną – zostało bowiem przez władze w Pekinie potraktowane co najmniej jak solidny policzek wymierzony Chinom przez Koreę Północną. Jedyny realny sojusznik Pjongjangu wyraźnie pokazał zresztą swoje zadowolenie, podejmując po zabójstwie decyzję o wstrzymaniu importu północnokoreańskiego węgla. To poważny cios dla reżimu w Pjongjangu: węgiel stanowi bowiem aż jedną trzecią eksportu tego kraju.

Brad Glosserman z amerykańskiego Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych (CSIS) ma jednak odmienną teorię. Jak powiedział portalowi News.com.au, prawdziwy scenariusz mógł wyglądać zupełnie inaczej. Pekin mógł po cichu wydać zgodę na zabicie znajdującego się pod ochroną Chin Kim Dzong Nama jako swego rodzaju „znak dobrej woli” i dowód na to, że choć znajdujące się pod międzynarodową presją chińskie władze zgadzają się na nakładanie na Koreę Północną kolejnych sankcji, to tak naprawdę nie planują zmiany reżimu.

Jeśli to prawda, to znalezienie sposobu na skuteczne międzynarodowe naciski na Kim Dzong Una będą jeszcze trudniejsze, niż mogłoby się wydawać. Kłopot w tym, że – jak obrazowo określił obecny konflikt na linii Pjongjang – Waszyngton szef chińskiej dyplomacji Wang Yi: „Obie strony są niczym przyspieszające pociągi, jadące naprzeciw siebie, w których nikt nie chce ustąpić drugiej stronie”. Mimo to militarne rozwiązanie konfliktu wydaje się najgorszym z możliwych rozwiązań. Arsenał jądrowy Północy jest ukryty w tak wielu miejscach, że zniszczenie go od razu za pierwszym atakiem wydaje się mało realne. Kim Dzong Un nie będzie się zaś wahał przed odpowiedzią z użyciem broni masowego rażenia.



PIENIĄDZE DLA KAŻDEGO

Włosi to mają dobrze. Nie dość, że pracują krócej od Polaków, to jeszcze od dawna w środku dnia mogą sobie pozwolić na sjęstę. I gdy u nas po 27 latach po upadku komunizmu pierwszy rząd skonstruował wielki program społeczny „Rodzina 500+”, Włochom ich partie obiecują już dużo, dużo więcej. Ruch Pięciu Gwiazd, na którego czele stoi komik Beppe Grillo, jest obecnie najpopularniejszym ugrupowaniem we Włoszech i w sondażach notuje aż 32-procentowe poparcie. Jego obietnice należy więc brać poważnie. A włoscy anty-systemowcy obiecali właśnie, że nie trzeba będzie się martwić, gdy nie będzie się miało pracy, bo i tak będzie się dostawać pensję. Każdy bezrobotny ma dostawać tzw. pensję obywatelską. I nie marne 500 zł, ale całe 2 tys. euro miesięcznie – czyli w przeliczeniu ok. 8 tys. zł. Komentatorzy twierdzą, że gdyby Ruch Pięciu Gwiazd wygrał przyszłoroczne wybory, to Włochom grozi załamanie finansów publicznych.

SOCJALIZM W PIEKARNI

Czerech piekarzy w Wenezueli trafiło do aresztu. Dwóch – bo używali zbyt dużo mąki z pszenicy do produkcji słodkiego chleba i rogalików wypełnianych szynką, a dwóch kolejnych – bo piekło czekoladowe ciastka z mąki z pszenicy, której

minął termin przydatności. W dodatku jedną z piekarni państwo przejęło na trzy miesiące w zarządzanie. Socjalistyczny rząd Wenezueli ogłosił bowiem, że 90 proc. mąki pszenicznej – którą ten kraj importuje – musi być w piekarniach obowiązkowo przeznaczane na wypiek chleba. Piekarze nieśmiało przypominają, że

to polityka rządu doprowadziła do niedoborów pszenicy, ale z pewnością się mylą – socjaliści przecież wiedzą lepiej.

PAPIER NA TWARZ

Turyści, którzy muszą skorzystać z toalety usytuowanej przy Świątyni Nieba w Pekinie, otrzymywać będą ściśle odmierzony kawałek papieru toaletowego. 70-centymetrowy odcinek zostanie wydany dopiero, gdy urządzenie zeskanuje twarz człowieka w życiowej potrzebie. Trzeba będzie przez trzy sekundy patrzeć w ekran skanera (dodatkowa trudność dla tych przestępujących już z nogi na nogę). Kolejny kawałek papieru można będzie dostać po ponownym skanie, na który będzie trzeba poczekać 9 minut. W ten sposób Chińczycy chcą zadbać o ekologię. Według oficjalnych komunikatów, gdy papier był za darmo, ludzie pobierali jego duże ilości i wynosili w torbach.

ZWIERZĘTA PO PRZEJŚCIACH

Nie dość, że zwierzęta w ogrodach zoologicznych zamiast żyć w naturze, siedzą w klatkach, to jeszcze mają coraz trudniej. Szop prac z moskiewskiego zoo do pewnego momentu miał nawet lepiej niż zwykle – zgodzono się go wypożyczyć agencji reklamowej, by zagrał w spocie. Okazało się jednak, że grał w filmikach erotycznych, gdzie wałęsał się wśród modelek topless, a czasem nawet zrywał im biustonosze. Zdaniem pracowników zoo młody szop po powrocie do ogrodu przez długi czas był smutny i interesowały go tylko kobiece biusty. Dlatego ogród pozwał agencję reklamową – domaga się usunięcia materiałów wideo z szopem i odszkodowania dla zwierzątka.

O wiele mniej szczęścia miał jeden z flamingów z czeskiego Jihlava Zoo. Jako jedno z nielicznych zwierząt ogrodu przetrwał powódź w praskim ogrodzie zoologicznym w 2002 r., ale nie przetrwał spotkania z dziećmi. Trzej chłopcy (pięć, sześć i osiem lat) najpierw obrzucali go kamieniami i patykami, a potem przeskoczyli przez ogrodzenie i go skopali. Ptak zdechł. Trudno się dziwić, że inne czeskie zoo, w Dvůr Králové, zdecydowało, iż obetnie rogi swoim 18 nosorożcom. Po niedawnym ataku na nosorożca we Francji pracownicy czeskiego ogrodu uznali, że ryzyko ataku ze strony przestępców jest zbyt wielkie. Róg nosorożca na czarnym rynku kosztować może nawet ok. 40 tys. euro. ©



Maciej Pieczyński

„Bogu świeczkę, a diabłu ogarek” – tym przysłowiem można streścić hazardowe gry dyplomatyczne Łukaszenki między Wschodem a Zachodem

Nazwać go „prorosyjskim satrapą” to jakby nie powiedzieć o nim nic. „Białoruskie standardy” to być może najgorsza z możliwych w świecie polityki międzynarodowej inwektyw. Nawet reżim Putina nie doczekał się takiego uwiecznienia we frazeologii. Prezydent Białorusi dba zresztą usilnie o to, by jego nazwisko zapisało się na trwałe nie tylko w historii, lecz także w popkulturze. Być może gdyby nie został satrapą, byłby wziętym publicystą. Zwracającym na siebie uwagę nie tyle ze względu na dalekowzroczność i umiejętność rozumienia rzeczywistości (te zdolności nigdy nie były jego mocną stroną, a obecnie zdaje się być ich w zasadzie pozbawiony), ile z uwagi na rozbijającą szczerą i barwny język, który jest kopalnią przyciągających uwagę, oryginalnych cytatów. Gdy Guido Westerwelle, jeszcze jako szef niemieckiego MSZ, krytykował system panujący na Białorusi, Aleksander Łukaszenko odpowiedział: „Kimkolwiek on jest – lesbijką czy gejem, ten który ostatnio krzyczał o dyktaturze... Kiedy to usłyszałem, to pomyślałem: »Lepiej być dyktatorem niż gejem«, ale Bóg z nim”. Dekadę temu w dość osobliwy sposób przyznał się do fałszowania wyników wyborów prezydenckich... na swoją niekorzyść. „Na Łukaszenkę zagłosowało 93,5 proc. wyborców. Ale powiadają, że to nie jest europejski wskaźnik. Zrobiliśmy więc 86 proc.” – oświadczył ukraińskim dziennikarzom na konferencji prasowej. Raz mówił, że Białoruś tworzy z Rosją „de facto jedno państwo”, innym razem twierdził, że „niepodległość jest święta jak dogmaty chrześcijaństwa”. W 2014 r., gdy Putin upokorzył Ukrainę, „odzyskując Krym” przy aprobacie większości społeczeństwa rosyjskiego, Łukaszenko potępił aneksję półwyspu, zapewniając jednocześnie, że nie pozwoli na analogiczne zajęcie terytorium Białorusi. Bał się powtórzenia obu aktów ukraińskiego scenariusza: zarówno interwencji Kremla,



FOT. MIKHAIL SWELOV/GETTY IMAGES

jak i poprzedzającego tę agresję Majdanu. A jednocześnie umiejętnie wystąpił w roli mediatora między Rosją a Zachodem, ogrywając tym samym i marginalizując polską dyplomację, pretendującą do tej roli. W końcu to „porozumienia mińskie” są jedynym jak dotąd obowiązującym (inna sprawa, jak przestrzegającym) wariantem wyjścia z kryzysu na Ukrainie.

UROK DYKTATORA

W ostatnich miesiącach narastał konflikt Łukaszenki z Kreml. Rosja nie zgodziła się na obniżkę cen gazu sprzedawanego białoruskiej spółce Gazpromu. Białoruskie firmy przestały więc płacić pełne rachunki spółce, która sprawę skierowała do arbitrażu. Moskwa w odwecie o 40 proc. ograniczyła dostawy ropy naftowej do białoruskich rafinerii, tym samym pozbawiając Mińsk głównego źródła

dochodów, jakim jest eksport produktów naftowych. Do tego wszystkiego doszedł spór o lotniczą bazę wojskową, którą Rosjanie chcą wybudować na Białorusi. Łukaszenko jest tej inicjatywie niechętny. Co innego bowiem ścisła zależność polityczna i gospodarcza, a co innego realna obecność na terytorium Białorusi rosyjskich wojsk. Chociaż z drugiej strony armia Putina i tak wkroczy na Białoruś jesienią – w ramach ćwiczeń „Zapad 17”, i zapewne w dużej mierze od lojalności Łukaszenki zależy, czy po zakończeniu manewrów oddziały wrócą za wschodnią granicę. Tak czy inaczej „ostatni dyktator Europy” w obliczu konfliktu z Rosją stał się dla Zachodu potencjalnie atrakcyjnym partnerem. Polska dyplomacja zwróciła się do białoruskiego prezydenta życzliwym tonem, sugerując m.in. wygaszanie niewygodnej dla niego telewizji Biełsat. „Urokowi” satrapy

najwyraźniej uległ marszałek Stanisław Karczewski, mówiąc o Łukaszenko: „To taki ciepły człowiek”.

Okazuje się jednak, że polscy dyplomaci nie potrafili nadażyć za lawirującym między Wschodem a Zachodem przywódcą. „Wszystkich, których wypuściliśmy z więzień, jeśli niczego nie zrozumieli, trzeba zamknąć z powrotem. Jak rodzyńki z ciasta musimy powyciągać tych wszystkich prowokatorów!”, „Możemy oderwać głowy tysiącu, a nawet dwóm tysiącom oszołomów. Jeśli zajdzie potrzeba, to władza będzie brutalna!”, „Majdanu na Białorusi nie będzie, przestańcie o tym myśleć i mówić!” – grzmiał zniecierpliwiony protestami przeciwko tzw. dekretowi o darmozjadach.

WŚCIEKŁA ULICA

W polskich mediach podano informację, jakoby Łukaszenko zawiesił jego wykonanie na rok. Sam prezydent jednak na spotkaniu z pracownikami jednego z przedsiębiorstw stwierdził, że dekret obowiązuje cały czas, a jego już widocznym „pozytywnym skutkiem” jest to, iż „ludzie zaczęli bardziej doceniać swoje miejsca pracy”. Komentarzy są zgodni: protest „darmozjadów” to przełom. Po raz pierwszy bowiem przeciwko Łukaszenko wystąpili nie tylko opozycyjni intelektualiści czy nacjonaliści, lecz także jego własny elektorat: emeryci, bezrobotni, mieszkańcy biedniejszych wschodnich regionów kraju. Dyktator, wcześniej uwielbiany jako dobry „Baśka”, może surowy, ale troskliwy „ojciec narodu”, tym razem wkurzył zwykłych ludzi.

– Widziałam już wiele protestów. Zazwyczaj nasi dziennikarze musieli przepytwać ok. kilkunastu osób, żeby ktoś odważył się wypowiedzieć. Teraz jest odwrotnie: ustawiają się kolejki do kamery, każdy chce wykrzyczeć swoją wściekłość na władzę – mówi Agnieszka Romaszewska-Guzy, dyrektor telewizji Biełsat. – I nie chodzi tylko „o kiełbasę”. Bo gdy pytamy: „A co, jeśli zniosą dekret o darmozjadach?”, słyszymy w odpowiedzi: „To nic nie da. Łukaszenko musi odejść!”. Ludzie zaczynają rozumieć, że ta władza ich poniża. Białorusini, w odróżnieniu od emocjonalnych Ukraińców, są bardzo cierpliwym narodem, dlatego o Majdan nie będzie tak łatwo. Jednak powoli już tracą tę cierpliwość – dodaje.

– Ten dekret to kropka, która przelała czarę goryczy, ale za wcześniej mówić, że to początek końca Łukaszenki – ocenia Ryhor Astapenia, białoruski politolog. – W odróżnieniu od Ukrainy Białoruś jest państwem

stabilnym. Służby mundurowe są wierne Łukaszenko – dodaje. Ta stabilność zabezpiecza reżim nie tylko przed rewolucją od wewnątrz, lecz także przed ewentualną inwazją rosyjską. Gdyby Putin zdecydował się na rozwiązanie siłowe, białoruskie oddziały nie ustępowałyby masowo przed wrogiem, jak to miało miejsce w przypadku Krymu. – Łukaszenko wcale nie jest tak prorosyjski, jak go przedstawiają na Zachodzie. Chce prowadzić samodzielną politykę, bo chce mieć swoje własne carstwo, a nie być poddanym Moskwy. Kluczowe decyzje podejmuje raczej w interesie Białorusi niż Rosji – mówi Astapenia.

Agnieszka Romaszewska-Guzy, tłumacząc skalę wściekłości, jaką musiał wywołać dekret Łukaszenki, stwierdza, że podobne konsekwencje mógłby mieć podatek od bezrobotnych, wprowadzony w Wałbrzychu w sytuacji ekonomicznej końca lat 90. Skąd tak nieodpowiedzialny strzał w stopę? Astapenia tłumaczy to „ograniczonymi możliwościami intelektualnymi dyktatora”. Nie mogąc zrozumieć skali protestu dotąd uwielbiających go, pokornych obywateli, Łukaszenko od początku szukał zewnętrznych źródeł

Wiele wskazuje na to, że Łukaszenko, zbliżając się do Zachodu, chciał tym razem podbić stawkę w negocjacjach z Rosją

inspiracji. I także w tym aspekcie lawiruje między Wschodem a Zachodem. Początkowo stwierdził, że to rosyjskie służby specjalne go dezinformują, prowokując do podejmowania złych decyzji. Od zeszłego tygodnia już jednak coraz głośniejsze oskarża Zachód. Zatrzymano „kilkudziesięciu bojowników”, którzy jakoby „przygotowywali prowokacje z użyciem broni”. Mieli być oni trenowani nie tylko na Białorusi, lecz także w Polsce i na Litwie, skąd – zdaniem dyktatora – płyną na Białoruś pieniądze na „działalność wywrotową”. Wcześniej rzekomo pogranicznicy udaremnili próbę przerzutu broni z Ukrainy.

WSZYSTKIM DOGODZIĆ

Wydawałoby się, że to koniec odwilży w stosunkach z Zachodem. Szczególnie że zatrzymanych zostało kilku współpracowników Biełsatu. Jednak z drugiej strony

Łukaszenko zaprosił obserwatorów NATO na manewry „Zapad 17”. Dobrą ilustracją kontredansu, który wykonuje dyktator, było to, że niedawno jednego dnia w Mińsku odbył się szczyt państw Partnerstwa Wschodniego i Grupy Wyszehradzkiej, a tego samego dnia służby zatrzymały kilkudziesięciu demonstrantów. – To jest typowa retoryka Łukaszenki: mówi to, co każdy chce usłyszeć. Do prozachodnio nastawionych Białorusinów adresuje przekaz o rosyjskich prowokacjach, zaś prorosyjską część społeczeństwa zapewnia, że wszystkiemu winien jest Zachód – mówi Aleksander Łahwiniec, białoruski dysydent, publicysta i politolog.

Wiele wskazuje na to, że Łukaszenko, zbliżając się do Zachodu, chciał tym razem podbić stawkę w negocjacjach z Rosją. – Nie chodzi o symbole, ale o realne korzyści: rosyjskie inwestycje, pieniądze – uważa dyrektor Biełsatu. Niezależnie od ryzykownego dekretu, który wzburzył zwykłych Białorusinów, agonia ostatniego dyktatora Europy będzie zapewne długa. Opozycja wskoczyła na falę protestów, ale wciąż nie osiągnęła „masy krytycznej”, pozwalającej obalić Łukaszenkę. I jeszcze długo jej nie osiągnie. Majdan w Mińsku to, zdaniem ekspertów, na razie abstrakcja. Nie wywoła go prozachodnia opozycja, bo jest za słaba. Zdolna do tego być może byłaby Rosja, ale wątpliwe, czy skorzysta z tego narzędzia nacisku na Łukaszenkę. – W bardzo prorosyjskim Witebsku widzieliśmy, jak grupka prowokatorów zaczęła podczas demonstracji wzywać na pomoc Putina. Zostali uciszeni – mówi Romaszewska-Guzy. Paradoksalnie przed rosyjską prowokacją może uratować Łukaszenkę... brak solidnej granicy z Rosją. – Gdyby rewolucja wybuchła w Witebsku, szybko mogłaby się rozprzestrzenić na Smoleńsk. Po Majdanie Rosjanie nie są fanami rewolucji. Gdyby takowa wybuchła, mogłaby łatwo wymknąć się im spod kontroli – uważa dyrektor Biełsatu.

Nawet gdyby Putin nie przejął się lojalnością armii białoruskiej wobec Łukaszenki, inkorporacja raczej nie wchodzi w grę. Po doświadczeniach z Krymem dwa razy się zastanowi, zanim weźmie na utrzymanie pogrążoną w kryzysie gospodarczym Białoruś. A Łukaszenko będzie najprawdopodobniej dalej lawirował, mając jednak świadomość, że w obliczu rosnącego niezadowolenia i powoli, ale jednak krzepnącej opozycji jego geopolityczna gra coraz bardziej przypomina rosyjską ruletkę.

Któż nie pamięta Natalii Poklonskiej, efektownej prokurator z Symferopola, której uroda i seksapil ocieplały rosyjską aneksję Krymu w 2014 r.? Słodka buzia i aerodynamiczne kształty odbyły następnie triumfalny pochód przez światowe media, stając się inspiracją dla twórców pornograficznych materiałów spod znaku anime. Poklonska nie zadowolili się jednak karierą mimowolnego natchnienia onanistów. W zeszłym roku, wraz z grupą współpracowników, ufundowała prawosławną kaplicę w pobliżu gmachu prokuratury w Symferopolu. I się zaczęło.

Konsekracja odbyła się jesienią, niedługo po tym, jak Poklonska złożyła swój urząd i z namaszczenia Putina objęła mandat deputowanej do Dumy.

Nie trzeba było długo czekać na efekt spotkania prawdy, dobra i piękna. 3 marca deputowana Poklonska wygłosiła na antenie telewizyjnej orędzie, w którym oznajmiła, że wydarzył się cud. Ustawione przed kaplicą popiersie Mikołaja II zapłakało wonnymi olejami.

Takie zjawisko nosi nazwę mirotoczenia i w tradycji Kościołów wschodnich jest jednym z najczęściej spotykanych cudów. Mirotoczą ikony. W myśl wschodniej teologii ikon nie są one artystyczną wizją świętych ani świata nadprzyrodzonego, ale sui generis oknami Królestwa Bożego, przez które już w ziemskim życiu można pozostać w bliskiej łączności z sacrum i wiecznością. Mirotoczenie ikony jest dla wiernych znakiem szczególnej łaski. O mirotoczących pomnikach dotąd nie słyszano. I gdyby Rosja była urządzona na kształt Polski, to znaczyłoby uczucia religijne chrześcijan miały jakiegokolwiek znaczenie dla sterników debaty publicznej, to enuncjacje deputowanej Poklonskiej zabrzmiałyby mniej więcej tak jak ewentualne oświadczenie byłego posła Palikota, że z obrazu Chrystusa Miłosiernego leje się żubrówka. Tymczasem niestrofowana przez nikogo Poklonska dawała się ponieść uniesieniu wieszczemu przed kamerami: „Dzwonią do mnie współpracownicy, którzy opiekują się kaplicą. Imperator zapłakał dokładnie 2 marca, w rocznicę abdykacji. To znak! Car nam pomaga. Przecież oddał życie za to, co my robimy! Za to, żebyśmy uczynili Rosję wielką i kwitnącą. Ludzie przynoszą chore dzieci, przykładają do pomnika, aby car je uzdrowił”.

Gdy informacje o cudzie obiegły media, rozmaitego autoramentu kpiarze i ateści jęli się domagać, aby premier



Elena i Gabriel Michalikowie

Deputowana ogłosiła, że pomnik cara zapłakał wonnymi olejками. A mer prowincjonalnego miasteczka, że u niego płakał pomnik Lenina

Moskwa wierzy łzom



Natalia Poklonska – kiedyś prokurator z Symferopola, a dziś deputowana do Dumy – wygłosiła orędzie telewizyjne, w którym poinformowała o cudzie: popiersie Mikołaja II zapłakało wonnymi olejkami FOT. RUSLAN SHAMUKOV/TASS/GETTY IMAGES



Dmitrij Miedwiediew przyłożył do carskiego popiersia także rosyjską gospodarkę. Na razie bez odzewu.

GŁOWA DEPUTOWANEJ

Do słów deputowanej przyda się kilka zdań sprostowania. Po pierwsze, kalendarzowego. Mikołaj II abdykował 2 marca 2017 r. starego stylu, czyli według kalendarza juliańskiego. Zapłakać miał zaś jego pomnik także 2 marca, ale już nowego stylu, zgodnego z kalendarzem gregoriańskim. Różnica wynosi 13 dni. Oczywiście można dopuścić, że przez sto lat nieżyjący już cesarz na tyle się zmodernizował, iż całkiem zobojętniał na kalendarz juliański.

Cóż jednak należy mieć pod bujną blond czupryną, aby założyć, że Mikołaj II, zamordowany wraz z całą rodziną przez czekistów, błogosławi z zaświatów ich kolejnemu wcieleniu, rządzącemu obecnie Rosją?

Zawartość głowy Natalii Poklonskiej jest modelowym produktem kremłowskiej polityki historycznej, owej próby wykorzystania złożonych i tragicznych dziejów Rosji do uzasadnienia panowania obecnego prezydenta, stanowiącego rzekomo zwieńczenie rosyjskiej historii. W cenie pozostają historyczna ignorancja i patrzenie na przeszłość w sposób teleologiczny, gdzie celem istnień poprzednich pokoleń jest stan obecny. Układanka socjotechniczna opiera się na naturalnej potrzebie redukcji dysonansu poznawczego. Trudno byłoby żyć Rosjanom ze świadomością, że od pokoleń cierpieli tylko po to, aby mafijna struktura wokół obecnego prezydenta mogła kupować jachty i pałace. Należy więc kamarylę od jachtów i pałaców zobaczyć jako pożądaną cel wielowiekowych starań narodu i wówczas już wszystko pasuje. Podeprzeć się można w takim dyskursie zarówno krwawym psychopatą Iwanem Groźnym, Leninem oraz Stalinem, jak i męczennikiem Mikołajem II. Stanie się on wówczas cierpiącą figurą władcy; a dobrze przecież, gdy lud wie, że i władca nie jest wolny od cierpienia.

W grę historię chętnie włącza się także cerkiewna hierarchia, żyrując ambaje opowiadane przez kremłowskich ideologów nadwerężonym już nieco autorytetem patriarchy Cyryla. Gdzieś jednak na pionowej linii pomiędzy patriarchatem a duchowieństwem więź Cerkwi z Kremlm się urywa, skoro wielu duchownych krytykuje zarówno polityczne afiliacje patriarchy, jak i propagandową wersję rosyjskiej historii, widząc w kolejnych władcach Rosji oraz

■ Sowietów nie obrońców wiary, jak by chciał Kreml, ale jej wrogów. Z tego, że patriarcha Cyryl wciąż jeszcze toleruje krytycznych wobec swojej polityki, cieszących się popularnością księży i świeckich teologów, wnosić można, że i dla samego patriarchy obecny sojusz tronu z ołtarzem ma charakter jedynie taktyczny. W sytuacji, gdy raptem 3–5 proc. Rosjan regularnie uczęszcza do cerkwi, jedynie alians z władzą może uzasadniać nazywanie Rosji krajem prawosławnym.

W mózgowej kaszy Natalii Poklonskiej, którą dzieli ona ze zdumiewająco dużą częścią młodych Rosjan, Putin i Mikołaj II to niemal koledzy, a wiara religijna to nic więcej niż tylko przyjemny rytuał narodowy, służący uwypukleniu dostojności głowy państwa.

POMNIK TEŻ CZŁOWIEK

Niezależnie od politycznego znaczenia wonnych łez wylewających się z pomnika okoliczna ludność przyjęła z dobrą wiarą oświadczenie Poklonskiej. Pod kaplicę, ku utrapieniu służących w niej duchownych, zaczęli napływać gapie.

Gdy do Symferopola zjechali dziennikarze mediów centralnych, aby zebrać głosy entuzjazmu miejscowej ludności, niczym zły znak spadł deszcz i zmył wonne łzy. Wprawdzie po pewnym czasie deszcz ustał, a pomnik wysechł, ale nic już z niego nie popłynęło. Ludność próbowała jeszcze namówić i zakłęb, lecz pomnik milczał. Inaczej – miejscowy pop, który bez szacunku dla delikatnych uczuć religijnych deputowanej Poklonskiej i dla pobożnej ciekawości zgromadzonych obywateli, wypowiedział się sceptycznie na temat całego zajścia. Pojawiły się bolesne sugestie, że pomnik ani chwili nie płakał, a rzekomy cud wziął się stąd, że ktoś dla kawału oblał popiersie cara olejkiem paczulowym z pobliskiego sklepu indyjskiego (70 rubli za flakonik), po czym zadzwonił do Poklonskiej i miał bekę, obserwując, jak seksowna blondynka nie tylko dała się wpuścić w malinę, lecz także za pośrednictwem telewizji wciągnęła w nie za sobą pół Rosji.

Wobec stanowiska duchowieństwa, a może przede wszystkim wobec braku kontynuacji cudu, incydent stał się przedmiotem drwin. W sieci pojawiły się memy z deputowaną Poklonską rozmawiającą o wielkich sprawach z imperatorem; przypominano kadry z erotycznych produkcji wykorzystujących jej wizerunek; na innych memach mirotoczy Władimir Putin, a podpis głosi, że dzieje się to zawsze, ilekroć

tylko komuś w Rosji żyje się nieco lepiej. W końcu nawet sam, Bogu ducha winien, pomnik stał się bohaterem dwuznacznych insynuacji, kiedy jakiś naoczny rzekomo świadek rozpuścił w Internecie pogłoskę, że nie tylko widział, jak popiersie cara płacze, lecz także osobiście asystował mu, gdy chodziło za potrzebą.

PRUDERYJNY LENIN

Nieoczekiwanie wyśmiewanej piękności pospieszył z pomocą, zyskujący coraz większą popularność, Siergiej Dawidow, mer Swietogorska, niewielkiego miasta przy fińskiej granicy.

Dawidow ucieleśnia inny obszar ideologicznej aktywności władz Rosji, ten skierowany w świetlaną przyszłość. Spodobało się bowiem Władimirowi Władimirowiczowi bycie nie tylko spadkobiercą carów i świętych, lecz także latarnią morską dla Europy (nazywanej złośliwie Gejropą) zabłąkanej w miazmatach tolerancji i ideologii gender. Świeci Putin w tym zakresie głównie na użytek zewnętrzny (purytańską retoryką przywabia do siebie część europejskiej skrajnej prawicy), ale ma to też pewne wewnętrzrosyjskie znaczenie w postaci „zakazu propagandy homoseksualnej”, który wprawdzie nie przeszkadza

indywidualne sukcesy osiągane na poziomie lokalnym: szczegółowe antygejowskie rozporządzenia władz Moskwy i Petersburga, obostrzenia w miejskich łaźniach i teatrach, moralizatorskie oświadczenia twórców kultury. Wszystko to Kreml inspirował, a następnie dostrzega i docenia.

Palmę pierwszeństwa w walce z Gejropą dzierży jednak właśnie niewielki Swietogorsk, a głównie mer Siergiej Dawidow. Na jego rozkaz urzędnicy merostwa przeprowadzili niezbędne analizy i badania terenowe, w wyniku których jednoznacznie orzekli, że wśród prawie 16 tys. mieszkańców miasta nie ma ani jednego homoseksualisty. Metodologia badań pozostaje sekretem merostwa w Swietogorsku. Dawidow z dumą zawiadomił pod koniec lutego o swoich ustaleniach środki masowego przekazu, co przyniosło mu ogólnorosyjską sławę i skłoniło administrację większych ośrodków do pójścia w ślady Dawidowa.

Kilka dni po ogłoszeniu Swietogorska strefą wolną od homoseksualistów, Dawidow rankiem zmierzał do swego urzędu. Przemierzając centralny plac miasta, zauważył, że z usytuowanego tam pomnika Lenina płyną wonne łzy. Odkrycie Dawidowa zbiegło się wprawdzie z rewelacjami Poklonskiej, jednak sam Dawidow zapewnia, że łzy Lenina zobaczył, jeszcze zanim dowiedział się o płaczącym pomniku Mikołaja II.

I do Swietogorska zjechali dziennikarze. Tego, że Lenin płacze, nie zauważyli. Zdało im się jednak, że Dawidow się śmieje. Spytał więc, czy uważa, że Poklonska zwariowała. – Deputowany do Dumy nie może zwariować. To zupełnie wykluczone! – wyjaśnił mer. I zmienił temat. Chce, by nagłośniono jego nową akcję. Otóż po upewnieniu się, że w Swietogorsku nie ostał się ani jeden homoseksualista, merostwo rozpoczęło walkę z flagą USA unoszącą się w towarzystwie rosyjskiej i firmowej nad należącymi do Amerykanów zakładami papierniczymi, które dają pracę większości mieszkańców miasta. Pojawia się więc pytanie, czy Lenin zapłakał z zachwyty nad już osiągniętym sukcesem obyczajowym, czy może łzy roni awansem, dla zachęty do geopolitycznych bojów mera.

Na złość Leninowi i merowi już 6 marca do Swietogorska zjechała czwórka performerów z Petersburga. Przedfilowali przez miasto pod transparentem w barwach tęczy, ciągnąc za sobą spore walizki na kółkach. Podobno mają się do Swietogorska sprowadzić na stałe. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pojawiły się bolesne sugestie, że pomnik cara nie płakał, a cały cud wziął się z tego, że ktoś oblał popiersie olejkiem paczulowym

kluczowym figurom Kremla trwać w nieskrywanych związkach jednopłciowych, ale ułatwia pozyskiwanie dla prezydenta konserwatywnie zorientowanych wyborców. Na marginesie trzeba bowiem przypomnieć, że Związek Sowiecki był w swoim czasie jednym z państw najbardziej represyjnych wobec wszystkich tzw. mniejszości seksualnych: pederastie karano więzieniem, akty lesbijskie – przymusowym leczeniem psychiatrycznym. Nostalgia za Związkiem Sowieckim obejmuje więc, zwłaszcza u starszych Rosjan, także tęsknotę za seksualnym purytanizmem.

Z dnia na dzień cała Rosja, zateizowane i otwartej przecież przez minione dekady na współczesną postkulturę, nie da się jednym aktem prawnym uwolnić od rozwiązłości, ale tym większą wartość mają

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017



*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest
godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



V EDYCJA NIEZWYKŁEJ NAGRODY

PARTNERZY STRATEGICZNI:



PARTNER GŁÓWNY:



MECENAS:



WIĘCEJ INFORMACJI NA
www.dorzeczy.pl/straznik-pamieci/





Tomasz P. Terlikowski

Wielka, choć milcząca schizma wewnątrz Kościoła nie jest faktem nowym, ale pontyfikat Franciszka ukazał ją na nowo w całej jej wielkości

Od jakiegoś czasu, głównie w rozmaitych zachodnich gazetach, pojawia się sugestia, że najważniejsi hierarchowie Kościoła mają obawiać się nowej, większej od reformacji, schizmy. Jej źródłem ma być pontyfikat Franciszka, a także zmiany, które (według jednych rzekomo, a według drugich całkiem realnie) już papież wprowadził albo wprowadzić zamierza. Ostatnio opinię taką, zupełnie wprost, na łamach „Times of London” przypisał kardynałom Antonio Soggi. Niespełna pół roku temu „Der Spiegel” przekonywał, że na zamkniętym spotkaniu z najbliższymi współpracownikami sam Franciszek miał wyrazić obawę, czy nie przejdzie do historii jako ten, który podzielił Kościół. Prawda jest jednak taka, że schizma, której wszyscy się obawiają, istnieje w Kościele przynajmniej od pontyfikatu bł. Pawła VI. I choć św. Jan Paweł II i Benedykt XVI próbowali ją zakończyć, to nigdy się to nie udało. Działania Franciszka doprowadziły zaś do jej pełnego ujawnienia się. I wcale nie chodzi o kwestię komunii świętej dla osób rozwiedzionych w ponownych związkach, lecz o rozumienie autorytetu Pisma Świętego, Tradycji, posługiwania papieskiego i samego Kościoła.

CZARNY PAPIEŻ NA FRONCIE POSTĘPU

Niezwykle mocnym tego przykładem pozostaje wywiad, jakiego udzielił nowy generał jezuitów (a osobę pełniącą taką funkcję od dawna i nie bez racji nazywa się w Kościele „czarnym papieżem”) o. Arturo Sosa Abascal watykańskie Giuseppe Rusconiemu. Dziennikarz zaczął rozmowę od przypomnienia słów kard. Gerharda L. Müllera, który podkreślał, że nie ma takiej władzy na ziemi ani na niebie, nie jest nią ani papież, ani synod czy biskupi, która mogłaby zmienić jasne nauczanie Jezusa Chrystusa na temat małżeństwa. A na to nowy generał jezuitów odpowiada, że słowa Jezusa wcale nie są jasne, bo gdyby tak



było, nie istniałaby potrzeba tak wielu refleksji nad tym, co Jezus chciał rzeczywiście powiedzieć. – Wiadomo, że słowa Jezusa muszą być kontekstualizowane, one były wypowiedzane w języku, w specyficznych sytuacjach, były kierowane do konkretnych osób – przekonuje o. Arturo Sosa Abascal. I dodaje, że w ostatnim wieku Kościół starał się odkryć, co Jezus rzeczywiście miał na myśli. – To nie jest relatywizm, ale stwierdzenie, że słowo jest względne. Ewangelia została napisana przez ludzi i jest akceptowana przez Kościół, który składa się z ludzi... Tak więc jest prawdą, że nikt nie może zmienić słów Jezusa, ale najpierw musimy wiedzieć, jakie one były – mówi jezuita.

Dziennikarz zadaje wówczas pytanie o słynny fragment z Ewangelii wg św. Mateusza, gdzie Jezus mówi, że co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela. Odpowiedź generała jezuitów brzmi, że mamy iść za tym, co w tej sprawie mówi Franciszek, i rozeznawać. A gdy watykanista wskazuje, że takie działanie prowadzi do podania w wątpliwość słów Jezusa, słyszy odpowiedź, że nie słów Jezusa, ale ich interpretacji. – Rozeznanie nie oznacza wyboru spośród różnych możliwości, ale słuchanie Ducha Świętego, który – jak obiecał nam Je-

zus – pomaga nam zrozumieć znaki Bożej obecności w ludzkiej historii – podkreśla generał jezuitów. Rozeznanie, kontynuując generał, musi prowadzić do decyzji, a ostatecznie podjąć ją musi jednostka, bo Kościół zawsze szanował autonomię sumienia. „A zatem jeśli sumienie, po rozeznaniu, mówi mi, że mogę przystępować do komunii, nawet jeśli normy nie pozwalają mi na to?” – pyta dziennikarz. A jezuita odpowiada: „Kościół rozwija się przez wieki”. I dodaje: „On się narodził, uczył, zmieniał. To dlatego zwoływane są sobory ekumeniczne, aby prowadzić do rozwoju doktryny. Doktryna nie jest słowem, które lubię, ono przywodzi mi na myśl twardy kamień. A ludzka rzeczywistość jest bardziej znuansowana, nigdy nie jest biała albo czarna, jest w ciągłym rozwoju”. Twierdzi również, że oczywiście doktryna musi znaleźć swoje miejsce w rozeznaniu. Jednak nie jest to bynajmniej miejsce kluczowe, bo „nauczanie nie może zastąpić rozeznawania ani Ducha Świętego”.

NIE CHODZI O MAŁŻEŃSTWO

I choć wydawać by się mogło, że w wywiadzie tym mowa jest akurat konkretnie o małżeństwie, to problem jest o wiele głębszy. Identyczną jak ta metodę

FOT. WITACIN POOL/GETTY IMAGES

schizma

rozmywania Ewangelii i jej nauczania można przecież zastosować do wszystkich elementów doktryny Kościoła. I to się robi. Biskup diecezji San Diego, Robert McEnroy, zupełnie wprost zapewnia, że wszystkie parafie w jego diecezji mają być otwarte na osoby homoseksualne, że nie ma powodów, by nawet te, które są w związkach, nie przystępowały do komunii świętej, a wspólnota zarządzana przez homoseksualistę w związku jest stawiana za wzór w jego diecezji. Argument, że jest to niezgodne z nauczaniem Pisma Świętego (zarówno Starego, jak i Nowego Testamentu) oraz z Tradycją Kościoła, zawsze zaś można zbyć wzruszeniem ramion i wyjaśnieniem, że te stare zasady wymagają kontekstualizacji, a wymogi Pisma Świętego są przecież „względne”.

Bezwzględny jest natomiast – dla wyznawców tej nowoczesnej wersji katolicyzmu – terror politycznej poprawności. Gdy tylko ktoś zakwestionuje jakikolwiek z jej dogmatów, natychmiast znajdzie się jakiś duchowny (często będzie to – niestety – jezuita), który potępi najdrobniejsze odstępstwo od doktryn religii nowoczesności. I tak, gdy Donald Trump odwołał jeden z najbardziej absurdalnych dekrety Obamy, który zmuszał szkoły i uczelnie, by

uznały, że chłopak, który oznajmi, iż jest dziewczynką, może chodzić do damskiej toalety, natychmiast do akcji wkroczył znany jezuita. – To nie rani nikogo – oznajmił o. James Martin SJ, odnosząc się do odwiedzania przez biologicznych chłopców damskich toalet. I dodał, że zakazanie takich zachowań jest afrontem wobec godności osób transpłciowych. – Smuci mnie, że transstudenci nie będą mogli wybrać sobie toalet. To podstawowa potrzeba. To uwłacza ich godności jako ludzi – oznajmił o. Martin. Jednak to nie wszystko. Jezuita wprowadził także nowe obowiązki wiary dla chrześcijan. – Kto powinien stanąć po stronie marginalizowanych, wyśmiewanych, zastraszanych, wyrzutków, mniejszości? Chrześcijanie, bo Jezus tak robił – oznajmił jezuita. Niestety, nawet jezuita, przy całym wysiłku kontekstualizacji, nie był w stanie wyjaśnić, w którym miejscu w Ewangeliach Jezus wypowiedział się na temat toalet damskich, które powinny być dostępne dla mężczyzn.

Przykłady takich hierarchów, powszechnie znanych teologów i redaktorów naczelných mediów katolickich można mnożyć. Jeszcze kilka lat temu (za poprzednich pontyfikatów) niechętnie ujawniali oni swoje poglądy, bo... mieli świadomość, że Kongregacja Nauki Wiary może wszcząć przeciw nim dochodzenie. Teraz jednak, gdy wszystkie, nawet najpoważniejsze sprawy zostały umorzone, a Kuria Rzymska poszukuje raczej tradycyjnistów, których można by oskarżyć o rygoryzm czy „rzucanie kamieniami” w odrąconych, spokojnie zaczynają oni głosić swoje – nie ma co ukrywać – sprzeczne z Tradycją i Pismem Świętym poglądy. Jakby tego było mało, ogromna większość nominowanych przez Franciszka kardynałów – mniej lub bardziej otwarcie – wyznaje takie poglądy, a gdy tylko otrzyma władzę, zaczyna je wcielać w życie. Tak jest choćby w Brukseli, gdzie nowy metropolita kard. Josef De Kesel usuwa zakony i zgromadzenia, które mają powołania (choćby Wspólnoty Jerozolimskie, które trudno określić mianem tradycjonalistycznych, ale niewątpliwie są one ortodoksyjne), i zastępuje je łączonymi parafiami, które służyć mają za wzór otwarcia. Kłopot z tymi działaniami jest tylko taki, że otwarcie to prowadzi do wywiania ostatnich wiernych z zarządzanych przez niego parafii.

UMOCNIENIE ORTODOKSJ

Ten wielki powrót, a może lepiej powiedzieć – odsłonięcie się, liberalnego

katolicyzmu ma, wbrew pozorom, także pozytywne skutki. Po pierwsze, uświadamia, że jest mitem, iż dwa konserwatywne (ortodoksyjne) pontyfikaty zatrzymały jego rozwój w Kościele. Schizma zapoczątkowana przez odrzucenie encykliki bł. Pawła VI „*Humanae vitae*” przez znaczącą część zachodnich episkopatów i środowisk teologicznych nigdy nie przestała istnieć, a jej wyznawcy – choć często niechętnie przyznający się do swoich poglądów czy ukrywający je pod teologiczną nowomową – wychowali sobie następców. A to oznacza, że spór będzie trwał, my musimy nauczyć się istnieć wewnątrz tego samego Kościoła albo... w długim procesie dokonać pojednania pewnych poglądów i eliminacji innych.

Po drugie, doskonale widać, że jeśli odrzuci się to, co Benedykt XVI określał mianem hermeneutyki ciągłości (to znaczy założenie, że każde nauczanie papieskie czy soborowe musi być odczytywane zgodnie z doktryną wcześniejszych soborów i papieży), to w efekcie prędzej czy później katolicyzm zostanie sprowadzony do pewnego rodzaju religijnie umotywowanej politycznej poprawności, jak to się stało z licznymi wyznaniem protestanckimi, a jego duchowni wzywać będą do walki o toalety dla transseksualistów, a nie do walki o prawdę o Bogu i człowieku.

Po trzecie – niezależnie od tego, że środowiska liberalne są obecnie w Kościele górami, bo wielu z ich przedstawicieli jest bliskimi współpracownikami Franciszka – spór ten doskonale pokazuje, że ortodoksja w Kościele bardzo się wzmocniła. Młodzi kapłani, zakonnicy i siostry zakonne, a także świeccy – i to coraz bardziej otwarcie – sprzeciwiają się próbom liberalizacji doktryny. I coraz częściej im się to udaje, nawet w sporze z biskupami. Tak było w Kolumbii, gdzie biskup suspendował pewnego księdza za odmowę uznania, że rozwodnicy w ponownych związkach mogą przystępować do komunii. Jednak po rozmowie z kapłanem, a także z innymi obrońcami ortodoksji, biskup nie tylko przywrócił go do posługi, lecz także... wydał dokument, w którym przypomina, że „*Amoris laetitia*” nie można interpretować inaczej niż w zgodzie z nauczaniem św. Jana Pawła II. Nie, nie oznacza to, że spór w Kościele jest rozstrzygnięty ani że ortodoksja i hermeneutyka ciągłości zwyciężyły, ale... pokazuje, że nie są one bynajmniej na przegranej pozycji. A silny zwrot liberalny w czasie tego pontyfikatu może być chwilowy. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Łukasz Zboralski

Po raz pierwszy w Polsce zaczęliśmy się zastanawiać, jaka ma być składka OC i na jakie odszkodowania komunikacyjne nas stać – przyznali eksperci podczas debaty „Do Rzeczy”

Drożące w 2016 r. polisy ubezpieczeń komunikacyjnych zszokowały polskich kierowców. Stawka OC wzrosła bowiem średnio w kraju aż o 39,1 proc. Wszystko przez to, że do tej pory ubezpieczyciele tracili na tych polisach, a rok 2015 zakończyli rekordową stratą przekraczającą 1 mld zł.

Problem urósł do takich rozmiarów, że nikt nie wie, czy ceny polis nie będą musiały jeszcze rosnąć. A wtedy będzie rosnąć ryzyko, że na drogach pojawiać się zaczną coraz więcej nieubezpieczonych samochodów, bo niektórych osób nie będzie już stać na opłaty, a auto jest dla nich jedynym środkiem transportu. W przypadku szkody kończyłoby się to dla nieubezpieczonych jeszcze większym dramatem finansowym, bo takie szkody pokrywane są z Ubezpieczeniowego Funduszu Gwarancyjnego, a potem fundusz domaga się od sprawcy ich zwrotu – a mowa nierzadko o setkach tysięcy złotych czy milionach.

Eksperti zastanawiają się więc, jak uzdrowić polski rynek ubezpieczeń. Rozmawiali o tym podczas debaty zorganizowanej przez tygodnik „Do Rzeczy”.

WOJNA CENOWA I NOWE PRAWO

Trudno coś naprawiać bez opisanie przyczyn kłopotów. Jak to się stało, że przez kilka lat składki zbierane przez ubezpieczycieli nie pokrywały wypłat odszkodowań? – Trzeba najpierw przypomnieć, co to jest OC. Otóż to obowiązkowe ubezpieczenie jest pewną umową społeczną. A ubezpieczyciele są organizacjami pilnującymi wypełniania tej umowy – mówił Grzegorz Prądyński, prezes Polskiej Izby Ubezpieczeń. – Umowa polega na tym, że kierowcy wspólnie składają się na fundusz, który służy potem do wypłacania odszkodowań poszkodowanym w wypadkach komunikacyjnych – dodaje.

Prezes PIU przypominał, że częstotliwość wypłacania odszkodowań z OC



komunikacyjnego wynosi w Polsce 7 proc., jest więc wyższa od średniej unijnej (5 proc.). – Gdy wypłaty rosną znacząco szybciej od tego, co się zbiera w składkach, to mamy problem. W Polsce ten problem narastał od wielu lat. Ostatnia dekada to straty z OC w sumie powyżej 7,5 mld zł, a ostatnie dwa lata to straty ponad 1 mld zł rocznie – wyliczał Prądyński.

Jak możliwa jest strata, skoro w 2016 r. zakłady ubezpieczeń zebrały ze składki OC ponad 11,6 mld zł, a wypłaciły odszkodowań i świadczeń na kwotę ok. 8 mld zł? – Proszę pamiętać, że zakłady ubezpieczeń nie działają bezkosztowo, ktoś musi składki zbierać, sprzedawać polisy, likwidować szkody. Koszty prowadzenia działalności i wypłacone świadczenia, a także rezerwy, które ubezpieczyciele muszą tworzyć pod kątem przyszłych wypłat, powodują, że ubezpieczyciele tracą duże kwoty – odpowiadał prezes PIU. Przypominał, że we wcześniejszych latach na polskim rynku

do wojny cenowej doprowadziły oddziały zagranicznych firm, które nie były objęte krajowym nadzorem.

Na obowiązkowe gromadzenie rezerw na przyszłe wypłaty odszkodowań wskazał też Paweł Sawicki, dyrektor Departamentu Inspekcji Ubezpieczeniowych i Emerytalnych Komisji Nadzoru Finansowego: – Zakłady ubezpieczeń na podstawie metod statystycznych tworzą tzw. rezerwy szkodowe. One uwzględniają przyszłe wypłaty. To są istotne pieniądze. To, że zakłady wypłaciły 8 mld zł, to jedno, ale są też odkładane pieniądze dla tych, którym świadczenia zostaną wypłacone w przyszłości.

To jednak nie wszystko. – Ważne jest też, że czas zgłaszania zobowiązań, za które będą odpowiadać ubezpieczyciele z pobranej w ubiegłym roku składki, to co najmniej 20 lat, a dodatkowo wiemy, że rentobiorcy mogą pobierać świadczenie nawet 40–50 lat i przez taki okres będą



utrzymywani z tej ubiegłorocznej składki – podkreślała Zdzisława Cwalińska-Weychert, wiceprezes UFG. – Jednak może najbardziej istotne jest to, że składki pobierane obecnie muszą wystarczyć także na świadczenia sięgające 20 lat wstecz. Taki okres przedawnienia świadczeń, który jest ewenementem na skalę europejską, został wprowadzony dopiero w 2007 r.

Cwalińska-Weychert przypominała, że rok później – w 2008 r. – pojawił się przepis, który dał prawo do otrzymania zadośćuczynienia za śmierć osoby bliskiej. – Wszyscy ubezpieczyciele podwyższyli wówczas składki, bo wiedzieli, że od tego czasu śmierć w wypadkach zaistniałych w przyszłości będzie wymagała kompensacji. Natomiast w 2010 r. dodatkowo okazało się, że kompensowane będą musiały być też wszystkie zgony, do których doszło przez kilkanaście wcześniejszych lat, również tych sprzed 2008 r., tj. sprzed wejścia w życie przepisu o zadośćuczynie-

niu za śmierć. Tak się stało po wyrokach Sądu Najwyższego, którego orzecznictwo ustaliło się dopiero w 2013 r. Sąd zadziałał jak ustawodawca, z tą jednak różnicą, że nie musiał się przejmować tym, jak to będzie sfinansowane. Dodatkowo trzeba pamiętać, że o ile w ubiegłym roku na drogach zginęło 3 tys. osób, o tyle w latach 90. liczba ofiar sięgała nawet 10 tys. – mówiła wiceprezes UFG.

Prezes PIU dodał, że w tej sprawie swoje zrobiły też wciąż rozszerzający się katalog odpowiedzialności i skokowo wzrastające wysokości odszkodowań, zwłaszcza zadośćuczynień. – Jeśli na to nałożymy jeszcze nowy unijny reżim wypłacalności, który zaczął obowiązywać od stycznia 2016 r., to widać, że w jednym momencie zgromadziło się kilka elementów, które spowodowały skokowy wzrost cen polis – argumentował Prądyński.

Aleksander Daszewski, radca prawny w Biurze Rzecznika Finansowego, zwrócił

uwagę na jeszcze jeden aspekt. – Ubezpieczenia komunikacyjne stały się pewnego rodzaju trampoliną dla innych ubezpieczeń – mówił podczas debaty. – Ubezpieczyciele mają więc tendencję, by te polisy sprzedawać taniej, a pozyskać klientów na inne. To m.in. dlatego przez ostatnie 10 lat trwały te chore wojny cenowe. Składka przestawała być adekwatna. A za nieadekwatną składką szły zaniżane wypłaty odszkodowań. I dzięki naszym wnioskom do SN pokazaliśmy kilkukrotnie, że zakłady ubezpieczeń nie realizowały przepisów prawa odszkodowawczego.

PROBLEM ROSNĄCYCH SKŁADEK

Zmiany prawa i wyroki Sądu Najwyższego doprowadziły więc do sytuacji, w której obecni kierowcy płacą składki także na wypłaty odszkodowań za śmierć w wypadkach z lat 90. – co w tamtych składkach nie było kalkulowane. – Doszliśmy więc być może do najważniejszej dyskusji ubezpieczeniowej w kraju – powiedziała Zdzisława Cwalińska-Weychert. – Czyli do określenia tego, za co chcą i powinni płacić polscy kierowcy w swojej składce OC – dodaje.

Posel Adam Abramowicz stwierdził, że problemem nie jest w istocie nagły wzrost składki w ubiegłym roku, bo gdyby ten wzrost składki rozłożył się na 10 lat, to i tak konsumenci płaciliby dziś takie ceny, a przez lata wydali w sumie może nawet więcej. – Problem jest więc w tym, że poziom cen ubezpieczeń jest niedostępny dla coraz większej grupy Polaków. A są takie miejsca w kraju, gdzie nie dojeżdża żadna komunikacja zbiorowa – przekonywał Abramowicz. – I co się stanie, gdy człowiek musi dojeżdżać samochodem do pracy, a nie będzie go stać na OC? Zacznie jeździć bez ubezpieczenia i to będzie niebezpieczeństwo dla wszystkich – dodaje.

Posel wskazywał, że najpilniejszym zadaniem jest urealnienie składki. – Bo może nas, jako Polaków, nie stać na wypłacanie tak wybuchających odszkodowań – powiedział parlamentarzysta. – Dzisiaj sąd rozszerzył katalog wypłaty zadośćuczynień i zdarza się, że płacimy dla rodziny bardzo szeroko pojętej, czyli babci, wujka. Chciałbym, żeby wszyscy dostawali duże kwoty odszkodowań. Jeśli jednak to spowoduje, że podstawowa składka OC dla każdego będzie wynosić np. 3 tys. zł, to oświadczam, że wtedy nas na to nie stać. I co wtedy? – pyta.

Wiceprezes UFG wskazywała, że kwoty zadośćuczynień za śmierć bliskiego

■ w wypadku orzekane przez sąd bywają ogromne, nie ma ich limitu ani też jednolitych kryteriów przyznawania. – Kwoty tych zadośćuczynień powinniśmy więc może odnieść do innych odszkodowań ustawowo wypłacanych w Polsce – zaproponowała Zdzisława Cwalińska-Weychert. – Są np. ofiary wypadków przy pracy czy przestępstw. Za śmierć w wypadku przy pracy z ZUS rodzina może dostać maksymalnie ok. 60–100 tys. zł – łącznie dla wszystkich uprawnionych, wskazanych w przepisach. Podczas gdy w wypadkach komunikacyjnych w tych kwotach zamyka się pojedyncze roszczenie każdego z członków rodziny, przy czym krąg osób bliskich i uprawnionych nie jest tutaj ograniczony przepisami prawa. A czym się różni ból rodziny po stracie bliskiego w wypadku w pracy w porównaniu ze zgonem w wypadku komunikacyjnym?

Dyrektor Sawicki z KNF zauważył, że zgodnie z art. 33 ustawy o działalności ubezpieczeniowej składki muszą być adekwatne do wypłacanych świadczeń. Jeżeli katalog odszkodowań i zadośćuczynień z OC będzie się zwiększał, to zakłady ubezpieczeń będą podwyższały poziom składek.

– Cała Europa przeszła lub przechodzi te same procesy – dodał prezes PIU. – Większość krajów UE już ma to za sobą. Rosną koszty odszkodowawcze, bo naprawiamy coraz lepsze samochody, coraz lepsze, a więc i coraz droższe są metody leczenia. Jednak nikt nie mówi o ograniczaniu tego typu wypłat. Natomiast w Polsce wypłaca się też zadośćuczynienia za śmierć w wypadku dla rodziny. Takie świadczenia w wielu krajach zostały już uregulowane, a w niektórych nie istnieją – tłumaczył. I argumentował: – Za granicą już sprawdzono, że coraz wyższe wypłaty powodowały coraz wyższe składki. Pojawił się problem pewnego progu opłat, powyżej którego ludzie już nie są w stanie płacić.

W Wielkiej Brytanii zadośćuczynienie za śmierć jest ograniczone maksymalnie do 13,5 tys. funtów. W Niemczech toczy się debata o wprowadzeniu takiego świadczenia i padają propozycje, by wynosiło półtorej średniej pensji. Tymczasem w Polsce – jak wskazywali goście debaty „Do Rzeczy” – nie ma ani limitu kwoty, ani limitu osób uprawnionych do takich wypłat.

– Doszliśmy więc do ważnego pytania: Czy Polaków stać na to, żeby nagle z niektórych tytułów prawnych wypła-



W debacie „Do Rzeczy” udział wzięli (od lewej): Grzegorz Prądyński, prezes Polskiej Izby Ubezpieczeń; Adam Abramowicz, poseł PiS; Zdzisława Cwalińska-Weychert, wiceprezes Ubezpieczeniowego Funduszu Gwarancyjnego; Aleksander Daszewski, radca prawny w Biurze Rzecznika Finansowego, i Paweł Sawicki, dyrektor Departamentu Inspekcji Ubezpieczeniowych i Emerytalnych Komisji Nadzoru Finansowego. FOT. PROFESJONALNA.TV

cać kilkanaście średnich pensji? – pytał Grzegorz Prądyński.

JAKIE REKOMENDACJE DLA RZĄDU?

Nad kwestią zadośćuczynień pracuje zespół w KNF. Swoje propozycje kończy wypracowywać także Parlamentarny Zespół na rzecz Wspierania Przedsiębiorczości i Patriotyzmu Ekonomicznego. Jego przewodniczący poseł Adam Abramowicz mówił o rekomendacjach dla rządu, które pojawiają się w toku tych prac.

– Jeśli chodzi o zadośćuczynienia, to chyba wszyscy się zgadzają, że trzeba wyznaczyć jakieś ramy, w których będziemy się poruszać. W naszym zespole będą nad tym pracować także przedstawiciele kancelarii prawnych zajmujących się odszkodowaniami, którzy oczywiście mają zdanie przeciwne – powiedział poseł Abramowicz. – Jednak dobrym krokiem jest też poprawienie bezpieczeństwa na drogach. Chcemy więc zaproponować, by zakłady ubezpieczeń miały dostęp do Centralnej Ewidencji Kierowców. To może być np. dobrowolna zgoda, by ubezpieczyciel widział liczbę punktów karnych, wykroczeń, za co kierowca miałby oferowaną zniżkę – dodaje.

Parlamentarny zespół zamierza też zaproponować, by umożliwić kierowcom dobrowolne opłacanie udziału własnego w szkodie wypłacanej z ich OC. Przy zgodzie np. na 1 tys. zł udziału własnego składka mogłaby być niższa o ok. 10 proc., a jednocześnie w zdaniem pomysłodawców kierowca mógłby zacząć jeździć ostrożniej, wiedząc, że ryzykuje też własne pieniądze.

– Trzeba też zauważyć, że agenci ubezpieczeniowi mają prowizję procentową od

pozyskanych polis i po podwyżkach zaczęli dużo więcej zarabiać, a ich koszty nie wzrosły – wskazywał Adam Abramowicz. – Są tu różne pomysły, uważamy, że należy pracę agenta urynkować.

Przedstawiciel Biura Rzecznika Finansowego chwalił pomysł udziału własnego w OC, który jego zdaniem może pomóc w prewencji wypadków. Ostrzegał jednak, by ograniczenie osób uprawnionych do zadośćuczynienia za śmierć bliskiego nie zablokowało takich świadczeń np. dla konkubentów czy dalszej rodziny sprawującej opiekę nad kimś. – O wysokości świadczeń oczywiście możemy podyskutować – dodał Aleksander Daszewski. I podkreślał, że jego zdaniem hamowanie trendu wzrostowego cen polis nie powinno się odbywać kosztem poszkodowanych. – Jeśli zakłady ubezpieczeń troszczyłyby się o nas tak jak we Francji czy w Niemczech, to nie mielibyśmy na rynku tysięcy kancelarii odszkodowawczych, które w imieniu poszkodowanych występują przeciw zakładom ubezpieczeń, i firm skupujących roszczenia wobec ubezpieczycieli przez niedoszacowane świadczenia – podkreślał Daszewski.

– Nikt nie mówi o ograniczaniu odszkodowań dla osób poszkodowanych w wypadkach – zapewniał prezes PIU. – Standaryzacja nie jest ograniczaniem, jest pewną przewidywalnością, a ścieżka sądowa dla niezadowolonych się ze świadczeniem będzie otwarta. Przewidywalność będzie też cenna dla poszkodowanych, bo i on czy rodzina będą jasno wiedziały, co i ile należy się w jakiej sytuacji – wyjaśniał Grzegorz Prądyński.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

SZUKAJ WYDANIA Z PŁYTĄ



PREMIERA
DVD



Fabularna wersja życia Snowdena pokazana oczami Olivera Stone'a staje się chwilami ekscytującym thrillerem politycznym [...].

Film opowiedziany jest z werwą i energią, a kolejne sceny niesie wyśmienity w swojej roli Joseph Gordon-Levitt, który jest tak dobry, że gdy rozmawiał telefonicznie z rodziną prawdziwego Snowdena, ci myśleli, że rozmawiają ze swoim synem!

www.film.com.pl



Tomasz Wróblewski

Bez narodowej strategii polityczno-gospodarczej trudno budować dalekosiężne plany

Centralny Port Lotniczy, choć lepszą nazwą byłby Centralny Port Komunikacyjny, jest wyzwaniem nie tyle technicznym, ile historycznym. I to nie tej historii ostatnich 20 lat, od kiedy to politycy w propagandowej potrzebie chwili co rusz zapowiadali mediom, że stworzą coś epokowego. Historia sięga XVI i XVII w., złotego wieku Rzeczypospolitej. Państwa od morza do morza, kontrolującego wszystkie najważniejsze szlaki handlowe ówczesnego świata. Tutaj zbiegały się drogi wiodące z Azji, Bliskiego i ze Środkowego Wschodu. Historycy lubią tłumaczyć nam dzieje tamtych czasów talentami i mądrością ówczesnych władców. W czym z pewnością jest wiele prawdy, ale prawdą jest też to, że ci przemysłni władcy dostali do rąk niepowtarzalną szansę – bogactwo otwartych szlaków handlowych zbiegających się na terytorium Rzeczypospolitej.

Ktoś, kto szukałby magicznego momentu, w którym przygasać zaczęła gwiazda strefy wschodniego handlu, a rozkwitała atlantycka gwiazda, znalazłby pewnie rok 1621. Rok bitwy pod Chocimiem. Zwycięskiej, do której doszło po zgoła 100 latach nieustannego bogacenia się, i otwierającej epokę wyniszczających wojen, zmagani o utrzymanie granic mocarstwa. Jednak 1621 r. na drugiej półkuli to był rok założenia Holenderskiej Kompanii Zachodnioindyjskiej (West-Indische Compagnie). Pierwszej nowoczesnej korporacji, która z czasem postawiła fort New Amsterdam, później przemianowany na Nowy Jork – centrum światowego handlu i finansów. Dwa niezależne zdarzenia symbolizujące wielkie przenicowanie gospodarcze świata. Przesuwanie się finansowego serca świata z terenów ówczesnej Polski nad basen Oceanu Atlantyckiego.

Czterysta lat później mamy do czynienia z kolejnym przenicowaniem świata. Przesunięciem głównych szlaków handlowych znad Atlantyku nad basen Oceanu Spokojnego. Choć jeszcze dalej od Polski, to jak na ironię losu może to być dla nas niepowtarzalna szansa. W wyścigu o gospodarczą dominację ze Stanami Zjednoczonymi Chiny będą poszukiwały alternatywnych kanałów wymiany handlowej. Z kolei Europa, w obawie przed zbytnim uzależnieniem od Ameryki, będzie budowała własne „mosty” z Azją. Jeżeli Polska nie podejmie wyzwania, to wcześniej czy później tę lukę wypełnią Niemcy.

CENTRUM DLA AZJI

Projekt Centralnego Portu Lotniczego zakłada, że obiekt powstanie w środkowej Polsce, między Łodzią a Warszawą. Na obszarze ponad 10 km kw. wybudowane zostałyby: międzykontynentalne lotnisko mogące pełnić funkcję hubu dla największych linii lotniczych na świecie oraz centralny węzeł kolejowy, zarówno

interesów państwa, natychmiast napotyka mnóstwo przeszkód. Nie zawsze racjonalnych, ale bardzo trudnych do pokonania. Zaczniemy od tego, że Polska nie ma dobrej ręki do wielkich strategicznych projektów, których realizacja zajmuje więcej niż jedną kadencję czy dwie. Nie tylko z uwagi na złożoność całego projektu, który wymagałby specustawy przełamującej silosowość polskich ministerstw, i „podsiębiorczość” samych ministrów. To, przy odrobinie dyscypliny i presji społecznej, jest do przełamania. Wsluchując się w wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego i wicepremierów Morawieckiego oraz Gowina, mamy wrażenie, że tym razem determinacja polityczna doprowadzi projekt do końca. Rzecz w tym, że im większa determinacja, tym większe mogą być przeszkody w przyszłości.

PROJEKTY A WYBORY

Politycy żyjący w cyklu od wyborów do wyborów oprócz utraty władzy najbardziej obawiają się uznania cnót i osiągnięć swoich poprzedników. Trudno jest

Lotnisko politycznej

dla szybkiego ruchu kolei pasażerskich, jak i przesyłków towarowych. Od CPL promieniście rozchodziłyby się traktory do połączeń towarowych łączące środek Polski ze wszystkimi ważniejszymi ośrodkami handlowymi w Europie Środkowej. Dojazd do lotniska i centralnego węzła kolejowego mają zapewnić m.in. autostrada A2 oraz szybka kolej. Najsmakowitszym, a jednocześnie najbardziej kontrowersyjnym elementem całej układanki byłby wspomniany już przedłużony do „serca” Polski szeroki tor. Pozwalający na stworzenie między Warszawą a Łodzią potężnego europejskiego centrum przeładunkowego dla całej Azji.

CPL byłby najważniejszym państwowym projektem rządowym od czasów portu w Gdyni i COP.

Nie po raz pierwszy w naszej historii coś, co wydaje się proste i oczywiste dla

sobie wyobrazić sytuację, w której rząd PiS rozpoczyna budowę CPL, ogłasza to symbolem swoich rządów i przesłaniem dla potomnych, a po przegranych wyborach projekt jak gdyby nigdy nic kontynuowany jest przez wrogie mu ugrupowanie polityczne. Rzecz oczywiście jest wykonalna, ale z pewnością łączyłaby się z dużymi

opóźnieniami, modyfikacjami i udowadnianiem, że poprzednicy wszystko zepsuli. Obserwowaliśmy to na przykładzie gazoportu. Z lotniskiem może być jeszcze trudniej, zwłaszcza że wewnętrzna opozycja może okazać się silniejsza. Stąd też ważniejsze od studium planistycznego, które wkrótce ma podjąć rząd, jest przekonanie opinii

publicznej do samej idei: zachęcenie przedsiębiorców przyszłymi kontraktami, firm logistycznych nowymi perspektywami, podróżujących wyższą jakością lotów, a lokalne władze możliwością ekspansji gospodarczej gmin między Warszawą a Łodzią. Wszyscy pamiętamy port w Gdyni jako wielkie narodowe przedsięwzięcie II RP. Mało kto pamięta, jak wielką towarzyszyła mu akcja uświadamiająca i propagandowa. To był naprawdę narodowy projekt, z którego żaden rząd, choćby nie wiadomo, z jak totalnej wywodził się opozycji, nigdy by się już nie wycofał.

Politycznych przeszkód jest więcej. Mamy dziś gwiazdozbiór małych lotnisk otoczonych ogromnymi ambicjami lokalnych władz. Trudno jest je przekonać, że wiele z tych lotnisk przynosi więcej szkody niż pożytku. Mowa tu o obciążeniu lokalnych budżetów, o uzależnieniu od tanich i zagranicznych linii lotniczych, które nauczyły się wymuszać dotacje samorządów, ale mowa też o kurio-

zalnym modelu biznesowym – tanie i zagraniczne linie lotnicze „dostarczają” dziś podróżnych z Polski dużym międzynarodowym przewoźnikom do ich hubów w Niemczech, Wielkiej Brytanii i Emiratach Arabskich. A co najgorsze, za co w dużej mierze płacą polscy podatnicy dokładający się do obsługi lokalnych lotnisk. Po powstaniu nowego lotniska w Berlinie istnienie niektórych portów lotniczych straci jakikolwiek sens. Zamiast samolotem z Poznania pasażerowie będą dowożeni busikami wprost do niemieckich samolotów. Z punktu widzenia podatkników i LOT rzecz wydaje się absurdalna, ale dla lokalnych polityków i dyrekcji portów lotniczych ma głęboki sens. Według nich to Centralny Port Lotniczy jest anachronicznym pomysłem, który może zniweczyć wieloletnie starania o własne lotnisko.

W rzeczywistości konflikt jest mocno wirtualny. W miarę gdy dyskusja o Centralnym Porcie Lotniczym będzie przesuwana z mediów do pracowni planistycznych, szybko okaże się, że bez wzmocnienia pozycji lokalnych lotnisk, w tym Okęcia i Modlina, nie da się postawić CPL. Dla przykładu na długo zanim powstał plan budowy portu lotniczego Berlin-Brandenburg, powstała strategia dla regionalnych lotnisk, jak w okresie przejściowym

zapewnić płynność lotów. CPL też potrzebuje podobnej strategii. Jak przez 15–17 lat obsłużyć nieubłagalnie rosnącą liczbę podróżnych i nie oddać całego ruchu lotniczego zagranicznym przewoźnikom. Przepustowość Lotniska im. F. Chopina wyczerpie się w ciągu czterech–pięciu lat. Bez prac uzdatniających Okęcie i Warszawa-Modlin utkną na płycie lotniska, zanim pojawi się nowy port. Perspektywa 15 lat i dodatkowych inwestycji powinna uspokoić samorządy i dyrekcje lokalnych lotnisk. Raz, że większość z nich i tak zdąży w tym czasie dwa razy zmienić miejsce pracy, dwa, że ktoś wreszcie poważnie

ich potraktuje. Po raz pierwszy stworzona zostanie ogólnopolska strategia komunikacji lotniczej.

OPÓR SOJUSZNIKÓW

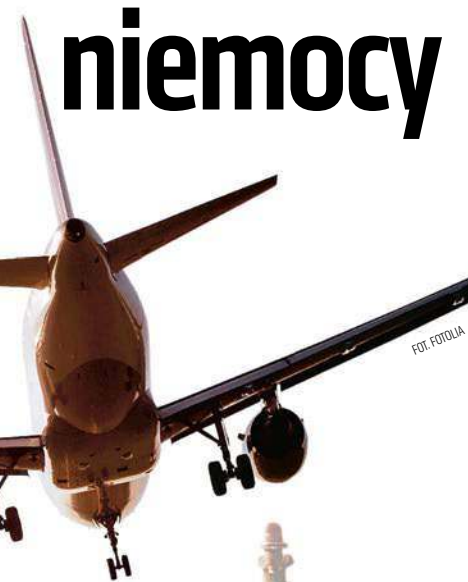
Nawet jeżeli spójną strategią uda się uspokoić samorządowców, to wciąż pozostanie opór naszych najbliższych sojuszników. Niemcy i Stany Zjednoczone niechętnie przyglądają się pomysłom polskiego rządu. Waszyngton i prezydent Trump uznają za bezpośrednie cios w USA jakiekolwiek strategiczne projekty oparte na ekspansji do Chin. Z kolei dla Niemiec budowa centralnego ośrodka komunikacyjnego i potężnego lotniska kilka godzin od berlińskiego hubu będzie bezpośrednim zagrożeniem nie tylko dla „mocarstwowych” planów Lufthansy, lecz także dla samego zachodniego sąsiada, od lat pretendującego do roli centrum gospodarczego Europy i traktującego państwa Europy Środkowej jako strefę swoich wpływów gospodarczych.

Niemcy mają ogromne możliwości wpływania na polską opinię publiczną za pośrednictwem zaprzyjaźnionych czy wręcz kontrolowanych przez siebie mediów. Nawet jeżeli Polska znajdzie w sobie dość determinacji, żeby postawić się Berlinowi, to już w przypadku Stanów Zjednoczonych rzecz wymagałaby nie lada finezji dyplomatycznej. Amerykanie z uwagi na zaangażowanie militarne w Europie Środkowej mogą działać także nieformalnie, już roszcząc sobie prawa do blokowania chińskiej ekspansji.

Jedno jest pewne – lobby przeciwko CPL będzie trudne do przełamania przy obecnym stanie świadomości naszej klasy politycznej. Bez klarownej strategii czy wręcz doktryny polityczno-gospodarczej określającej nasze narodowe cele nie sposób budować jakichkolwiek długodystansowych planów. Bez strategii narodowego rozwoju handlu i komunikacji, bez odpowiedzi na pytanie, gdzie będzie miejsce Polski za 20 lat, żadne lotnisko nie powstanie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

niemocy



FOT. FOTOLIA



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Zła
zmiana

Gdyby PiS nie złożył przed wyborami obietnicy cofnięcia jednej z niewielu naprawdę bardzo korzystnych dla Polski zmian, jakie wprowadził rząd Tuska – chodzi o wydłużenie wieku emerytalnego z 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn do 67 lat dla kobiet i mężczyzn – nie musiałyby jej po wygraniu wyborów realizować. I teraz – już po zrealizowaniu – nie musiałyby kombinować, jak zmniejszyć spodziewany, fatalny wpływ tego posunięcia na gospodarkę i szerzej – na Polskę. Niestety, politycy PiS nie poszli w porę po rozum do głowy, a potem nie potrafili wycofać się z niemądrej obietnicy.

Wskutek wejścia w życie – już w październiku – zrewidowanego przez rządzący PiS prawa o wieku emerytalnym w tym roku przejdzie na emeryturę, a więc porzuci aktywność zawodową, aż 460 tys. Polaków – wobec 225 tys. w roku 2015. To oznacza nie tylko koszmarny ubytek rąk do pracy, których i bez tego bardzo brakuje, lecz także gigantyczny wzrost obciążeń dla i tak już ledwie dyszącego, potwornie deficytowego ZUS. Dziura w jego finansach, która w 2015 r. sięgnęła 42 mld zł, w tym roku wzrosła z powodu owej nieprzemyślanej decyzji PiS o 5 mld zł, a w 2018 r. o 10 mld zł (a od 2021 r. – aż o 18 mld zł rocznie!).

Przynajmniej niektórzy politycy PiS doskonale zdają sobie sprawę ze zgubnych konsekwencji tej „złej zmiany”. I dlatego na gwałt szukają sposobu, by ludzi, którym właśnie przyznali prawo do

wcześniejszego przejścia na emeryturę, przed tym przejściem powstrzymać. Czyli próbują bohatercko rozwiązać problem, który sami stworzyli.

Pomysłów było już kilka, jeden kosztowniejszy od drugiego – dla podatników, dla emerytów albo dla jednych i drugich. Kto by się tam jednak nimi przejmował?! Przymierzano się więc do zakazania emerytom prawa do dorabiania na emeryturze ponad pewną – niewygórowaną – kwotę pod groźbą obniżenia wysokości lub w ogóle zawieszenia wypłaty emerytury w razie przekroczenia wskazanego progu. Rozważano możliwość zezwolenia emerytom na dorabianie, ale bez prawa zaliczenia tych zarobków do podstawy wymiaru wyższej emerytury. A całkiem niedawno pojawił się koncept, by zachęcać do nieprzechodzenia na emeryturę wypłacaną jednorazowo premią: 10 tys. zł za przepracowanie dwóch lat więcej, 15 tys. – trzech lat, i 20 tys. – czterech lat. Dzięki temu trikowi budżet państwa miałby tracić od 2018 r. 2 mld zł rocznie mniej.

Wszelako – Szanowni Liderzy PiS! – na wycofaniu się z pomysłu przywrócenia niższego wieku emerytalnego ten sam budżet od 2018 r. traciłby aż 10 mld zł rocznie mniej. Czy nie prościej więc (bo na pewno dużo taniej) byłoby – zamiast kombinować – szybko przyznać, że przyjęte przez rząd Tuska rozwiązanie emerytalne było dla Polski dobre, a jego likwidacja przez rząd Szydło błędna, i dlatego trzeba je jednak niezwłocznie przywrócić? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Człowiek
wolny

Szczur biegnący labiryntem podejmuje decyzję, żeby skręcić w lewo na rozwidleniu. Jest to świadoma i samodzielna decyzja podjęta przez szczurą. Przynajmniej tak myśli. W rzeczywistości grupa naukowców podłączyła elektrody do mózgu szczura i steruje nim za pomocą konsoli. Szczur biegnie w lewo, bo tak chce naukowiec prowadzący eksperyment, tylko szczur nie zdaje sobie z tego sprawy.

Podobne mechanizmy zachodzą w przypadku ludzi. Samodzielnie wybieramy

wykonywać albo stracić pracę i mieszkanie.

Kiedyś niewolnica nie mogła uciec, w świetle prawa musiała wrócić do swojego pana. Podobnie umocowany w kredyt frankowy szczur korporacyjny jest prawnie zmuszony do ciężkiej pracy albo straci mieszkanie. Kredyt zastąpił bat.

Wybory partii politycznej, na którą głosujemy, restauracji, w której zjemy kolację, samochodu, który kupimy, są dokonywane na podstawie precyzyjnie kierowanych komunikatów marketingowych, którymi jesteśmy bombardowani. Oczywiście wielu z nas jest przekonanych, że podejmuje swoje decyzje świadomie i niezależnie, że dysponuje wolną wolą, ale w praktyce nie różnimy się niczym od szczurów sterowanych z konsoli, które też są przekonane o tym, że same podejmują decyzje.

Co wyróżnia ludzi wolnych w XXI w.? Nie oglądają telewizji. Niczego nie muszą. W dowolnym momencie mogą radykalnie zmienić swoje życie, miejsce zamieszkania, zawód. Nie uznają żadnych trendów w dziedzinie mody, edukacji, stylu życia, religii. Celebrytów uważają za klaunów. Nie mają kredytów na mieszkanie. Ich korzystna sytuacja finansowa powoduje, że nieuniknione bankructwo ZUS nie ma znaczenia na starość. Nie chodzą na wybory. Są niezależni finansowo, intelektualnie i społecznie. ©©

Nie różnimy się
niczym od szczurów
sterowanych
z konsoli

miejsce na wakacje, markę i kolor samochodu, dzielnicę, w której kupimy mieszkanie, partię, na którą głosujemy. Jesteśmy wolni i mamy wybór. Czyżby?

A może jesteśmy jak szczury, którym wydaje się, że dysponują wolną wolą, ale faktycznie ktoś inny podejmuje za nas decyzje za pomocą konsoli sterującej naszym zachowaniem? Nie ma niewolnictwa, ale czym różnią się od niewolników miliony młodych osób, które wzięły kredyt na mieszkanie i muszą pracować w korporacji, żeby go spłacić? Nawet gdy szef uprawia mobbing, gdy otrzymują bezsensowne polecenia wymagające pracy w niedzielę, muszą je

TEST „DO RZECZY”: ADATA SD700, CZYLI SUPERODPORNY DYSK SSD

Przenośne dyski SSD stają się coraz tańsze, bardziej pojemne, a co za tym idzie – coraz bardziej popularne. Ich najważniejszą zaletą jest szybkość – tego typu gadżety są mniej więcej cztery razy szybsze od swych talerzowych odpowiedników.

W przypadku modelu SD700 maksymalne prędkości zapisu i odczytu sięgają 440 MB/s. To oznacza, że możemy z przenośnego dysku odtworzyć np. film w rozdzielczości 4K bez obaw o przycięcia. Przenośny dysk SSD można też wykorzystać jako dysk startowy i w ten sposób zafundować staremu laptopowi gwałtowną kurację odmładzającą.

Wysoką prędkość kopiowania danych udało się uzyskać dzięki zastosowaniu kości 3D NAND, które niczym technologia 4K zaczynają być coraz powszechniejsze w gadżetowym świecie. W porównaniu z kością pamięci flash są bowiem uważane za bardziej wydajne i niezawodne. ADATA zastosowała w tym przypadku szybkie złącze USB 3.1 – szkoda jednak, że producent nie zdecydował się już na nowocześniejsze złącze USB typu C.

Po stronie plusów przenośnych dysków SSD można też zapisać bezgłośną pracę, niewielki rozmiar i wagę. Model SD700 waży tylko 100 g



– czyli mniej więcej połowę tego co przeciętny tradycyjny dysk przenośny. Jego wymiary (83,5 x 83,5 x 13,9 mm) sprawiają zaś, że gadżet łatwo da się transportować, np. w kieszeni spodni. Nawet przy takim sposobie transportu dane powinny być bezpieczne. I to nie tylko dlatego, że dyski SSD są mniej podatne na uszkodzenia.

Projektanci firmy ADATA postanowili pokazać, co potrafią. Stworzyli więc produkt dla osób, które potrzebują przenośnego dysku SSD, zdolnego przetrwać w warunkach trudniejszych niż przeciętny open space w zagłębiu biurowców.

Model SD700 spełnia więc wojskową normę MIL-STD-810G 516.6, która potwierdza, że sprzęt ten jest odporny na upadki. Zamknięty w aluminiowej obudowie wzmocnionej gumą dysk jest też pyłoszczelny oraz wodoodporny (zgodnie z normą IP68, czyli do głębokości 1,5 m i maksymalnie na 30 min).

Dysk SD700 jest kompatybilny z systemami Windows, MacOS, Linux oraz Android. Bez problemu

można więc przenosić pliki np.

z komputera na smartfon lub odwrotnie (choć trzeba mieć do tego kabelek, którego w zestawie nie znajdziemy).

W wersji o pojemności 256 GB gadżet ten kosztuje 499 zł. Za przyjemność trzymania w dłoni przenośnego dysku SSD o dwa razy większej pojemności trzeba już zapłacić ok. 770 zł. ©©

Jacek Przybylski

NIETYKALNY ROWER

Dobra wiadomość dla miłośników pedałowania – teraz ukraść ich bicykle będzie znacznie trudniej. A to dzięki nowej, automatycznej blokadzie rowerowej. Bisecu – bo taką nazwę nosi urządzenie – to rodzaj inteligentnej kłódki, która aktywuje się, gdy urządzenie wykryje próbę kradzieży roweru. Kiedy to następuje? Gdy pojazdem próbuje poruszać się ktoś niewyposażony w telefon ze specjalną aplikacją i z zamieszczonym w niej kodem. Niczego nie trzeba otwierać, zamykać, przypinać, rozpinąć, wystarczy odejść z telefonem na pewną odległość, a blokada „uzbroi” się sama. Oczywiście ktoś może spróbować wziąć nasz rower „na barana” i urządzenie zdemontować w domu, ale Bisecu jest przygotowane i na tę ewentualność. Zamontowane w nim czujniki ruchu aktywują w takim przypadku 100-decybelowy alarm. Fajnie?

Pewnie, do czasu, gdy urządzenie uruchomi koleżanka z biura, która będzie chciała przesunąć rower stojący jej na drodze do kuchni czy toalety. Dla miłośników gadżetów też coś jest – aplikacja zlicza przejechaną odległość,

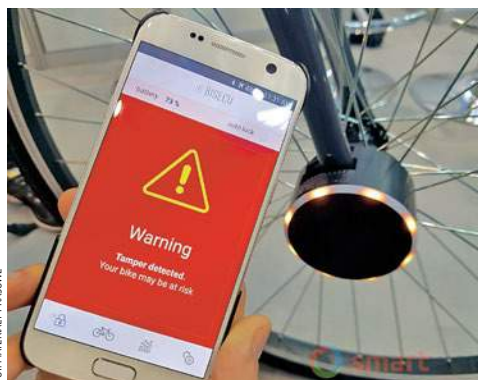
spalone kalorie i średnią prędkość. Bisecu zaprezentowano niedawno na targach Mobile World Congress w Barcelonie, w połowie roku ma zacząć się crowdfundingowa zbiórka na produkcję urządzenia.

SOLARNA CZAPECZKA

SolSol to czapeczka z solarnym daszkiem, który wylapuje promienie słoneczne. Chociaż buźki nam nie opali, to awaryjnie podładuje smartfon czy inne urządzenie potrzebujące pilnie zastrzyku energii.

Awaryjnie, bo szybkość ładowania nie jest zbyt duża – 200 mAh/godz., ale dla kogoś, kto pilnie musi wysłać e-mail z komórki albo wykonać telefon, nawet kilka „kresiek energii” będzie bezcennych. Sposób działania jest prosty – wystarczy daszek czapki połączyć przez USB z urządzeniem. Uwaga: to nie powerbank, energii więc nie zgromadzi, tylko przetworzy na nią promienie słoneczne. Jeśli więc wieczorem padnie wam telefon, to czapeczką SolSol możecie co najwyżej pomachać i liczyć, że ktoś zauważy sygnały. Plusem jest to, że czapeczki solarne odzwierciedlają obecną gustu w modzie, więc jeśli ktoś lubi nosić bejsbolówki, to obciachu sobie nią nie narobi. SolSol jest już w sprzedaży. Kosztuje ok. 200 zł.

©© **Wojciech Wybranowski**



FOT. MATERIAŁY PROSOWE





Katarzyna Pinkosz

Co roku udar ma 80–90 tys. Polaków. Dużej części tych przypadków można zapobiec, a przynajmniej tak leczyć, by nie dopuścić do inwalidztwa. Liczy się czas

Joanna (42 lata) miała jechać rowerem do klubu na trening siatkówki. Gdy brała prysznic, głowa zaczęła ją boleć z siłą nie do opisania. Wzięła środek przeciwbólowy, ale nie pomógł. Syn zwrócił uwagę na to, że Joanna ma problem z poruszaniem lewą nogą i ręką oraz z wysłowieniem się. Nie chciała jechać do szpitala, prosiła o kluczyki do samochodu, by pojechać na trening. Syn uparł się i wezwał pogotowie. Ratownicy od razu stwierdzili udar.

Józef też doskonale pamięta tamten dzień. Miał 50 lat: – To było jak choroba morska, kręciło mi się w głowie, zbierało mi na wymioty. Żona wezwała pogotowie. Mówiła mi potem, że wykręciło mi kącik ust, oko miałem przymrużone i mamrotałem, jakbym był po wódce – wspomina.

Jednym z czynników ryzyka jest wiek. Udary dotyczą głównie osób zdecydowanie dojrzałych (po 50. roku życia ryzyko co 10 lat się podwaja). Zdarzają się jednak też młodszym. 80 proc. to udary niedokrwiennne – wynik zamknięcia naczynia doprowadzającego krew do mózgu, np. przez skrzeplinę powstałą na pękniętej, oderwanej blaszce miażdżycowej w tętnicach szyjnych lub skrzeplinę w sercu. Pozostałe to udary krwotoczne (popularnie zwane wylewami krwi). Objawy są charakterystyczne.

– Część mózgu gwałtownie przestaje działać, człowiek nie jest w stanie np. podnieść kubka, bo ma niedowład ręki, chodzić, gdyż ma niewładną nogę. Mówi bezsensownie lub bełkotliwie, nie może sformułować odpowiedniego słowa, pojawia się asymetria twarzy, czasem mroczki przed oczami. Przy udarze niedokrwiennym rzadko boli głowa, za to przy krwotocznym ból jest bardzo silny – tłumaczy prof. Piotr Pruszczyk z Kliniki Chorób Wewnętrznych i Kardiologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

– Czasem objawy są mało charakterystyczne: zawroty głowy, nudności, wymioty. Ostatnio miałem pacjentkę, która

Zatrzymać udar



FOT. FOTOLIA

miała tylko zaburzenia świadomości. Wy-
siadła z samochodu i zauważyła, że jest on
cały poobijany. Okazało się, że jechała po
krawężnikach, zawadziła o latarnię – mówi
dr hab. n. med. Adam Kobayashi, kierujący
Centrum Interwencyjnego Leczenia Udaru
i Chorób Naczyniowych Instytutu Psychia-
trii i Neurologii.

RUCH, DIETA I LEKI

W Polsce co 10 minut jedna osoba ma
udar. Ponad połowie z nich można by zapo-
biec – wystarczy leczyć choroby zwięk-
szające jego ryzyko i zmienić tryb życia.

– Nadciśnienie zwiększa ryzyko pięć razy,
palenie papierosów dwa razy, nadużywanie
alkoholu trzy razy, cukrzyca trzy razy, wy-
sokie stężenie cholesterolu dwa razy, a brak
aktywności fizycznej trzy razy – wylicza
prof. Pruszczyk. Wszystko kumuluje się
u osoby, która ma nadwagę, nadciśnienie,
cukrzycę, wysokie stężenie cholesterolu,
a dodatkowo pali papierosy i większość
dnia siedzi na kanapie, oglądając telewizję
i popijając piwo. – Im pacjent starszy,
z licznymi czynnikami ryzyka,

tym większeprawdo-
podobieństwo
miażdżycy,
a to ona



powoduje
zwężenie
i niedrożność
tętnic w różnych
obszarach organizmu
– dodaje prof. Pruszczyk.

Za to skuteczne leczenie
nadciśnienia zmniejsza ryzyko
udar o ok. 30 proc., a nawet nie-
wielka aktywność fizyczna (codzienne
spacery 30–60 min) o ponad 10 proc.

Ryzyko gwałtownie za to rośnie u osób
z migotaniem przedsionków (chorzy
najczęściej nazywają je kołatanie serca).
Ma je 3 proc. osób powyżej 20. roku życia,
4 proc. po 65. roku i ponad 10 proc. po
osiemdziesiątce. Większość jednak w ogóle
nie jest świadoma, że choruje. Niektóre
osoby odczuwają znaczne osłabienie,
zmęczenie, kołatanie serca, ale część nie
ma w ogóle żadnych dolegliwości. Jednak
nawet bezobjawowe migotanie przedsion-
ków oznacza wysokie ryzyko udaru.

– Podczas każdej wizyty lekarz powi-
nien osłuchać pacjenta i zbadać mu tętno,
ale również sami pacjenci powinni umieć
ocenić jego miarowość. Można to zrobić
podczas mierzenia ciśnienia – mówi prof.
Pruszczyk. Nie jest to trudne, jeśli ktoś
robi to aparatem elektronicznym. Zwykle
sygnalizuje on dźwiękowo czynność serca.
Niemiarowy sygnał oznacza zaburzenia
akcji serca i trzeba iść do lekarza. – Konse-
kwencje migotania przedsionków mogą
być groźne, ponieważ w zakamarkach
gorzej kurczącego się przedsionka, głównie
w uszku lewego przedsionka, może po-
wstać skrzeplina, która jak pocisk dostaje
się do lewej komory serca, potem do aorty
i np. tętnicy mózgowej, zamykając ją i po-
wodując udar – tłumaczy prof. Pruszczyk.

W przebiegu migotania przedsion-
ków udar jest wyjątkowo groźny: aż
40–50 proc. osób umiera w pierwszym
roku po jego wystąpieniu. Dlatego tak
ważna jest profilaktyka – rozpoznanie
arytmii i eliminowanie czynników ryzyka:
leczenie nadciśnienia, cukrzycy, rzuce-
nie palenia i ruszenie się z fotela. Często
konieczne jest też podawanie leków prze-
ciwkrzepiających. Obniżają one krzepliwość
krwi, co hamuje powstawanie skrzeplin
w lewym przedsionku. Zmniejsza to ryzy-
ko udaru mózgu o ok. 70 proc.

– Wytyczne Europejskiego Towarzystwa
Kardiologicznego określają, jakie preparaty
powinny być stosowane. Można stosować
leki znane już od prawie 70 lat, którymi są
antagoniści witaminy K, jednak skuteczniej-
sze, wygodniejsze dla pacjenta i bezpiec-
niejsze są tzw. nowe doustne antykoagulan-
ty. Właściwie odchodzi się powoli od nazwy
„nowe”, ponieważ są dostępne od prawie 10
lat. Badania potwierdzają, że lepiej chronią
przed udarem, powodują mniej objawów
niepożądanych i bardziej wydłużają życie
niż starsze leki – zaznacza prof. Pruszczyk.
Niestety, dla polskich pacjentów wciąż są
nier refundowane.

Nowe leki są bezpieczniejsze dla pacien-
tów także dlatego, że w razie konieczności
– np. w przypadku nagłego krwawienia,
wypadku samochodowego – można
szybko odwrócić ich działanie, podając
lek przyspieszający krzepnięcie krwi. Nie
było to możliwe w przypadku preparatów
starszej generacji.

4,5 GODZINY

Joanna po udarze wróciła do spraw-
ności fizycznej – co prawda nie gra już
w siatkówkę, ale chodzi na spacer, siłow-
nię, tańczy. Zdrowo się odżywia. Mówi, że

dostała drugie życie i mocno je ceni. Miała
szczęście, bo szybko trafiła do szpitala.

Nie wolno czekać, aż bezwładna noga
czy ręka znów zaczną być sprawne,
a niewyraźna mowa i mroczki znikną. Jak
najszybciej trzeba jechać do szpitala na
oddział neurologiczny lub wezwać pogoto-
wie. Chory powinien trafić na specjalny po-
doddział udarowy (są w całej Polsce), gdzie
jest szansa na specjalistyczne leczenie.

– Od momentu wystąpienia pierwszych
objawów mamy tylko 4–4,5 godziny na
zastosowanie skutecznego leczenia. Tylko
w tym czasie po zdiagnozowaniu, że jest to
udar niedokrwienny, można zastosować
leczenie trombolityczne, rozpuszczające
skrzeplinę, która zatyka naczynie i powo-
duje uszkodzenie mózgu. Dlatego jeżeli
wystąpią podejrzanе objawy, nie należy
zwlekać ze zgłoszeniem się do lekarza.
Leczenie daje szansę na uratowanie życia
i znaczną poprawę stanu neurologicznego
– dodaje prof. Pruszczyk.

Jeśli na czas nie podejmie się leczenia, to
niedokrwione komórki mózgu obumierają.

– Często chorzy nie są świadomi
objawów – charakterystyczny dla udaru
jest tzw. zespół zaniedbywania: pacjent
nie zdaje sobie sprawy z tego, że coś mu
dolega. Widzimy, że nie rusza ręką, nogą,
a nie jest tego świadomy. Czasem mówi:
„Po nocy ręka mi trochę zdrętwiała, pocze-
kam, na pewno mi przejdzie” – dodaje dr
Kobayashi. Mówi, że powoli świadomość
objawów udaru się zwiększa. Do jego
ośrodka jeszcze kilka lat temu tylko ok. 10
proc. osób z udarem przyjeżdżało w tym
idealnym oknie terapeutycznym, teraz już
ponad 50 proc. Wciąż jednak wielu przy-
jeżdża za późno.

Szansą dla niektórych osób z udarem
niedokrwiennym jest też mechaniczna
trombektomia. Polega na wyciągnięciu
skrzepliny z tętnicy, co przywraca ukrwie-
nie. – Tę metodę można stosować do
sześciu godzin od wystąpienia objawów
udar, a być może nawet do 24 godzin. Na
razie ta metoda nie jest jeszcze refundowa-
na, ale trwają nad tym intensywne prace
– dodaje dr Kobayashi. Nie wszyscy jednak
będą mogli być jej poddani, podobnie jak
nie wszyscy po udarze mają szansę na
rehabilitację, choć jest ona niezbędna.
W Polsce zapewnioną ma ją tylko ok. 30
proc. osób po udarze.

Mimo poprawy leczenia udar nadal
jest najczęstszą przyczyną niepełności
wśród osób powyżej 30. roku życia. Warto
więc robić wszystko, by mu zapobiec



Z Maciejem Kotem,
skoczkim narciarskim polskiej kadry narodowej
rozmawia Łukasz Majchrzyk

Skoki jak wyścig zbrojeń

ŁUKASZ MAJCHRZYK: Narobiliście sporo zamieszania. Tak pięknej zimy polscy kibice skoków dawno nie mieli.

MACIEJ KOT: Rzeczywiście, było nas pełno w mediach, bo też było co świętować. Zainteresowanie jest zaskakująco duże.

Nagle wszystko zaskoczyło w kadrze skoczków. Trzeba było dokonać rewolucji?

Przede wszystkim zmienili się trener i cały sztab szkoleniowy, a za tym przyszedł inny pomysł na to, jak mamy skakać. Organizacja grupy, szkolenia. Pomysł Stefana Horngachera na pracę z nami jest inny, on ma bardzo indywidualne podejście. Oczywiście ważne były też zmiany techniczne i sprzętowe. Trenujemy zupełnie inaczej niż u Łukasza Kruczka.

Mówi się, że teraz to Polacy nadają ton skokom na świecie. Wszyscy chcą was podglądać. Co szykujecie nowego?

W skokach jest tak, że każdy każdego podgląda. My też próbujemy się dowiedzieć, co chowają inne reprezentacje, od tego się nie ucieknij. Największej obserwacji są poddani ci, którzy w danej chwili skaczą najlepiej. Nie spoczywamy na laurach, cały czas staramy się ulepszać.

Co można podejrzwać? Kiedyś Niemcy próbowali naśladować dietę Adama Małysza, czyli bułkę z bananem.

Teraz się podgląda sprzęt: wiązania, buty, może ktoś zmienił narty, ma inny kombinezon. Każdy nieustannie szykuje jakieś nowinki techniczne, to jest jak wyścig zbrojeń. Jeśli się da, to treningi

też podpatrujemy, ale już w mniejszym stopniu – bardziej po to, by nie zaniedbać niczego. Po prostu jesteśmy pewni pracy, którą wykonujemy.

Zdarzają się ludzie, którzy w krzakach siedzą z kamerą?

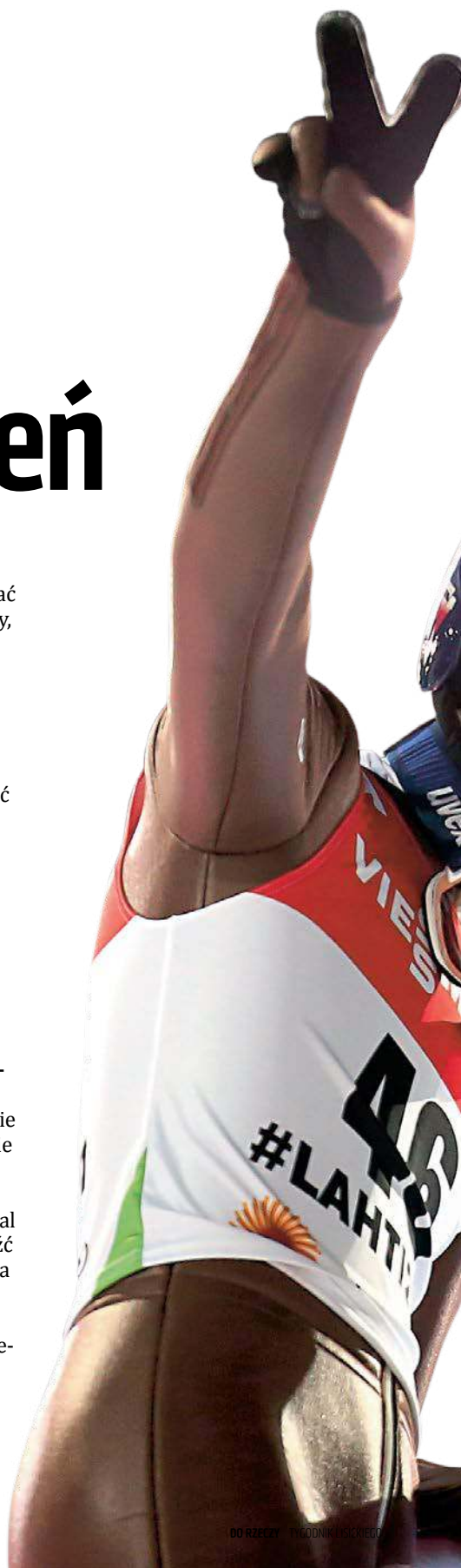
Takie oczywiste szpiegowanie, z kamerą czy aparatem, nie jest do końca możliwe (śmiech). Na górze, gdzie widać najczęściej, nie ma prawa przebywać nikt z kamerą, ani trener, ani nikt ze sztabu. Najwięcej zdjęć robi się na dole, po skoku. Tam można robić swobodnie fotografie, bo nikt nie zabroni. Potem, w zaciszu hotelowego pokoju, ktoś je analizuje. Może coś się uda zobaczyć, jakiś szczegół.

Patrzycie podejrzliwie na kibiców z aparatem czy telefonem i się zastanawiacie, czy to przypadkiem nie jest szpieg?

Wiemy, kto mógłby nam zrobić zdjęcie „do wykorzystania w przyszłości”, ale nie trzeba tego nawet robić. Każde zdjęcie, które pojawi się w Internecie, może być wykorzystane. Wystarczy wejść na portal związany ze skokami i już można znaleźć rzeczy, jakieś cenne szczegóły, zwłaszcza kiedy na ujęciu widać zawodnika, który się przebiera. Po skoku trzeba jak najszybciej się przebrać i schować kombinezon do plecaka.

Kryjecie się po kątach?

Przebieramy się w osobnych szatniach, takich domkach, które czasami widać w relacjach z konkursów.



Szatnia dla reprezentacji to jest świętość, tam nie ma prawa wstępu nikt spoza naszego grona: tylko zawodnicy i trenerzy. Media nie mogą tam wejść. To, co mamy w szatni, to nasza tajemnica.

Podobno doskonale rozumiecie się z Horngacherem?

To prawda, od początku byłem przekonany do nowego trenera i do zmian, które chciał wprowadzić. Jakbym miał zrobić salto w tył podczas treningu, bo Stefan mi każe, tobym zrobił. Darzę go wielkim szacunkiem i zaufaniem. Metody treningowe i jego wizja skoków były

zbieżne z tym, co mi się wydawało dla mnie najlepsze, a wcześniej nie zawsze tak było. Dużo łatwiej mi skakać w sposób, który wynika z mojej fizjologii. Taka naturalna technika była do tej pory typowa.

Jak skakaliście wcześniej?

Byliśmy dopasowywani do jednego wzoru skoku – takiego, jaki mieli Adam Małysz i Kamil Stoch. Nie potrafiłem sobie z tym poradzić. Wiele lat zmarnowałem na próbowanie czegoś, czego nie potrafię zrobić. Kiedy skaczę tak, jak jestem fizjologicznie nauczony, od razu widać efekty.

Podobno austriacki trener to człowiek bardzo wesoły i otwarty?

Stefan ma dwie twarze. Wielu odbiera go jako poważnego, skrytego, zimnego – to widać na skoczni, bo do pracy podchodzi w 100 proc. skoncentrowany i wszystko robimy bez taryfy ulgowej. Czasami potrafi jednak odpuścić. W kontaktach prywatnych jest bardzo sympatyczny, można z nim normalnie porozmawiać. Po ciężkich treningach w lecie powiedział: wypijmy przy kolacji po jednym piwie i pogadajmy, pośmiejmy się. Jest człowiekiem bardzo konkretnym i wszystko musi mieć zapięte na ostatni guzik.

Ciągłe jeździcie słynnymi busami na zawody?

Tak, ale na szczęście wywalczyliśmy nowe. Miejsca więcej nie ma, ale przynajmniej jest spokój, że się auto nie zepsuje.

Pracowałeś z bardzo dobrymi trenerami. Wypatrzył cię Hannu Lepistö.

Nie zapomniałbym też o Łukaszu Kruczkzu, z którym pracowałem najdłużej, ale bardzo miło wspominam czasy Hannu Lepistö. Jest jednym z pierwszych, który przysłał gratulacje mojemu tacie po moich dobrych występach. Lahti, gdzie pozwolił mi zadebiutować w konkursie drużynowym, zapamiętam do końca życia. To był przeskok o dwie ligi do góry, wielki szok i spełnienie marzeń. Pamiętam, że musiałem skakać jako przedszkoczek, bo nie mogłem być zgłoszony do konkursu indywidualnego, lecz tylko do drużynowego. Było trochę zamieszania proceduralnego, ale Hannu walczył o mnie jak lew.

Jesteś wychowankiem programu Lotos Cup „Szukamy następców Mistrza”. Widać, że jest was coraz więcej na wysokim poziomie. W Polsce skoki mają system szkolenia z prawdziwego zdarzenia?

Kamil Stoch, Piotrek Żyła i Stefan Hula to stara gwardia i oni się na ten program nie załapali, ale ja, Janek Ziobro, Klimek Murańka i wszyscy młodszy zawodnicy przeszliśmy przez ten program, osiągaliliśmy dobre wyniki. Dzięki niemu nastąpiła poprawa szkolenia i udało się wyłowić wiele młodych talentów. Firma Lotos wykonała wielką pracę, żeby skoki wyglądały teraz tak dobrze. Bez takiego sponsora ciężko byłoby finansowo spiąć różne rzeczy.

Wrzuciłeś do Internetu zdjęcie ubogiej stołówki na Turnieju Czterech Skoczni. Zawsze to tak wygląda?

Niestety, zawsze tak jest i uważam, że jest to bardzo wstydliva sprawa. Nie powinno to tak wyglądać na tak wielkiej imprezie. Jest wielka liczba reklam, mnóstwo mediów, kibice, z zewnątrz splendor, a później, tam, gdzie nikt nie widzi, nie dba się o najważniejszych aktorów tego przedstawienia. Podczas Turnieju Czterech Skoczni musieliśmy chodzić na catering dla dziennikarzy, żeby zjeść coś porządnego, bo u nas, oprócz bułki i parówki, nie było nic. Kiedy są zawody Pucharu Świata, np. w Wiśle, to catering jest super – wszystkiego jest dużo, można wybrać sobie coś na ciepło, na zimno i każdy może zjeść obiad lub kolację. Widać polską gościnność. Na Turnieju Czterech Skoczni jest pod tym względem bardzo słabo.





JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Kartofle dobre na wszystko

Przed XIX w. ziemniaki w kuchni polskiej występują tylko w anegdotach: pierwszej – że we Wrocławiu jakoby uprawiano je ok. 1588 r., drugiej – że na Pomorzu propagowała je w dawnych czasach rodzina Wybickich. Trzecia chyba najbliższa jest prawdy – worek lub kilka funtów miał przywieźć z wyprawy wiedeńskiej król Jan III Sobieski dla Marysienki i tak zaczęła się ich uprawa w Wilanowie. Jednak mimo że znano je od połowy XVIII w., dopiero pod koniec stulecia staną się podstawą żywienia chłopów i części ludności miast.

Kolejna epoka przynosi nam prawdziwy wysyp przepisów na przyrządzanie ziemniaków. Zaczynając od „Nowego, wybornego i najtańszego kucharza, czyli sposobu sporządzania najsmaczniejszych potraw z kartofli...”, a kończąc na podręcznikach Lucyny Ćwierczakiewiczowej, książki pełne są najróżniejszych sposobów na podanie ziemniaków. W pierwszej znalazły się przepisy na przygotowanie sera z ugotowanych i startych na tarce kartofli pomieszanych ze zsiadłym mlekiem i z solą, rozwałkowanych na masę i pozostawionych na kilka dni w chłodnej piwnicy, z dodatkiem kminku lub anyżu. Przygotowa-

naną w taki sposób masę suszono na wolnym powietrzu, w cieniu, a jeśli zaczynała pękać i się kruszyć, to smarowano ją śmietaną.

Inne przepisy są jeszcze dziwniejsze, np. na piwo i wino (sic!) z kartofli. W pierwszym przypadku gotowano kartofle jak na wódkę, na parze, mielono, rozgotowywano w 800 kwartach zwykłej wody, osobno przygotowywano jęczmieniowy sód i przenoszono do niego ziemniaczaną masę, postępując dalej podobnie jak ze zwykłym piwem, czyli ściągając brzeczkę, przegotowując ją ze słodem, precedzono do kadzi i dodawano drożdży, wreszcie rozlewano do beczek, gdzie owo „piwo” fermentowało. Wino przygotowywane było z kolei z kartoflanego cukru (krochmalowego), winniku, imbiru, rodzynek i cytryn. Gotowano je, dodając rozgniecione rodzyнки, cukier i rozgnieciony na proszek winnik, a mieszaninę rozlewano do beczek, dorzucając drożdży, a potem cytryny i tłuczonego imbiru. To jednak jeszcze nie koniec. „Nowy kucharz...” podaje bowiem kolejne przepisy na... kawę z kartofli, mydło i na koniec – na świecę z krochmalu.

W książce znalazły się oczywiście normalne przepisy na dania z ziemniaków,

poczynając od najbardziej znanego – kartofli w mundurkach, przy czym autor podaje sposoby, jak pozbyć się przykrego, ziemnego smaku: zmieniając wodę i gotując warzywa dwa razy oraz dorzucając przed ugotowaniem trochę soli albo kminku do wody. Są też kartofle w mundurze przygotowywane na sposób amerykański – bo do gotującej się wody dorzucano... niegaszonego wapna.

Inne specjały to oczywiście nieśmiertelna zupa kartoflana, przygotowana np. z kuropatwy, kartoflana zupa angielska z ryżem, mlekiem albo rosołem, kartofle z marchwią, pęczakiem, z rzepą, kalafiorami i mlekiem. A także z karpem, sztokfiszem i baraniną.

Trzydzieści lat później Lucyna Ćwierczakiewiczowa podaje już całkiem swojskie sposoby. A więc kartofle smażone i ze śmietaną, z grzybami, a przede wszystkim znane dziś powszechnie purée. Są też – o dziwo! – pączki kartoflane z pół garnka ziemniaków z solą, startych na tarce i rozmieszanych z dwiema łyżkami kwaśnej śmietany. Do tego dorzucano trzy żółtka, startą cebulę, a potem masę ową nakładano na blachę, smarowano rozbitym jajkiem, posypywano tartą bułką i pieczono w piecu. ©



Ziemniaki nadziewane grzybami

Świeże lub suszone grzyby gotujemy, siekamy i przysmażamy w maśle z dodatkiem startej cebulki. Dodajemy pieprzu, soli, tartej bułki, wbijamy parę żółtek i jedno całe jajko, mieszamy. Obieramy surowe kartofle, ścinamy ich wierzchy, drążymy i napełniamy farszem. Przykrywamy „czapeczkami”, kładziemy w garnku, zalewamy rozpuszczonym masłem oraz kilkoma łyżkami bulionu, dusimy, aż będą miękkie.

Ziemniaki ze śledziem

Gotujemy pół kilograma kartofli, potem kroimy je na plasterki. Bieremy parę wymoczonych śledzi, siekamy drobno, osobno przygotowujemy kilka posiekanych cebul smażonych na maśle. Bieremy rondel, smarujemy masłem, kładziemy do niego po kolei: kartofle, śledzie i cebulę, posypujemy tartą bułką, zalewamy rozpuszczonym masłem z cebulą i pieczemy przez kwadrans w dobrze nagrzanym piekarniku.

MAŁGORZATA KALICIŃSKA ZAPRASZA DO STOŁU

Spędziłam w Korei Południowej wiele lat. W swojej kuchni wykorzystuję sposób jedzenia, który ukochali Koreańczycy.

Rzecz nazywa się samgyeopsal. Na stole stawiamy grill (na węgiel, gaz lub elektryczny, obojętne jaki; ważne, żebyśmy siedzieli w jednakowej odległości od niego) i układamy cieniutko pokrojone mięso w niewielkich kawałkach. Nie musi być to jeden rodzaj mięsa, ale do grillowania najlepiej nada się lekko tłuste. Koreańczycy uwielbiają chrupiący, smażony boczek, więc używają głównie tego rodzaju mięsa. Ja bardzo mocno zmrzam karkówkę, tnę ją cieniutko i jeszcze rozbijam, a potem kroję na paseczki. Oprócz tego na stole stawiamy miseczki z różnego rodzaju przekąskami i piklami. W Korei nazywają je banchan. Na dużym talerzu lub tacy układamy umyte liście różnych rodzajów sałaty, kapusty i innych warzyw liściastych oraz sos sojowy podawany podobnie do japońskiego ponzu – jako „maczanke”.

Siadamy wokół stołu, każdy ma pałeczki, a oprócz tego na stole są szczypczyki i nożyczki. Obsmażamy spore kawałki cienkich plastrów i nożyczkami tnemy na mniejsze porcje, żeby więcej osób mogło sobie po nie sięgnąć. Każdy taki kawałek mięsa zanurza się w tej maczance, zawiąza w liść i wkłada do ust. Można też włożyć jakieś pikle, odrobinę pasty koreańskiej, którą w Polsce możemy

zastąpić musztardami i innymi sosami.

Rzecz cała polega na tym, że do tej potrawy nie dodaje się ryżu, kluch, frytek, chleba. Zjada się sporą ilość białka i ogromną ilość błonnika. Przy okazji jest to bardzo „socjalizujące”, ponieważ obsmażamy, rozmawiamy, śmiejemy się, podtykamy sobie co smaczniejsze kaski. Każdy ma inny smak, bo dajemy jakiś inny dodatek – raz jest to oliwka, raz jest to cebulka, raz jest to kimchi.

Michał Rusinek powiedział kiedyś, że czymś niezwykle smutnym jest jedzenie posiłków w samotności. Miał rację. Samotnie można zjeść szarlotkę, ale nie obiad. ©©

oprac. raw

Małgorzata Kalicińska jest pisarką, autorką m.in. serii „Nad rozlewiskiem” oraz książki reportażowej o Korei Południowej „Dom w Ulsan”.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Dobre jedzenie. I nasze

To jest książka „O dobrym jedzeniu”. O dobrym i w dodatku polskim. Bez wyszukanych przepisów, bez zawracania głowy nowymi dietami, bez najnowszych teorii żywieniowych. To opowieść o poszukiwaniu źródeł polskiej kuchni. O rolnictwie, o ekologii, przyrodzie, tradycji. Dużo ciekawych historii o ludziach.

To jasne, że chcemy zdrowo i dobrze jeść, a banałem jest już mówienie, że zdrowe jest to, co rośnie blisko. Jak mogą dzisiaj służyć zapomniane techniki, historyczne receptury? Agata Michalak, dziennikarka, redaktorka magazynu kulinarnego „Kukbuk”, odszukała tych, którzy się temu poświęcili, czasem porzucając miejskie życie, czasem rozwijając swój zawód na wsi. Opowiadają: świadomi rolnicy, przetwórcy, restauratorzy, kucharze. Entuzjaści dawnych odmian, dbający o nasiona jak o klejnoty, kulinarni aktywiści walczący o sensowne menu w polskich stołówkach.

Mamy rozdrobnione rolnictwo i to jest nasza szansa, bo świat zrozumiał dawno, że wielkoobszarowe farmy to nic dobrego. Nie chcemy żywności zawłaszczanej przez konglomeraty spożywcze, które karmią nas chemią. Choćby chleb. Choćby mamy piękne tradycje uprawy i przetwórstwa zbóż, to dzisiaj to, co kupujemy w supermarketach, jest żalosną imitacją prawdziwego pieczywa. Tę nawozu, mąka przechowywana w wielkich silosach, przemysłowo mielona, barwniki i spulchniacze. A przecież żeby powstał smaczny, prawdziwy chleb,



AGATA MICHALAK
„O DOBRYM JEDZENIU OPOWIEŚCI Z POLA, OGRODU I LASU”
CZARNE 2017

potrzeba niewiele: dobrej mąki i zakwasu. Opowiada o tym Mieczysław Babalski, z wykształcenia inżynier zootechnik, który w swoim gospodarstwie ekologicznym niedaleko Brodnicy uprawia stare gatunki pszenicy i orkiszu. A sery? Dlaczego jemy gumowate wytwory wielkich mleczarni? Badania archeologiczne wykazały, że w Polsce sery produkowano już 7,5 tys. lat temu. Powstają sery różnych typów: krowie, kozie, owcze według starych receptur. Festiwal Czas na Ser, który entuzjaści nowego serowarstwa powołali do życia w 2011 r., ma promować takie rzemieślnicze wyroby. Szparagi, dynie z gospodarstwa Majlertów zrobiły już karierę w Warszawie – ludzie gotowi są jechać przez korki aż na Białąkę, żeby w sezonie na szparagi przywieźć świeżo zebrane pęczki.

Mamy lasy, w nich bogactwo ziół i grzybów, jeziora, stawy, morze. Trzeba to tylko umieć wykorzystać. Jedźmy to, co nasze. Sprawdzajmy, skąd pochodzi. Mamy już oznaczenia: Chroniona Nazwa Pochodzenia, Chronione Oznaczenie Geograficzne. Bryndza podhalańska, chleb prądnicki, miód kurpiowski, truskawka kaszubska, karp zatorski, jagnięcina podhalańska. Jest w czym wybierać. ©©

TEST „DO RZECZY”: MERCEDES A220 4MATIC

Niby-kompakt, ale wariat. Tak w największym skrócie można opisać usportowioną wersję najmniejszego modelu Mercedesa. Specjalny pakiet stylistyczny – grill z chromowanymi uzupełnieniami, sportowe zderzaki i sportowe 18-calowe felgi – w połączeniu z krwistoczerwonym kolorem testowanego auta sprawiają, że samochód wygląda drapieżnie niczym hot hatch, czyli sportowy samochód ukryty w nadwoziu praktycznego hatchbacka. W tego typu przypadkach „gorąca” wersja danego modelu to zupełnie inna bajka niż o wiele tańszy model podstawowy. I chociaż testowany egzemplarz to jeszcze nie legendarna wersja A45 AMG, to już można się nim dobrze pobawić.

W KABINIE

Wnętrze zaprojektowano tak, aby czuć w nim było sportowego ducha. Kubełkowe skórzane fotele ze zintegrowanymi zagłówkami są wygodne i właściwie wyprofilowane. Miejsca z przodu jest zupełnie wystarczające. Nieco gorsze warunki czekają na pasażerów z tyłu – dwie dorosłe osoby zmieszczą się jednak z powodzeniem.

Gruba, mięsista, ścięta u dołu kierownica wygląda bardzo dobrze i dobrze leży w rękach. Świetne wrażenie robią też klasyczne zegary prędkościomierza i obrotomierza. Skórzaną deskę rozdzielczą ozdabia zaś charakterystyczny dla aut tego typu czerwona nić, a także



FOT. MATERIAŁY PRÓBNE



rozpoznawalne wloty powietrza. Za wrażenie luksusu odpowiadają zaś nie tylko skóra, lecz także metal, materiał stylizowany na włókno węglowe, a także ogromny szklany dach.

Przyczepić można się jedynie do zamontowanego na środku deski rozdzielczej tabletu, który wygląda na nieco przestarzały gadżet. Nie zachwycą również bagażnik. Kufer o pojemności 341 l jest jednak wystarczający, aby np. wycożyć na weekend za miasto.

JAZDA

Dwulitrowy doładowany silnik benzynowy o mocy 183 KM w zestawieniu z napędem na obie osie (4Matic) i automatyczną siedmiobiegową skrzynią sprawdza się nieźle. Jeśli chcemy bardziej dynamicznych przełożeń, to możemy

skorzystać z łopatek za kierownicą i samodzielnie redukcować biegi. Układ kierowniczy jest precyzyjny. A sportowe, twarde zawieszenie, nieźle przyspieszenie (od 0 do 100 km/godz. w 6,9 s) oraz prędkość maksymalna wynosząca niemal 230 km/godz. sprawiają, że niezależnie od tego, czy wybierzemy komfortowy czy sportowy tryb jazdy, możemy poczuć się niemal jak za kierownicą rasowego hot hatcha. Na pochwałę zasługują też trakcja – szerokie, stabilne auto nawet na bardzo mokrej nawierzchni trzyma się drogi niczym przyklejone – a także dobre wyciszenie kabiny. Oczywiście twarde zawieszenie zmniejsza nieco komfort podróżowania po dziurawych drogach. Poruszanie się po mieście ułatwiają zaś niewielkie gabaryty auta.

Średnie spalanie podczas testu wyniosło 9,3 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Mercedes A220 zdobył maksymalną ocenę pięciu gwiazdek. Auto sygnalizuje też kierowcy, gdy ktoś znajduje się w martwym punkcie lusterek, a także ostrzega, gdy bez włączonego kierunkowskazu zaczynamy zmieniać pas.

CENA

Najtańszą wersję klasy A (A 160) można kupić za 88,9 tys. zł. Dostaniemy jednak wówczas auto ze słabutkim silniczkiem o mocy 102 KM i sześciobiegową manualną skrzynią biegów. Na A220 trzeba już wydać ok. 120 tys. zł. Testowany egzemplarz z pakietem sportowym, ze szklanym dachem, z LED-owymi reflektorami etc. kosztuje już jednak ok. 180 tys. zł.

KONKURENCI

Audi S3, BMW M140i, Ford Focus RS, Honda Civic Type R, Kia Optima GT, Opel Astra OPC, Peugeot 308 GTI, Volkswagen Golf R, Volvo V40 T5.

Jacek Przybylski





Wiosna z liderem niezawodności



RENTIS
Smart way to rent a car



+48 720 200 500



www.rentis.pl



info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 309 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307



**GAZELE
BIZNESU**

17. EDYCJA RANKINGU NAJBARDZIEJ DYNAMICZNYCH MAŁYCH I ŚREDNICH FIRM





MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Skok martwego kota

MARCIN MAKOWSKI: No i stało się – Geert Wilders nie wygrał wyborów w Holandii. Zamiast niego na fotelu szefa państwa po raz drugi zasiadzie centroprawicowy Mark Rutte. Media na całym świecie odetchnęły z ulgą, wyrokując „potężny cios w europejską falę populizmu”.

MATTHEW TYRMAND: O tak, szczególnie w CNN niewiele zabrakło, aby Christiane Amanpour – główna korespondentka ds. międzynarodowych – otworzyła szampana na wizji. Wszędzie jak mantrę powtarzano, że Europa zaczyna się wzmacniać i wychodzić z kryzysu ideowego. Poza tym odrzucenie porażki Wildersa sypcha na dalszy plan to, że jego Partia Wolności zwiększyła swoje przedstawicielstwo w holenderskim parlamencie, a sukces Ruttego polegał m.in. na tym, że umiał na czas wyborów przyjąć lżejszą od populistów wersję antyimigracyjnej i sceptycznej wobec ekspansji islamu retoryki, która w kontekście napięć z Turcją przemówiła do wyborców. Przestrzegalbym przed tryumfalizmem i łączeniem sytuacji w Holandii z przegranymi przez Norberta Hofera wyborami prezydenckimi w Austrii. Unia jest daleko od odetchnięcia z ulgą i powrotu do

projektu integracji oraz globalizacji. W ekonomii taki stan nazywa się potocznie „skokiem martwego kota” i obserwujemy go wtedy, gdy przy krachu jakichś akcji następuje krótkotrwały powrót do normy, po którym ciągną się dalsze spadki.

Czyli Austria i Holandia to nie „powrót do normy”, tylko wypadek przy pracy światowego populizmu? Martwy kot pozostanie martwy, a nas czekają dalsza polaryzacja i defragmentaryzacja światowej polityki? Mało optymistyczny scenariusz.

Ja nie oceniam go pod kątem emocji, tylko interesów państw, które zaczynają dostrzegać, że globalizm, który służy silnym, jest w rzeczywistości zakamuflowaną polityką interesu narodowego tych pierwszych kosztów słabszych, którzy zostają wprowadzeni do roli rynków zbytu np. dla Niemiec i Francji. Populizm, pomimo swojej skrajności, zwraca uwagę na tę podstawę obecności kryzysu politycznego i namawia do powrotu do starych zasad konkurencji między państwami, które same wiedzą najlepiej, jak walczyć o swoje partykularne interesy. Nie bez powodu wszę-

dzie na świecie za takim stanem rzeczy opowiadają się wyborcy bardziej doświadczeni. Młodzi, co widać było po bardzo niskim poparciu Wildersa wśród młodszych, jeszcze nie rozumieją następstw polityki socjalnej, z której korzystają. Jeszcze nie czują, że te wszystkie erasmusy, na które wyjeżdżają, żeby upijać się za granicą, zamiast studiować, oparte są na kruchych fundamentach tożsamości interesów i idei różniących się od siebie priorytetami politycznymi państwa.

Jak twoim zdaniem mają się obecne polityczne przetarasowania do relacji USA – Europa, szczególnie po wizycie Angeli Merkel w Waszyngtonie? Zbyt różowo to nie wyglądało, a newsem dnia okazała się rzekoma odmowa Trumpa, który nie chciał przed kamerami uściśnąć dłoni niemieckiej kanclerz.

Kolejny świetny przykład „fake newsa”. Ludzie, których znam i którzy byli na miejscu, twierdzili, że Trump po prostu nie słyszał prośby fotografów o uściśnięcie dłoni. Po co miałyby to robić w taki sposób? Przecież Trump podałby dłoń każdemu, mówiąc ewentualnie, że się z nim nie zgadza. Wcześniej nie miał problemu z Obamą. Sprostowania Białego Domu nie było, bo okazało się, że wyborcom taki „gest” się spodobał. W każdym razie to może być w pewnym sensie zapowiedź ochłodzenia relacji Niemcy – USA. Jeśli chce się ustawić na nowo rzeczy tak istotne jak wzajemna wymiana gospodarcza, zaangażowanie w NATO i postawa wobec kryzysu uchodźczego, to nie da się negocjować z uśmiechem na ustach. A fala właśnie takich trudnych negocjacji współpracy transatlantyckiej dopiero przed Waszyngtonem. ©©



ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI



od teraz
Telewizja Republika
ZA DARMO w Internecie

www.telewizjarepublika.pl



republika



OKIEM BLOGERKI

Oszczędzić Lisa

KATARYNA

LESZEK MILLER: W 1999 r. brałem udział w operacji ratunkowej związanej z „golenią” prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Po przylocie z Katynia i Charkowa w mroku alejek Ogrodu Saskiego przekonywałem Zygmunta Solorza i Piotra Nurowskiego, aby Polsat nie emitował zdjęć zataczającego się prezydenta. W końcu uzyskałem deklarację, że jeśli inne stacje nie podejmą tematu, to Polsat też tego nie uczyni. Inni wysłannicy prezydenta przynieśli podobne ustalenia.

Na dłuższą metę pluralizm mediów się nam po prostu opłaca, choć nigdy nie opłaca się aktualnej władzy

Młodzież już nie pamięta tamtych czasów i pewnie nie będzie sobie w stanie takiej sytuacji wyobrazić, ale w efekcie tej „operacji ratunkowej” materiał z „wpadki” nie miał być pokazany, a ostatecznie media opublikowały go po kilku dniach. Być może – tak jak Mariusz Walter – bali się, że im taśma z pijanym prezydentem „wypierdoli stację w powietrze”, a może

po prostu za swoją misję uznawały wtedy osłanianie władzy przed zbyt krytycznym okiem suwerena.

Jakie to szczęście, że powrót do tamtej rzeczywistości wydaje się dzisiaj niemożliwy, prawda? Nie mam wątpliwości, że dzisiejsze „Wiadomości” oszczędziłyby swoim widzom widoku pijanego prezydenta Dudy, tak jak „Newsweek” nie nagłośniłby pijackiego wysokołu prezydenta Komorowskiego, bo każde z tych mediów ustawiło się i trwa w partyjnych okopach, ale bez względu na to, jak stronnictwa będą relacje w każdym z tych mediów, widz i czytelnik nie ma możliwości przegapić niczego, co była, obecna czy przyszła władza chciałaby przed nim ukryć. Musi się tylko trochę więcej naczytać, żeby sobie w miarę prawdziwy obraz rzeczywistości uskładać z tego, co mu serwują poszczególne media. Ryszard Bugaj lubił mówić, że „dramat dla wolności słowa zaczyna się nie wtedy, gdy jedno media jakąś sprawę nagłaśniają, inne zaś ją przemilczają, lecz wtedy, gdy zdecydowana większość mediów to samo nagłaśnia i to samo przemilcza” i trudno mu nie przyznać racji.

Dopóki więc „Newsweek” czy „Fakt” nagłaśniają tematy, które chciałyby przemilczeć „Wiadomości” czy „Gazeta Polska Codziennie”, dopóty nie przeszkadza mi, że są, nawet gdyby doraźnie miały szkodzić rządowi, który akurat popieram. Bo na dłuższą metę pluralizm mediów się nam po prostu opłaca, choć nigdy nie opłaca się aktualnej władzy.

Nie wiem tylko, na co PiS liczy, otwierając nowy front zapowiedziami „repolonizacji” mediów. Nawet gdyby to było wykonalne – a wątpię, czy jest – to robienie z Tomasza Lisa męczennika walki o wolność słowa jest dla PiS dużo mniej opłacalne niż utrzymywanie go jako swojego hejtera, na przykładzie którego można praktycznie co tydzień pokazywać, jak bardzo stronnictwa i nienawistna bywa krytyka rządu. „Newsweeka” nie trzeba niszczyć, zwłaszcza gdy się wie już aż za dobrze, że większość dotychczas niszczonych przez PiS tylko na tym zyskuje w oczach opinii publicznej. Dużo korzystniej jest pozwolić mu być właśnie takim, jaki jest. Zwłaszcza po liście Dekana, który PiS powinien traktować jako niezasłużony dar od losu. ©

PODSŁUCHANE

Sugestia

– Dzień dobry, panie prezydencie.

Proszę, pan siada.

– Nie, to pan niech siada, panie ministrze. Ja jestem u siebie.

– Ale ja już siedzę.

– No, faktycznie... Wzwałem pana...

– Zaprosił mnie pan.

– ...ponieważ pańskie odpowiedzi na mój list mnie nie satysfakcjonują. Chciałbym...

– Czy pan rozmawiał może ostatnio z ojcem Tadeuszem?

– Z kim, przepraszam?

– Z ojcem. Dyrektorem. Ojciec Tadeusz jest tylko jeden, tak jak ojciec Mateusz.

– Zaraz, zaraz, o czym pan właściwie mówi?

– Otóż ojciec dyrektor jest panem prezydentem bardzo rozczarowany. Sam mi to powiedział z własnej inicjatywy, nawet nie pytałem.

– Panie ministrze, chciałbym, żebyśmy wrócili do tematu...

– W szczególności ojca dyrektora martwi pański stosunek do osób, które ojciec dyrektor uznaje za najlepszych Polaków. Nie muszę

chyba konkretnie wskazywać, o kogo chodzi.

– Nie musi pan, bo niespecjalnie mnie to...

– Biorąc pod uwagę pozycję ojca dyrektora, radziłbym panu prezydentowi poważnie zastanowić się nad swoim postępowaniem. To jest oczywiście tylko moja sugestia.

– Moja sugestia natomiast jest taka, że za dużo pan sobie...

– Przepraszam, czy ma pan do mnie jeszcze jakąś sprawę? Bo jeśli nie, to pozwoli pan, że zakończymy spotkanie. Mam ważne spotkanie z jednym ze swoich młodych doradców. © Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS chce lotniska – proponuję w Siewiernym pod Smoleńskiem”.

JOANNA SENYSZYN,

była eurodeputowana SLD, na Twitterze

„Aby było tak jak było”

fol. Jerzy Gumowski



Przez cały 2016 rok z ust rozlicznych manifestujących KODomitów, których pytano dlaczego demonstrują ulicznie, słyszeliśmy, że chcą „aby było tak jak było”.

Czyli żeby wróciły czasy dominacji Salonu i żeby wszystko znowu było jak za rządów Platformy, a wcześniej Unii Wolności. Bo to, co jest teraz, to armagedon/apokalipsa/anihilacja, kompletna demolka praw oraz wartości, deregulacja sprawiedliwości, degrengolada praworządności, demontaż majątku narodowego, itd. Przyczynę tej megakatastrofy wyjaśniła społeczność stara ćpunka Kora w rozmowie z „Newsweekiem”: „— Kraj jest niszczonej przez Kaczyńskiego. To psuj. Wielki psuj. On i jego partia holdują brzydocie. Narzucają swoją wizję świata. Świata, którego brzydota nas poraża, z którym się nie identyfikujemy” (2017). I wyraziła swą tęsknotę za światem, który minął wskutek wyborów roku 2015, dołączając tym do chóru celebrytów pragnących „aby było tak jak było”.

Lecz gdyby któremś spośród tych miłośników „retro” kazać uściślić te marzenia o „POLonia redivivus”, to przecież nie powtórzy kolokwialnego słowotoku przyjaciół ministerialnych chłających u „Sowy” („państwo teoretyczne”, „ch... d... i kamieni kupa”, etc.), tylko będzie szukał jakichś innych niż „ciepła woda” walorów. Zazwyczaj każdy taki nostalgik ma duże trudności ze wskazywaniem konkretnych czarnych stron reżimu pisowskiego i rujnujących następstw polityki uprawianej przez PiS (dawną szefową radiowej Trójki, pani Jethon, mimo kilkuminutowych wysiłków indagującą ją dziennikarza, nie była w stanie podać choćby jednego (!) konkretnego przypadku „odbierania swobód” i „nieprzestrzegania konstytucji” przez PiS, czym wcześniej epatowała hasłkowo/ogólnikowo), każdy papla zdartymi kliszami o „braku wolności” (modelka Ilona Felicjańska: „— Poczułam potrzebę, żeby być pod Sejmem w grudniu, bo to, co dzieje się wokół nas, to ewidentne odbieranie wolności”), kiedy natomiast rozrzucony patrzy wstecz, to... też (o dziwo) bez żadnych szczegółów. Wspomóżmy więc jego nostalgię za Tuskołandem i wypunktujmy co trzeba zrobić, aby znowu było tak jak było przed dniem wyborów. Konieczne są następujące przywrócenia:

1. Regulacje prawne (ustawowe) i administracyjne zezwalające bogacić się forswonie „służbowym” oligarchom w rodzaju Kulczyka i nękać (obdzierać do gołego) katolickich przedsiębiorców w rodzaju Kluski.

2. Polityka społeczna i finansowa czyniąca biednych jeszcze bardziej biednymi.

3. Polityka fiskalna, łupiąca bezlitośnie (i często bezzasadnie) klasę średnią, a przytykająca wzrok na przekręty rekinów rynku (jako alibi takiej łaskawości wskazywano okoliczność, że prawnicy megahochsztaplerów są dużo lepsi od ekspertów fiskusa).

4. Fałszywa reprivatyzacja (kamienice, grunty) lub prywatyzacja mienia po „cenach preferencyjnych” (za grosze) dla „samiych swoich” zblatowanych z ratuszową i samorządową biurokracją, dająca bezprawne zyski wielomilionowe.

5. Ochrona „piramid finansowych” zabierających klientom ostatni grosz, lecz szczodrych dla establishmentu i dla prominentów partii rządzącej.

6. Miliardowe wyłudzenia „zwrotu VAT”.

7. Zakupy (skandalicznie przeszacowane, bo „smarowane”) pojazdów torowych (pendolino) i śmigłowych (caracal) od skrajnie lewackich/salonowych reżimów unioeuropejskich (Włochy, Francja).

8. Wymiar niesprawiedliwości bazujący na stu ułomnościach systemu jurysdykcji-



Syrokomla:

„Czegóż ci żal? Ubiegłych fal?
Rzuć stare sny, oszczędzaj łzy.
Nie wrócisz lat — dziś inny świat”



nego, od rozpraw ciągnących się kilkanaście lat, przez nieuczciwość członków korpusu sędziowskiego (często esbeckich umoczeńców), po łagodne (często zawieszane) wyroki nie tylko dla ustosunkowanych oszustów, lecz i dla zwyrodniałców bestialsko katujących lub okrutnie gwałcących, i nawet dla morderców.

9. Służba zdrowia w stanie przedagonalnym.

10. Edukacja w stanie postmodernistycznego uwiadu.

11. Bezrobocie i emigracja (zarobkowa) w stanie rozkwitu.

12. Populacja malejąca, czyli sytuacja demograficzna w stanie ostrego kryzysu.

13. Banki, hipermarkety oraz „inwestycje zagraniczne” (wszelkie cudzoziemskie wielkie firmy, korporacje, itp.) zwolnione od podatku, i nawet od zagrożenia nim.

14. Kontrolowanie prawie 80% mediów przez „kapitał obcy” (głównie niemiecki).

15. Lewackie prezydentury u naszych zachodnich „partnerów”: prezydent „liberalny” w USA (nieważne czy biały, czy czarny, bądź różowy), „gauche” we Francji, „linke” w Austrii, „sinistro” w Italii, „sinistro” w Hiszpanii, etc.

16. Dyplomatyczna bezczynność wobec rozpowszechnionego we świecie terminu „polskie obozy zagłady”.

17. Pokora wobec Niemców zrzucających holocaustowe brzemie ze swoich barków na nasze w ramach celowej, głęboko przemyslanej i konsekwentnie realizowanej „polityki historycznej”, która stanowi cyniczną strategię autowybiliającą.

18. Pomnikowe deifikowanie szpiclowskiej esbeckiej mendi jako bohatera narodowego numer 1.

19. Olbrzymia dysproporcja emerytalna i rentowa między katami/dręczycielami z SB a ich ofiarami, którym państwo płaci wielokrotnie mniej niż oprawcom (także mordercom księdza Popiełuszki).

20. Państwowy patronat (sponsoring, promocje, recenzje, wystawy muzealne, granty, nagrody itd.) nad kontrkulturą salonową pełną bluźnierczych przedstawień (teatr) oraz prezentacji pseudoartystycznych (krucyfiks w kale bądź w moczu, ośmieszanie NMPanny, itp.).

21. Rządowa niechęć molestowania Rosjan o zwrot wraku naszego tupolewa, skutkująca brakiem jakichkolwiek zdecydowanych usiłowań w tym celu.

22. Telewizja publiczna (TVP) ściśle salonowa, kreująca zmistyfikowany, iście wirtualny świat rządzącej Platformy jako dobroczyńcy—uzdrowiciela—zbawiciela, tudzież strażnika—ręcznika—orędownika społeczności rodzimej.

23. Apatriotyczny zestaw szkolnych lektur obowiązkowych.

24. Palmy i tęczowe (gejowskie) łuki jako megamonumenty centralnych placów metropolitalnych.

Broniącym swojej (salonowej) demokracji KODomitom wydaje się, że hasło „aby było tak jak było” pada na sprzyjający czyli amnezyczny grunt, bo elektorat nie pamięta szczegółów. Myślą się bardzo, co sprecyzował już dawno temu Marian Hemar celną diagnozą rymowaną:

„Istota demokracji,
Jej cnota i zasługa,
Wyraża się tą wiarą,
Że pamięć ludzka jest długa.

Falszywych demokratów
Oglupia zaś ta trutka,
Że ludzie wszystko kupią,
Bo pamięć ludzka jest krótka”.

Nie kupili, czego dowodem werdykt elektoratu w wojnie przy urnach jesienią roku 2015. Salonowo-KODomickie marzenie o restytucji „status quo ante bellum” to nic innego jak naiwne „wishful thinking”, majaczenia „losers” — przegranych. XIX-wieczna rodzima pisarka Narcyza Żmichowska napominała grzeszników: „Nie próbujcie powtórzenia przeszłości waszej!”, które to słowa dedykuję jako „material do przemyslenia” (metodą Stirlitzą) wszystkim salonowym nostalgikom. ©©

Waldemar Łysiak

Pakiet Prąd i Gaz **PGNiG**

Recepta na najtańszy prąd na rynku

Zamów telefonicznie,
online lub przyjdź do nas:



Zadzwoń do nas!
801 800 234***



Odwiedź naszą stronę!
pgnig.pl



Przyjdź do nas!
Biuro Obsługi Klienta



* Badanie cen prądu na podstawie porównywarki dostępnej na enerad.pl z dnia 20.02.2017

** Cena gazu niższa o 6% w odniesieniu do poprzedniej taryfy nr 4. Szczegóły na pgnig.pl

*** Opłata zgodna z taryfą operatora